



Amanda McCabe



Wenecka noc

Rozdział pierwszy

Wenecja, 1525 rok

No cóż. Nie żył, i to było pewne.

- *Madre de Dio* - szepnęła Julietta Bassano, pochylając się nisko, by zbadać ciało mężczyzny rozciągnięte na jedwabnych poduchach złoconego łoża. Ta śmierć nie była łatwa ani miła do oglądania. Na jego twarzy, tak wyrazistej za życia, pojawiły się ciemne, fioletowoniebieskie plamy, czarną brodę znaczyły pasma śliny, krew i żółć. Białka szeroko rozwartych, niewidzących oczu były upstrzone niezliczonymi czerwonymi cętkami, a sztywniejące już kończyny znieruchomiały szeroko rozrzucone.

Nie, takie odejście w żadnym wypadku nie było łatwe. Poznała jego oznaki. Widziała je przed trzema laty u swego męża, który nagle zaczął zwijać się w konwulsjach i dyszeć pośrodku ich małżeńskiego łoża.

- Czarownica! - Krzyczał. - Wiedźma! Zabiłaś mnie! - Palcami przypominającymi szpony ucapił jej suknię, a krew i wymiociny obryzgały jej ciało śmiercią.

Nie! Pomyślała, stanowczo odcinając się od tych wspomnień. Giovanni nie żyje już od dawna. Zasłużył sobie na taki koniec, podlec. Już nigdy nikogo więcej nie skrzywdzi.

Co innego ten człowiek...

Julietta otworzyła oczy. Leżały przed nią zwłoki Michelotta Landucciego, szlachcica Republiki Weneckiej, dostojnika Savio ai Cerimoniali. Rozchylony, przetykany brokatem szlafrok odsłaniał jego pokaźny, owłosiony brzuch i zwiotczały członek o sinawym odcieniu. Parsknawszy z niesmakiem, podciągnęła jedwabne prześcieradło i zakryła nim stygnące ciało.

Za plecami usłyszała pociągnięcie nosem, tłumiony, podszyty strachem szloch. Sama chciała głęboko odetchnąć, aby uspokoić skołataną nerwy, ale odór śmierci stał się już zbyt mocny. Uderzył ją w nozdrza, kleił się do jej włosów i peleryny. Mocniej

ściągnając pod szyję aksamitne poły czarnego okrycia, obróciła się do kobiety, kryjącej się w mrocznym kącie pałacowej sypialni. Cosima Landucci, żona człowieka przykrytego prześcieradłem, a teraz już wdowa po nim, w odróżnieniu od swego małżonka wciąż była całkowicie ubrana. Miała na sobie wytworną suknię z haftowanego złotogłowiec niebieskiego jedwabiu. Gęste, ciemnorude włosy opadały jej na plecy, zachodziły też na alabastrowo białe czoło, dowodzące, jak wiele lat dzieliło ją od małżonka. Była jeszcze prawie dzieckiem.

Tymczasem mąż tego półdziecka czy półkobiety leżał otruty. No, proszę. Nie podejrzewałyby o coś takiego małej Cosimy. Ludzie potrafią nas zaskakiwać i robią to nieustannie.

- Co tutaj zaszło, *signora*? - spytała Julietta najłagodniej, jak potrafiła.

Znała tę dziewczynę, ponieważ Cosima od dwóch lat była wierną klientką jej sklepiku z pachnidłami. Przychodziła co tydzień kupić swój ulubiony aromat jaśminu i lilii, a przy okazji porozmawiać. Opowiadała wtedy bez końca, jakby nie miała na świecie innej przyjaciółki oprócz sprzedawczyni pachnideł. A Julietta lubiła słuchać. Żałowała tej dziewczyny, która wydawała jej się zagubiona i nieszczęśliwa, mimo że miała piękne suknie i lśniące klejnoty. Czasem Julietta myślała wtedy o sobie sprzed wielu lat, kiedy wszystkie jej marzenia o małżeństwie i rodzinie rozwiały się w konfrontacji z brutalną rzeczywistością. Prawdę mówiąc jednak, to, co zobaczyła tutaj, wydało jej się czymś zgoła innym. Zupełnie innym.

- No, więc jak to było, *signora*? - przynagliła ją Julietta, widząc, że dziewczyna tylko chlipie.

Cosima drżącymi rękami przycisnęła chusteczkę do twarzy.

- Nie wiem, *signora* Bassano.

- Nie było cię tutaj? Czy to znaczy, że weszłaś i zastałaś męża martwego? -

Julietta spojrzała znacząco na pantofelki i ozdobne nakrycie głowy, pozostawione na drogim, tureckim dywanie.

Cosima skierowała wzrok w to samo miejsce, a potem pokręciła głową, roztrzepując rude włosy.

- Byłam. Dopiero co wróciliśmy z przyjęcia i wtedy on... on... - Głos jej się załamał.

- Zaczął domagać się swoich mężowskich praw? Cosima z ociąganiem przytaknęła.

- Hm. Co jeszcze zrobił? - zainteresowała się Julietta. - Jak to?

Julietta z trudem powściągnęła irytację. *Dio mio*, nie miały czasu. Już i tak minęło go wiele, za kilka godzin cały dom Landuccich zostanie postawiony na nogi. A ona chciała tylko dowiedzieć się, po co wezwała ją ta dziewczyna, i szybko odejść swoją drogą. Miała własne sprawy, o wiele ważniejsze niż jakaś mieszczańska młódka i jej zabity mąż, który bez wątpienia na inny los sobie nie zasłużył.

Wiedziała jednak, że nie wolno jej popędzać Cosimy, bo inaczej dziewczyna załamie się ostatecznie. I tak drżała już jak liść na wietrze.

- Co on zrobił, zanim zażądał, żebyś poszła z nim do łóżka? Jesteś wciąż ubrana, *madonna*. - Julia wskazała schludnie wyglądające rękawy jej sukni i starannie zasnuwany stanik.

Cosima zmiała chusteczkę w dłoni. Z jej bladą twarzą kontrastowały zaczerwienione oczy.

- Wypił trochę wina, jak zawsze, zanim... zanim... Dużo go wypił.

Julietta zmarszczyła czoło. Nie było w komnacie żadnego dzbana ani kielicha. Cosima raz po raz zerkała jednak zapłakanymi oczami w dół i w końcu Julietta dostrzegła inkrustowaną nóżkę srebrnego kielicha, wystającą spod łóżka. Przykłęka i wyciągnęła go spod ciężkiej, aksamitnej kapy.

Na samym dnie naczynia pozostał osad czerwonego wina, ścinający się niczym krew. Julietta podniosła kielich na wysokość twarzy i ostrożnie pociągnęła nosem. Jej wyczulone powonienie wychwyciło jakiś zielonkawy, trawiasty zapach, towarzyszący słodkiej woni kosztownego trunku. I coś jeszcze. Nutkę jaśminu i lilii, pachnidła, będącego jej własnym dziełem, co tydzień nalewanego do błękitnego flakonika ze szkła Murano, należącego do Cosimy Landucci.

Julietta odstawiła kielich i zajrzała raz jeszcze pod łóżko. Zmarszczyła nos, zaatakowany chmurą kurzu. Najwidoczniej służba nie wywiązywała się należycie ze swoich obowiązków. Zauważyła jednak również połyskujące błękitne szkło.

Wyciągnęła flakonik i obejrzała go starannie pod światło. Był pusty, srebrna zatyczka zniknęła, ale wciąż utrzymywał się w nim zapach jaśminu zmieszany z wonią

lilii. Miał jednak dziwną trawiastą domieszkę. Julietta aż za dobrze знаła tę drugą woń.

- Trucizna. - Jej szept zabrzmiał jak podzwonne.

- Nie! - Krzyknęła rozpaczliwie Cosima. Przeszła przez pokój i rzuciła się na kolana, chwytając Juliettę za rękę. Na jej twarzy odmalowała się trwoga.

- Niemożliwe, żeby został otruty. A jeśli został, to nie przeze mnie! *Signora* Bassano, pani mi musi uwierzyć!

Julietta z trudem powstrzymała się przed odepchnięciem rąk dziewczyny. Nadal trzymała pusty flakonik.

- Jeśli to nie jest twoja sprawka, *madonna*, to ktoś zadał sobie bardzo wiele trudu, aby można było odnieść właśnie takie wrażenie.

Cosima wpatrywała się w błękitne naczynko z nieukrywaniem przerażeniem.

- To nie ja. *Signora* wie, że nie kochałam męża jak przystało dobrej żonie, ale jestem prawdziwą katoliczką! Nigdy nie splamiłabym duszy... - Znowu zalała się łzami.

- Basta! - Julietta potrząsnęła dziewczyną. - Nie czas na to. Wkrótce będzie tutaj służba, a mamy wiele do zrobienia.

Cosima pociągnęła nosem i spojrzała na Juliettę z nadzieją.

- Pomożesz mi, pani?

Julietta znów zobaczyła w tej dziewczynie siebie sprzed wielu lat. Młodą, samotną i przerażoną. Śmiertelnie przerażoną, i to słusznie. Najchętniej odwróciłaby się na pięcie i uciekła z tego przeklętego domu od młodej dziewczyny, wróżącej kłopoty. Ale nie mogła.

- Pomogę - zapewniła. - Lecz musisz robić wszystko, co ci każe, i w dodatku szybko.

Cosima gorliwie skinęła głową.

- Naturalnie, *signora*! Jestem na to gotowa, bylebyś jeszcze raz, pani, mi pomogła.

- Zawołaj Biancę, moją służącą, która czeka w korytarzu. Musicie rozpalić duży ogień w kominku, żeby było jak najwięcej żaru.

Cosima skinęła głową i w milczeniu opuściła pokój. Okazało się, że gdy potrzeba, potrafiła się wykazać szybkością. Tymczasem Julietta podeszła do okna. O tak późnej porze na ulicy nie było nikogo, nawet gondolierów ani prostytutek. Do oficjalnego rozpoczęcia karnawału pozostało jeszcze trochę czasu. Otworzyła okno w wykuszu i wbiła wzrok w ciemne, prawie nieruchome wody kanału dwa piętra niżej. Drobne fale, bielejące na szczytach, rozbijały się w obmurowanie pałacu. Woda zawsze dochowywała sekretów w Wenecji. Julietta zamachnęła się najmocniej jak mogła i wyrzuciła kielich. Potem zrobiła to samo z flakonikiem. Oba z pluskiem przepadły w czarnej toni.

- *Madre de Dio* - szepnęła. - Nie pozwól, by to się znowu zaczęło.

Niebo miało już tylko lekko szarawy odcień, kiedy Julietta w końcu opuściła Palazzo Landucci i udała się w drogę powrotną. Bianca pilnie podążała za nią, gdy prześlizgiwały się przez wąskie mostki nad kanałami, kierując się ku ich domowi, znajdującemu się na północ od Rialto.

Julietta ledwie mogła iść, cała była obolała, marzyła o wypoczynku i śnie, który da jej upragnione zapomnienie. Doskonale jednak wiedziała, że tego ranka sen do niej nie przyjdzie i przez wiele następnych nocy będzie zapewne podobnie. Nie po tym, co zrobiły.

Jedynym słyszalnym odgłosem, oprócz stukotu ich trzewików na bruku, był w tej chwili skrzyp okiennic poruszanych wiatrem. Nikogo jeszcze nie było na ulicach, nawet kramarze na Rialto i na targu rybnym nie zaczęli jeszcze rozkładać towarów. Panował przenikliwy chłód, nad ziemią kłębiła się mgła, a woda wydzielala słodkawo-lepki zapach. Domy z kolorowymi tynkami, za dnia jasnorożowe, żółte lub pomarańczowe, teraz, pod blednącym niebem, na którym gasły gwiazdy i księżyc, wydawały się szarobiałe.

Julietta otuliła się ciaśniej peleryną, nasunęła kaptur na czoło, aby lepiej osłonić twarz, i przyspieszyła kroku, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu, dającym złudzenie bezpieczeństwa.

- *Signora...* - zaczęła Bianca, starając się nadążyć za Juliettą. Wyraźnie brakowało jej tchu.

- Nie tutaj, Bianco - odpowiedziała cicho Julietta. - Tu nie jest bezpiecznie.

Skreśliły w wąskie przejście, prowadzące na ich schludny placyk z marmurową fontanną pośrodku, która stanowiła dla okolicznych mieszkańców źródło świeżej wody. Za kilka dni z tej samej fontanny miało popłynąć wino, ku radości tłumów poprzebieranych, bawiących się ludzi.

Dzwony kościoła San Felice biły właśnie pełną godzinę, gdy Julietta, obszedłszy fontannę, dobytek klucza z ukrytej kieszeni peleryny. Włożyła go do mosiężnego zamka w pomalowanych na niebiesko drzwiach budynku, w którym mieściło się zarówno jej mieszkanie, jak i sklep.

Ostry, brzękliwy dźwięk za jej plecami sprawił, że zatrzymała rękę i spłoszona, rozejrzała się dookoła, gotowa sięgnąć po sztylet, ukryty w sakiewce przy pasie. Omiotła wzrokiem cały placyk, usiłując odkryć źródło potencjalnego zagrożenia. Czyżby ktoś je śledził? Zdawało się jej, że czuje na sobie czyjś wzrok.

Niczego jednak nie zauważyła. Sąsiednie domy spowijała absolutna cisza. Tylko jakiś kot przemknął przy fontannie, jedyne świadectwo życia o tej wczesnej porze.

Bianca odetchnęła z ulgą.

- To tylko ten zwierzak, *madonna* - szepnęła.

- *Si* - odpowiedziała bez przekonania Julietta. Nie była jednak w stanie wypatrzeć niczego innego. Wszystko wskazywało na to, że są same. - Chodźmy do środka. - Ponownie odwróciła się do drzwi, drżącymi rękami przekreśliła klucz w zamku i gestem nakazała Biance wejść.

Dopiero gdy zamknęła solidne, drewniane drzwi i zasunęła rygiel, mogła odetchnąć nieco spokojniej.

Były bezpieczne. Tymczasem.

Rozdział drugi

A więc to była słynna Julietta Bassano.

Marc Antonio Velazquez odczekał w swej kryjówce, jaką dawało mu wąskie przejście między wysokimi domami, póki *signora* Bassano nie zniknęła we wnętrzu domu. Popatrzył jeszcze na złotawy blask, jakim rozświetliło się okno na parterze, gdzie mieścił się sklep z pachnidłami. Po chwili światło zgasło i pojawiło się ponownie piętro wyżej. Przypominało teraz nieco blask latarni morskiej, rozpraszający w zimny poranek wilgotną, wenecką mgłę.

Nie tak ją sobie wyobrażał. Oczekiwał królowej piękności o urodzie zgodnej z modą obowiązującą w Wenecji: złociste włosy, błękitne oczy, obfite piersi i krągłe biodra. Taka postać mogłaby rozpocząć życie, schodząc z płótna tego Florentyńczyka, Botticellego.

Julietty Bassano nie sposób byłoby pomylić z Primavera. Wysoka i bardzo smukła, spod peleryny wystawała jej prosta, czarno-biała suknia. Ciało brakowało kuszących zaokrągleń, tak pożądanych w obecnych, jakże wymagających czasach. W jej figurze więcej było linii prostych: długie nogi, wąskie ramiona. Włosy wysuwające się spod kaptura były czarniejsze od rzednącej nocy. W odróżnieniu od licznych dam Julietta Bassano z pewnością nie spędzała wielu godzin na słońcu w kapeluszu pozbawionym denka. Nie widział wyraźnie twarzy, odniósł jednak wrażenie, że jest pociągła, z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i lekko spiczastym podbródkiem.

Lecz mimo wszystko był w niej jakiś ukryty czar. Niczym dodatkowe aksamitne okrycie spowijał ją smutek i pewna tajemnica, natychmiast zwracające uwagę i bardzo pociągające.

Marc nigdy nie umiał się oprzeć aurze tajemniczości. To była jego prawdziwa zguba. Ale nie przyszłoby mu do głowy, że taka kobieta może być w typie Ermana. Nie miała w sobie nic ze złotowłosej chichotki. Kojarzyła się z mrokiem i ukrytym sztyletem. Nie, zdecydowanie nie była w typie Ermana. Za to bardzo odpowiadała Marcowi.

Może jego zadanie okaże się znacznie przyjemniejsze, niż to wcześniej przewidywał. Szkoda tylko, że przyjemność potrwa krótko, bo w końcu będzie musiał zniszczyć tę kobietę. Doprawdy wielka szkoda!

Rozdział trzeci

Julietta odstawiła ostatnią buteleczkę na lśniąca półkę, niebezpiecznie balansując na stołku, by objąć wzrokiem rząd naczynek z mieniącego się szkła, kości słoniowej i połyskliwego onyksu. Większość klientów przynosiła własne flakoniki do napełnienia pachnidłem o wybranym aromacie, niektórzy jednak lubili kupić przy okazji nowy pojemniczek i byli gotowi niemało zapłacić za jego najwyższą jakość. Ten ładunek, dopiero co przysłany drogą morską z Francji, powinien być więc bardzo się przydać.

- I co o tym sądzisz, Bianco? - spytała Julietta, przekrzywiając głowę. - Zachęcają do kupna?

Bianca przerwała polerowanie długiego marmurowego kontuaru i podeszła, by ocenić ekspozycję flakoników. Jej uroda zdradzała pochodzenie z ludu tureckich koczowników, była drobna, chuda, śniada, i gdy Julietta stała na stołku, tak jak teraz, ledwie sięgała jej do talii. Cechowała ją jednak wielka stałość w przyjaźni, datująca się od tej pamiętnej chwili, gdy Julietta zamieniła swój niewesoły los w Mediolanie na weneckie maski.

- Bardzo ładnie, *madonna* - oznajmiła z uśmiechem. - Będziemy miały z tej dostawy duży zysk, skoro w końcu do nas dotarła.

- *Si*, nareszcie udało się pokonać tych piratów z Wybrzeża Barbarzyńców.

Tego roku piraci nękali Wenecjan przez wiele miesięcy. Napadali na konwoje statków handlowych przewożące korzenie, jedwabie, wino, cukier, a także kosztowne flakoniki na pachnidła. Julietta zdążyła zatęsknić za tak lubianymi przez siebie aromatami jak francuska lawenda, białe róże z Anglii i bardziej egzotyczne rośliny z Egiptu i Hiszpanii. W końcu jednak piraci zostali pobici, a opowieści o tym zdarzeniu były tak ekscytujące i przerażające zarazem, że poruszały nawet przyziemną, wyzutą z

poezji duszę Julietty. Wenecjanie nie rozmawiali o niczym innym, jak tylko o Il Leone, dzielnym kapitanie, który pokonał strasznych piratów i ocalił drogocenne ładunki, płynące do Republiki św. Marka. Nawet Bianca, która oglądała triumfalny powrót kapitana do Wenecji tydzień wcześniej, mówiła o nim właściwie bez przerwy.

- Gdybym była poetą, Bianco, napisałabym epos o Il Leone - zażartowała Julietta. Zeszła ze stołka i wytarła ręce w fartuch, osłaniający jej czarno-białą suknię. - Przyniósłby nam prawdziwy majątek. Trubadurzy biliby się o to, by go recytować, skomponować do niego muzykę i występować z nim przed tłumami publiczności.

- I tak masz majątek, pani - zwróciła jej uwagę Bianca.

I chociaż powiedziała to ze śmiechem, na jej okrągłej buzi pojawiła się lekka faldka, świadcząca o zdziwieniu. Miała zresztą ku temu powód. Julietta rzadko poddawała się takim nieuchwytnym marzeniom, była na to o wiele zbyt zajęta i zbyt przezorna. Po pracowitej nocy w Palazzo Landucci marzenia wydawały się zresztą wyjątkowo odległe.

A jednak nie wiadomo czemu w świetle dnia wszystko zaczęło wyglądać inaczej. Za sprawą wątlęgo, zimowego słońca odmieniło się miasto, bezładne i złowieszcze we mgle unoszącej się przed świtem. Na niewielkich placzkach wszczął się ruch, ludzie spieszyli za własnymi sprawami. Odgłosy śmiechu i rozmów nakładały się na bicie dzwonów kościoła San Felice. Wkrótce miał zacząć się karnawał, okres największych dochodów sklepu. Po zaledwie dwóch godzinach snu, Julietta rozpoczęła dzień od mszy w San Felice, prosząc Boga o rozgrzeszenie z czynów popełnionych tej nocy.

Szkoda, że wraz z otrzymaniem rozgrzeszenia nie mogła po prostu zniknąć. Pocieszała się jednak, że być może hrabia Ermano nie pojawi się u niej tego dnia. Miała stanowczo za dużo mocnych przeżyć i bez jego coraz bardziej natarcywych zalotów.

- Masz rację, Bianco - powiedziała. - Nie narzekamy na brak majątku, więc nie będę narażać świata na znoszenie skutków moich wątpliwych talentów poetyckich. Chyba coś rzuciło mi się na głowę z niewyspania.

Bianca wolno przytaknęła.

- Naturalnie, *madonna*. Powinnaś pani, położyć się jeszcze na kilka godzin.

- Nie, nie. Zaraz trzeba otworzyć sklep. Może urzędę sobie sjęstę wczesnym popołudniem. Przynieś teraz ze składziku trochę esencji rumiankowej. Skończę mieszać zapach dla *signory* Mercanti.

Bianca skinęła głową i odeszła, z szelestem zamiatając podłogę spódnicami w jaskrawe pasy. Po chwili trzasnęły drzwi składziku, a Julietta wróciła do swoich porządków.

Nie miała wiele roboty, sklep utrzymywała bowiem zawsze w nieskazitelnej czystości, obawiając się, że drobiny kurzu mogłyby zaszkodzić jej aromatycznym towarom, na których komponowaniu i mieszaniu Julietta spędzała długie godziny. Wszystkie flakoniki, słoiczki, garnuszki i amfory stały tu, wypełnione najrozmaitszymi pachnidłami, będącymi wytworami jej rąk. Nie umiałyby tego robić, gdyby przedtem nie uczyła się długo trudnej sztuki otrzymywania i mieszania zapachów. Spieszyły do niej wszystkie kobiety z Wenecji, damy, kurtyzany i żony bogatych mieszczan, a każda błagała ją, by zmieszać magiczny, niepowtarzalny aromat tylko dla niej.

Julietta odsunęła się od kontuaru, oparła plecami o niebiesko pomalowane drzwi i otaksowała swoje małe królestwo. Było istotnie niewielkie, za to własne, od zdobionej mozaiką podłogi po stiukowy sufit. To był jej cały dobytek, a zarazem jedyna wielka miłość. Zwłaszcza mały pokoik, ukryty w kącie za tajnym przejściem w boazerii, należał niezaprzeczalnie do niej.

Wzięła z kontuaru naczynko, flakonik z błękitnego szkła zdobionego srebrem i drobnymi szafirami, który przypadkiem zabłąkał się tutaj, wyłączony z jej pieczołowicie zakomponowanych ekspozycji. Podsunęła go pod nos i wciągnęła powietrze. Jaśmin i lilia.

Szybko odstawiła na kontuar flakonik przeznaczony dla Cosimy Landucci, ale odurzająca słodycz aromatu została jej na palcach, przypominając o wydarzeniach nocy. Cofając się, mimo woli zerknęła w lustro w złoconej ramie zawieszona za kontuarem.

Włosy wciąż miała starannie zaplecione w warkocz, upięty w koronę przykrytą siatką z czarnej koronki. Czarno-biała suknia z drobnym akcentem szkarłatnych wstą-

żek przy rękawach podkreślała wrażenie dyskretnej elegancji, wystarczało tylko zdjąć biały fartuszek, którym się opasała. Ale jej twarz... to była bladość upiora.

Albo czarownicy.

Zadźwięczał dzwonek przy drzwiach, oznajmiający nadejście pierwszej klientki. Julietta głęboko odetchnęła powietrzem nasyconym słodką wonią, z nadzieją, że siłą woli zdoła skierować trochę krwi do twarzy, i przywołała natychmiast swój zawodowy uśmiech.

- *Buon giorno!* Witam...

Uprzejme słowa zamarły jej jednak na wargach, gdy spostrzegła, kto wszedł. Nie była to wcale złotowłosa kurtyzana ani matrona w woalce szukająca zupełnie niezwykłego pachnidła albo tynktury, ani nawet czegoś innego, bardziej złowieszczonego, dyskretnie nalewanego do buteleczki poniżej kontuaru. Stał przed nią mężczyzna. I to jaki!

Wysoki, szeroki w barkach, noszący wiśniowy wams dopasowany do sylwetki i pozbawiony wszelkich koronkowych lub haftowanych zdobień. W rozcięciach rękawów i powyżej jedwabnych wykończeń wamsu widoczna była miękka koszula z kremowego jedwabiu, mająca delikatny połysk, a jej niewielka kryzka kontrastowała z mocno opaloną szyją.

Wzrok Julietty nieuchronnie powędrował niżej, ku zwykłemu czarnym nogawkom i hiszpańskim skórzanym trzewikom ze złotymi klamrami. Mężczyzna nie nosił ani pretensjonalnego mieszka w kształcie muszli lub gondoli, zwracającego uwagę na przyrodzenie, ani krzykliwych nogawic w paski.

W niczym nie przypominał modnisią, choć z pewnością nie był też obojętny na luksusy. Wróciła spojrzeniem ku górze, prześlizgując się po wąskiej talii, muskularnym torsie i szerokich ramionach. Twarz miał przysłoniętą brzegiem czerwonej czapki z aksamitu, do której został przypięty rubin. Zauważyła też perłowy kolczyk w lewym uchu. Nie, ten człowiek zdecydowanie nie stronił od zbytku.

Lśniące, ciemnobrązowe włosy z rozjaśnionymi słońcem pasemkami wypływały falami spod czapki i opadały na ramiona. Widoczna była również dolna część twarzy mężczyzny, starannie ogolona i ogorzała, co podkreślała biel zwisającej z ucha perły. Nie był to więc kupiec safandula ani bankier, spędzający większość czasu

pod dachem. Nie wyglądał również na księdza ani na ciurę pokładowego czy skutnika z weneckiego Arsenалу.

Z pewnością był człowiekiem dzierżącym władzę, zamożnym i przystojnym. Bez wątpienia nie używał też wody kolońskiej, co wrażliwy nos Julietty stwierdził nawet z dużej odległości, odnotowując świeży, słonawy zapach morskiego powietrza i woń czystości z nutką cytryny. Czego mógł szukać ktoś taki w jej sklepiku?

No tak, naturalnie, przyszedł po podarek dla damy. A ona gapi się na niego, jakby była niespełna rozumu, wpatruje się w jego ramiona i tors niczym jakaś uliczna dziewczka.

Wyprostowała się więc i dłonią sprawdziła położenie siatki na włosach.

- *Buon giorno, signor* - powtórzyła i nieznacznie dygnęła.

- *Buon giorno, madonna* - odpowiedział. Głos miał głębszy, niż się spodziewała, bardziej szorstki, z prawie niezauważalnym śladem obcego akcentu. A więc nie był Wenecjaninem.

- Obawiałem się przez chwilę, że nie jest pani jeszcze gotowa na przyjęcie pierwszych klientów.

- Dla specjalnych klientów zawsze mamy otwarty sklep, *signor* - odpowiedziała, dotykając czubkiem języka wyschniętych nagle warg. Głos tego człowieka wydał jej się dziwny, urzekł ją jego dźwięk, jakby mglisty i pieszczotliwy. A jego zapach...

Czy możliwe, żeby to był czarownik? A może to jakiś mag z obcych krajów?

Nie bądź niemądra, Julietto, skarciła się w myślach. Taki sam z niego człowiek, jak każdy inny.

Co więcej, mógł okazać się bardzo dobrym klientem, na co wskazywały rubin i perła oraz elegancki aksamit, naturalnie jednak pod warunkiem, że nie będzie gapiła się na niego jak sroka w gnat. W poszukiwaniu bezpiecznego miejsca Julietta wycofała się za kontuar.

- Czym możemy panu dzisiaj służyć? - spytała rzeczowo. Piecyk z brązu, stojący na mozaikowej podłodze, zaczynał już dawać ciepło. Ponieważ zaś dodała pałeczki zapachowe do opału, w sklepie zaczynała się unosić delikatna woń białych róż. - Nasz wybór aromatów nie ma sobie równego w całej Wenecji.

Zbliżył się do kontuaru. Jego krótka pelerynka z czerwonego aksamitu, narzucona na ramiona i przytrzymana złotym troczkiem, miała sobolowe podbicie. Mężczyzna zdjął nakrycie głowy i dyskretnym gestem odsunął na bok falę włosów, w padającej przez okno smudze światła wydał jej się podobny do świętego z witraża.

Spojrzała mu w oczy i wtedy jej wargi, i tak już wyschnięte, dosłownie zdrętwiały. Cóż za błękit! Nie, nie błękit - turkus wód Morza Śródziemnego, przejrzysty i lśniący, zupełnie niespodziewany przy tej ogorzałej cerze. I ten przenikliwy wzrok. Wydawał się jej wszystko widzący.

To naprawdę czarownik.

Il diavolo.

Odruchowo zacisnęła mocniej palce na trzymany w dłoni pałeczkach zapachowych i poczuła, jak wpijają się w skórę. Cisnęła je do piecyka, zadowolona, że może przy okazji odwrócić wzrok.

- Tak właśnie mi mówiono, *madonna* - odezwał się mężczyzna. Wiedziała, że pochylił się nad kontuarem i nadal bacznie jej się przyglądał.

- Mówiono ci, panie? - powtórzyła, czując się po prostu niemądrze. Była przecież dorosłą kobietą, wdową, właścicielką znanego sklepu. Nikt nie powinien wywoływać u niej takiego zmieszania.

Wcale się nie boję - powiedziała sobie w duchu i obróciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz.

Wąły uśmiech igrał mu na wargach, równie doskonałych w kształcie, jak reszta postaci, pełnych i zmysłowych. Mężczyzna był młodszy, niż wydał się jej na pierwszy rzut oka, w kącikach oczu czarownika i przy lekko zakrzywionym nosie dostrzegła tylko drobne zmarszczki. Nie mogła zrozumieć, dlaczego taki młody człowiek całkiem wytrąca ją z równowagi, nawet jeśli jest bogaty i prezentuje się naprawdę wspaniale.

- Owszem. To podobno najlepsza perfumeria w Wenecji - odrzekł gładko. - Właśnie dlatego postanowiłem tu zajrzeć.

- Czuję się zaszczycona, *signor*. - Julietta zbliżyła się nieufnie do kontuaru i położyła dłonie na chłodnym marmurze, świadoma bliskości aksamitnego rękawa wamsu. Znów odniosła wrażenie, że zaciskają się na jej ciele niewidzialne palce.

Mimo to nie odsunęła się. - A czym mogę ci, panie dzisiaj usłużyć? Czy szuka pan podarku dla pięknej damy?

Żadna kobieta nie oprze się pachnidłu o fascynującym zapachu, zmieszanym specjalnie dla niej. Może w inkrustowanym flakoniku? To bardzo miły wyraz zachwytu.

Pochylił się głębiej, opierając łokcie na kontuarze, tak by móc spojrzeć jej prosto w oczy z czarującym uśmiechem.

- Niestety, dopiero co przybyłem do Wenecji i nie znalazłem jeszcze damy, która przyjęłaby moje hołdy. Istotnie, szukam jednak podarku dla bardzo niezwyklej kobiety.

Julietta zmarszczyła czoło.

- Czy chodzi o kobietę spoza Wenecji?

- Z Sewilli. Staram się zawsze znaleźć dla niej jakiś ładny drobiazg, żeby wiedziała, że o niej myślę.

Na czole Julietty pojawił się mars, wywołany nieznanym jej dotąd uczuciem zazdrości.

- To pańska żona, *signor*?

Roześmiał się, a jego dźwięczny głos niósł z sobą ciepło lata. Zmarszczki w kącikach oczu nieco mu się pogłębiły, a wesołość była zaraźliwa. Julietta mocno zacisnęła usta, by nie ulec pokusie chichotu, przecież nawet nie wiedziała, co go tak rozweseliło.

- Nie, *madonna* - odparł. - Jestem człowiekiem morza i nie mam żony. Szukam podarku dla matki.

Dla matki! Co za dzień. Dopiero się zaczynał, a ona od rana zdawała się we władzy nierozwagi.

- Szukasz, panie, podarku dla matki?

- *Si*, pachnidła zmieszanego specjalnie dla niej, właśnie tak jak pani powiedziałaś. To naprawdę niezwykła kobieta.

- Bardzo piękna? - matka takiego syna...

- Tak, a ponadto dobra i pobożna. Czysta jak poranek. Co może mi pani zaproponować?

No, nareszcie znalazła się na twardym gruncie. Trzeba było stworzyć idealnie dopasowany zapach. Julietta wyjęła spod kontuaru wykonaną z kości słoniowej tacę z przegródkami, w których tkwiły flakoniki z różnymi drogocennymi olejkami i esencjami, każdy z etykietką. Zaczęła przebierać palcami po zatyczkach.

- Naturalnie róża - mruknęła pod nosem. - Może do tego fiołki? Hiszpańskie fiołki. Co pan na to, *signor*?

Podsunęła mu flakonik, a on pochylił się nad nim i głęboko wciągnął aromat. Za głęboko, bo zaczął się krztusić. Julietta roześmiała się cicho.

- Nie tak gwałtownie! To esencja fiołkowa, bardzo silne stężenie. Trzeba wachać o tak... - Odsunawszy koronkowy mankiet, wytrząsnęła odrobinę olejku na nadgarstek. Pokazała mu lśniąca kropelkę na skórze.

Mężczyzna ujął ją za przegub dłoni. Palce miał długie, ciepłe, naznaczone licznymi odciskami i drobnymi, białawymi bliznami. Na najmniejszym tkwił pierścień z olbrzymim rubinem. Trzymał ją bardzo delikatnie, ale nie ulegało wątpliwości, jaka siła kryje się w tej ręce. Wpatrywał się w kropelkę, Julietta czuła na skórze jego oddech. Powoli, bardzo powoli pochylił głowę, jego wargi były coraz bliżej... - *Signora*, czy widziałaś, pani, tynkturę dla pani La... -

Głos Bianki, znajomy, zwyczajny i zaskoczony, rozwiął działanie czaru, który owładnął Juliettą, pokonał moc czarodzieja o turkusowych oczach. Julietta cofnęła rękę, opuściła mankiet i odstała o krok.

- Nie wiedziałam, że masz, pani, klienta - powiedziała Bianca, stając u boku Julii. Ciemnymi oczami z żywym zainteresowaniem mierzyła przybysza. - Witam cię, szanowny panie. Mam nadzieję, że... ojej! - Urwała raptownie, upuszczając słoiczek z tynkturą, który jakimś cudem uniknął rozbicia i tylko potoczył się daleko po podłodze. - Il Leone - wyszeptła.

- O czym ty mówisz, Bianco? - spytała poirytowana Julietta, pochylając się, aby podnieść naczynie z podłogi. Ogarnęło ją przykre doznanie opuszczenia, pozbawienia czarodziejskiego dotyku, a co gorsza, miała o to do siebie pretensje!

Gdy wyprostowała się ze słoiczkiem w dłoni, Bianca, najwidoczniej tknięta tym samym czarem co Julietta, obchodziła kontuar jak w transie.

- To ty, panie, prawda? - szepnęła z zachwytem. - Ty jesteś Il Leone.

Widziałam w zeszłym tygodniu powitanie w porcie. To było wspaniałe! Pan jest bohaterem, Il Leone!

Być może wyobraźnia płatała Julietcie figle, wydało się jej jednak, że widzi rumieniec rozlewający się na opalonym licu mężczyzny. Czyżby naprawdę był to Il Leone? Dzielny wilk morski, który zwalczył piracką zarazę? Dostrzegła u niego lekkie drżenie mięśnia w policzku. Objaw zakłopotania sławą czy może złości? Ciekawe.

- To przesada, *signorina* - odparł, składając dworski pocałunek na rękę Bianki. - Zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłby każdy obywatel, któremu leży na sercu troska o ludzi. Piraci są wyjątkowo uprzykrzeni.

- Och, nie! - Wykrzyknęła Bianca. - Pan stoczył pojedynek z kapitanem piratów, uzbrojony jedynie w sztylet. Zniszczył ich okręty salwami z dział i nie stracił przy tym ani jednego człowieka. Pan naprawdę jest Il Leone.

- Wolę swoje własne imię i nazwisko, Marc Antonio Velazquez. Z kim mam przyjemność, jeśli wolno spytać?

- Jestem Bianca, *signor* Velazquez - odrzekła urzeczona. - A to jest, rzecz jasna, moja chlebodawczyni, pani Julietta Bassano. Czujemy się zaszczycone, że wstąpił pan w nasze progi.

- To prawda - przyznała Julietta. - Nie miałam pojęcia, że taki bohater zechciał uczynić nam honor bycia klientem. Proszę pozwolić, że w dowód uznania wręcę panu pachnidło w podarunku.

- Dziękuję, *madonna*. - Skłonił się nieznacznie, mierząc ją tak przenikliwym wzrokiem, że musiała odwrócić głowę, obawiając się, że znowu zawiedzie ją rozsądek.

- *Signor* Velazquez zamówił u nas pachnidło dla swojej matki, mieszkającej w Hiszpanii, Bianco - wyjaśniła. - Jeśli zechcesz, panie, nas odwiedzić za dwa dni, będzie czekało gotowe.

- Dwa dni - powiedział cicho. - Czy muszę czekać tak długo, aby tu powrócić? Julietta wzruszyła ramionami.

- Sztuka nie znosi pośpiechu, *signor*. Jest z natury delikatna.

- Zaiste - przyznał. - Sam dobrze to wiem.

Drzwi do sklepu otworzyły się hałaśliwie, zadźwięczały wszystkie dzwonki, i do wnętrza wkroczyła signora Mercanti, stała klientka. Na pomarszczonych, obficie upudrowanych policzkach kwitły jej rumieńce podniecenia, oczy błyszczały. Korzystając z zamieszania wywołanego ruchem futra i wstążek matrony, poganianiem służby i szczekaniem piesków, *signor* Velazquez, dyskretnie opuścił sklep, co zauważyła jedynie Julietta. Stanąwszy przy oknie odprowadziła go spojrzeniem przez placyk, śledząc szkarłatną plamę, przemieszczającą się w tłumie pastelowo ubranych ludzi. Przy fontannie czekał na niego inny mężczyzna, wysoki, ubrany całkiem niepozornie, i razem opuścili placyk, znikając w wąskim przejściu do miasta. Dwa dni. Za dwa dni wróci.

- Słyszałaś, pani, *signora* Bassano?! - Signora Mercanti chwyciła ją za ramię i pociągnęła na środek sklepu. To był niewątpliwie koniec rozmyślań o tajemniczym mężczyźnie.

- Wielki skandal od samego rana! Moja służąca słyszała dziś o nim na targu.

Julietta pokręciła głową, wzięła na ręce jednego z ujadających piesków i podała go służącej, żeby nie załatwił swoich ważnych spraw na jej spódnicy lub na wymuskanej podłodze.

- W Wenecji nietrudno o skandal, *signora*.

- Ale ten jest absolutnie wyjątkowy! Michelotto Landucci został dziś znaleziony martwy w swoim łóżu. Wyzionął ducha u boku śpiącej żony.

Julietta zmartwiała. Wzmianka o Cosimie Landucci i jej zmarłym mężu podziałała na nią jak kubek zimnej wody, splukujący resztki zmysłowych marzeń o Il Leone. Jak to możliwe, że wieść o tej śmierci rozprzestrzeniła się już po uliczkach i kanałach? No cóż, taka właśnie jest Wenecja. Tu nie mogło być inaczej.

- Naprawdę? - zdziwiła się uprzejmie. - A czy znany jest powód jego śmierci? *Signora* Mercanti wzruszyła ramionami.

- Mówią, że dostał apopleksji. Wszystko przez zbyt obfitą kolację i zbyt młodą żonę. Czy to jednak nie dziwne, że od listopada umiera już trzeci członek Savio ai Cerimoniali? Och, właśnie coś przyszło mi do głowy, *signora* Bassano! Czyż Cosima Landucci nie jest jedną z pani klientek? Naturalnie, jako wdowa w żałobie będzie teraz

spędzać czas w odosobnieniu, ale może przyśle tu dzisiaj swoją służącą i dowiemy się czegoś więcej?

Signora Mercanti opadła na miękki fotel i przyjęła podaną przez Biankę słodką przekąskę, najwyraźniej zdecydowana na długi i przyjemny pobyt w sklepie. Dzwonek nad drzwiami znów się odezwał i pojawiły się kolejne klientki. Wszystkie z zapałem rozprawiły o Landuccich, zbliżających się balach karnawałowych i o wielkich czynach dzielnego Il Leone.

Il Leone. Julietta raz jeszcze zerknęła ku oknu na placyk, a potem pograżyła się w sklepowym zameęcie, choć odczuwała zupełnie niewytłumaczalne pragnienie, by pobiec za tym człowiekiem. Chciała go błagać, aby pomógł jej stąd uciec na swych wielkich, śmigłych statkach.

Ucieczka. Tak. Gdyby tylko mogła. Gdyby człowiek ten mógł pokonać jej lęki z podobną łatwością, jak rozprawił się z piratami. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Demony, które ją dręczyły, były poza zasięgiem wspaniałego Il Leone.

Rozdział czwarty

- I jak? - spytał Nicolai. - Widziałeś ją?

Marc przystanął, by zerknąć jeszcze raz na niebiesko malowane drzwi, nad którymi kołysał się drewniany szyld, przedstawiający flakonik z pachnidłem. Przez chwilę wyobrażał sobie pod nim właścicielkę. Oto Julietta Bassano - wysoka, chłodna, dumna, pełna dystansu, a mimo to przecież chyba nie całkiem obojętna. Gdy pieścił przegub jej dłoni, wykwitł na jej policzkach uroczy rumieniec.

- Widziałem. - I co?

Marc wzruszył ramionami.

- Po prawdzie, to nie bardzo wiem, co stary Ermano w niej widzi - skłamał.

Nicolai roześmiał się głośno i przyjaźnie, tak że aż dwie urodziwe służące przystanąły obok i popatrzyły na nich z zainteresowaniem. Nie był to odpowiedni moment, by zwracać na siebie uwagę, na to miał przyjść czas później. Marc popchnął

przyjaciela ku niemal bezludnej tawernie, gdzie wkrótce obaj zajęli miejsca w ciemnym kącie, każdy z kielichem taniego piwa i porcją pierożków z mięsem.

- Myślę, że widzi przede wszystkim jej piękną willę na północy i żyzne pola dookoła - stwierdził Nicolai, rozpierając się na popękany krzesło. Tego dnia zmienił swój wspaniały jedwabny kostium Arlekina na zwykły strój z rdzawej wełny, a złociste włosy ściągnął z tyłu głowy. Mimo to nie umiał wyzbyć się przyciągających uwagę spojrzeń urodzonego aktora i niecierpliwych gestów długich ramion. Marc nie pierwszy raz zaczął się zastanawiać, czy jego przyjaciel jest w stanie podjąć roli, jaką miał odegrać w tej intrydze.

Nicolai należał jednak do nielicznych ludzi, którym Marc mógł zaufać, a jako wędrowny aktor znał w Wenecji mnóstwo miejsc i jeszcze więcej ludzi. Bywał w najbardziej mrocznych zakątkach republiki, miał też taki dostęp do wszystkich tajemnic i plotek, na jaki Marc, który wrócił tu pierwszy raz, odkąd miał sześć lat, na pewno nie mógł liczyć.

Jeszcze nie, ale wkrótce miało to się zmienić. Wkrótce to jasne miasto położy się przed nim na plecach, rozchyli swoje mieniące się klejnotami nogi niczym dziewczka, biorąca dwa skudy, i da mu wszystko, czego pragnie i żąda. Przyszedł czas wykonania planu, nad którym pracował od dziecięcych lat.

Niech Bóg ma w opiece tych, którzy spróbują mu stanąć na drodze. Nawet tę kobietę z kruczoczarnymi włosami i mleczną skórą, pachnącą kwiatami i smutkiem.

Marc pociągnął długi łyk piwa, smakującego odpowiednio do ceny.

- Żadna willa czy farma nie wydaje mi się warta rabanu, jaki podnosi Ermano. Zresztą on i tak ma już bogactw pod dostatkiem.

- Może jaśnie pan hrabia wie, że przez swoje uporczywe i prowadzone publicznie zaloty do wdowy Bassano wystawia się na pośmiewisko - powiedział Nicolai z ledwo zauważalnym akcentem, jaki pozostał mu jako pamiątka z dawno opuszczonej rodzinnej Rosji. - I to jeszcze bardziej zwiększa jego upór.

Marc przypomniał sobie oczy Julietty Bassano, ciemne jak cienki lód na jeziorze i dwa razy bardziej niebezpieczne.

- Na pewno masz rację.

Nicolaï również upił nieco piwa, nie przestając omiatać wzrokiem wnętrza tawerny.

- Jaki będzie następny krok, przyjacielu?

- Och, naturalnie zaloty do pięknej pani - odrzekł Marc z nieszczerym śmiechem. - To ona jest kluczem do wszystkiego.

- Zważywszy na czekającą nas wkrótce karnawałową swobodę, kto wie, co się może zdarzyć.

- Właśnie.

- Tylko błagam cię, Marc, uważaj.

Ton Nicolaia, zwykle przesycony cynizmem, stał się nagle poważny, wręcz uroczysty. Marc podejrzliwie zerknął na przyjaciela znad krawędzi kielicha.

- Zawsze uważam. Jak inaczej mógłbym ocalić życie, będąc korsarzem?

Nicolaï pokręcił głową.

- Ermano słynie ze swej zdradzieckiej natury nawet w tak niebezpiecznym i zwodniczym mieście, jak Wenecja.

Marcowi przemknął przed oczami przykry obraz złotych włosów rozsypanych na marmurowej podłodze, zamglonych niebieskich oczu i krwawej rany na śnieżnobiałej szyi.

- Wiem.

- Wciąż chcesz zawrzeć pakt z diabłem?

Marc przełknął osad z dna kielicha.

- Muszę. Kosztowało mnie wiele starań, by do tego doprowadzić. Złożyłem przysięgę i muszę ją wypełnić. I tak minęło już zbyt wiele czasu.

- Nie myliłem się. Jesteś uparty jak muł i byłeś taki zawsze, odkąd spotkałem cię w tym zapluskwionym niemieckim domu uciech.

- Możesz się w każdej chwili wycofać - odparł Marc ze śmiechem. - Nie zależy mi na ruinie tych nielicznych przyjaciół, których posiadam. To przecież moja i tylko moja sprawa. - Mówiąc te słowa, Marc dobrze wiedział jednak, że nie stać go na rezygnację z pomocy Nicolaia. Musiał ją sobie za wszelką cenę zapewnić. Nicolaï uratował mu życie w tym domu uciech, Marc mu się potem odwzajemnił trzykrotnie. Teraz znów on potrzebował wsparcia przyjaciela, i to bardziej niż kiedykolwiek.

Nicolai uśmiechnął się, powróciwszy do swojej postaci Arlekina.

- A jaką inną rozrywkę znalazłbym w tych nużących dniach? Trupa wyjeżdża do Mantui dopiero wtedy, kiedy skończy się Wielki Post i ludzie znów będą chcieli się weselić. Póki co moje skromne umiejętności są do twojej dyspozycji, Il Leone. -

Nicolai na chwilę spochmurniał, równie szybko jednak wrócił mu uśmiech. - Większa część Wenecji zapewne nie zgodzi się z poglądem, że to wyłącznie twoja sprawa.

Będą cię błagali, żebyś pozwolił im wnieść swój wkład.

Zanim Marc zdążył mu odpowiedzieć, drzwi tawerny się otworzyły. Do środka dostał się zimny podmuch i kilka promieni słońca, a wraz z nimi również służąca Julietty Bassano. Dziewczyna podeszła do kontuaru, kołysząc pasiastymi spódnicami i frędzlami szala narzuconego na plecy.

- Jej służąca - mruknął Marc. - Ma na imię Bianca, jeśli dobrze zapamiętałem.

- No tak. - Nicolai skinął głową. - Najbardziej zaufaną powiernicą damy często bywa służąca. A ta wydaje się bardzo dobrze poinformowana. - Z tymi słowami Nicolai wyszedł zza stołu i ruszył w stronę Bianki. Wkrótce w zakurzonej wnętrze tawerny rozległy się flirciarskie chichoty.

Marc położył kilka monet obok opróżnionych kielichów i wyszedł. Nicolai znalazł sobie zajęcie na dłuższy czas.

Na dworze było zimno, ale poranna mgła ustąpiła miejsca wątlęmu, szarozłocistemu światłu słońca, rozjaśniającemu mroczne wody i pastelowe ściany domów. Marc ciasniej otulił się peleryną i wtopił w tłum, spieszący za różnymi sprawami. Z czapką nasuniętą na oczy miał pewność, że nikt nie rozpozna w nim Il Leone, mógł więc bez przeszkód wędrować w dowolnym kierunku.

O dziwo, niczego nie pragnął bardziej, jak wrócić do niebiesko malowanych drzwi. Zatracić się pośród aromatów we wnętrzu sklepu i przyglądać się wysokiej, eleganckiej damie, krzątającej się za kontuarem i wyciągającej przed siebie ramię pachnące fiołkami. Była naprawdę niezwykłą zagadką, taką, którą chce się rozwiązywać pomалу, bez pośpiechu, delektując się każdym krokiem.

Jeszcze i na to jednak było zbyt wcześnie. Zrozumiał to, gdy obracał się w stronę placu. Zapowiedział przecież, że wróci za dwa dni. Te dwa dni były po to, by

zaczęła o nim myśleć, by intryga dała pierwsze owoce pragnienia. Były też dla niego, aby pomyślał o niej i o wszystkim, co chce od niej uzyskać. Dwa bardzo długie dni.

Tymczasem musiał wykonać ważne zadania. Podeszedł do nabrzeża kanału z zamiarem przywołania gondoli.

Julietta siedziała wyprostowana na łóżku i głośno oddychała przez usta. Mimo ognia, wciąż płonącego na kominku i wielu warstw pościeli, odczuwała zimno, przenikające ją do szpiku kości. Drżąc, przesunęła dłonią po twarzy, a potem potrząsnęła głową, aby pozbyć się resztek sennego koszmaru. Nie pomogło, wciąż miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, przenika spojrzeniem jej duszę i obnaża wszystkie jej sekrety.

Zapaliła świecę na nocnym stoliku i łagodne żółtawe światło zalało niewielką sypialnię. Naturalnie nie było w niej nikogo, oprócz niej. Tylko sterty książek na wszystkich stolikach i krzesłach, kilka sztuk garderoby oplątanych czarno-białymi serpentynami i opróżniony do połowy kieliszek dobrego wina.

- To tylko sen - szepnęła. Nawet nie pamiętała jego treści. Pozostały jej w głowie gwałtowne ruchy, jaskrawe barwy i para wyjątkowo przenikliwych oczu w odcieniu turkus.

Wzdrygnęła się, stanąwszy bosymi stopami na chłodnej drewnianej podłodze. Jej wykończony futrem szlafrok leżał w nogach łoża, zlekceważyła go jednak i podeszła do okna jedynie w cienkiej, płóciennej koszuli. Zimno dobrze jej robiło, przywracało ją do rzeczywistości, wolnej od wszelkich, dręczących koszmarów.

Srebrzystożłoty półksiężyc wciąż wisiał wysoko nad horyzontem na czarnym niebie, do świtu brakowało jeszcze wielu godzin. Długich godzin oczekiwania. W nocy zawsze wszystko wydawało się bliższe, i przeszłość, i przyszłość - ani od jednego, ani od drugiego nie było ucieczki.

Wenecja była jednak miastem tajemnych nocy, ciemnych i głębokich wód, mrocznych wejść do domów.

- Chodź do nas - przyzywały ją szeptem wody. - Będziesz do nas należeć, wiesz przecież, że jesteś nasza, pokażemy ci cuda, o jakich nawet nie śniłaś. Damy ci wszystko, czego pożądasz, czego szukasz, tylko musisz nam się poddać.

Poddać się. Tego nie zrobiłaby nigdy. Julietta Bassano urodziła się, by stać samotnie i nieustannie walczyć z tym, kim była, kim obawiała się, że jest. Ale w takie noce...

W takie noce Eros i Thanatos, miłość i śmierć, splatały się w uścisku na ciasnych uliczkach miasta, a ją przenikały bardzo przyjemne tęsknoty. Uwielbiała Wenecję, a nocami czuła się z nią zjednoczona grą pozorów.

Oparła czoło o chłodną szybę i spoglądając na opustoszały placyk poniżej, przypominała sobie mężczyznę, który ostatniego ranka odwiedził jej sklep. Il Leone, Marc Antonio Velazquez. Bez względu na nazwisko, pod jakim chciał występować, był niebezpieczny. Zrozumiała to w chwili, gdy dotknął jej ręki, a jej ciało nagle ożyło.

Straciła ciężki warkocz z ramienia i wyciągnęła rękę, by otworzyć okno. Potem zamknęła oczy i rozkoszowała się chłodnym powiewem, dotykającym jej twarzy i szyi, wsuwającym się w głęboki dekolt koszuli, odsłaniający jej piersi. Przez chwilę wyobrażała sobie, że to twarde dłonie Marca ujmują ją za ramiona, a potem tyczą gorący szlak coraz niżej i niżej. Towarzyszy im rześki, aromatyczny oddech, przejmujący ją dreszczem oczekiwania...

Madre de Dio!

Julietta raptownie uniosła powieki i przekonała się, że wciąż samotnie wpatruje się w pustkę. W oddali rozbrzmiewały śmiechy i muzyka, ale nie przyglądał jej się czarodziej z turkusowymi oczami. Nie miała co liczyć na pieszczoty.

Niebezpieczny człowiek, to prawda. Kiedy była młoda i płocha, wyobrażała sobie, że będzie miała przystojnego, uroczego męża i że połączy ich taka miłość, jak damę z rycerzem w czytanych przez nią romansach. Tęskniła za jego pocałunkami, z nabożną czcią myślała o jego głosie, dotyku i spojrzeniu. To wszystko zniszczyła niepohamowana przemoc, która zabiła w niej tę dziewczynę raz na zawsze.

Po śmierci Giovanniego rozpoczęła nowe życie w Wenecji. Miała kilku kochanków, subtelnych i dyskretnych mężczyzn, których pocałunki sprawiały jej przyjemność, nie budziły w niej jednak nieokiełznanej pasji, jaką pamiętała z pierwszych spotkań z Giovannim. Za to ich odejście nie pograżało jej również w czarnej rozpacz.

Marc Antonio Velazquez był do tego zdolny. Wyczuwała to intuicyjnie. Ten człowiek coś ukrywał, piękny strój, ogłada i pociągający wygląd były jedynie sztafażem. Tylko starannie zamaskowana dusza potrafi natychmiast poznać drugą, podobną. Marc oznaczał dla niej zupełnie niepotrzebne komplikacje. Przecież miała teraz udane życie. Ustabilizowane. Całkiem bezpieczne.

Dla takich mężczyzn, jak Il Leone, nie było w jej świecie miejsca. Musiała to sobie bardzo wyraźnie powiedzieć.

Zamknęła okno, po czym włożyła szlafrok i ukradkiem opuściła pokój. Bianca cicho pochrapywała na pryczy w korytarzu, ale Julietta ją ominęła i wąskimi schodami zeszła do ciemnego teraz sklepu. Okiennice były dokładnie zamknięte, drzwi zaryglowane i wsparte antabą, niemożliwe, by ktoś dostał się do środka na przeszpiegi. Mimo to starannie zbadła całe pomieszczenie metr po metrze, zajrzała do każdego słoiczka i flakonika, aż wreszcie podeszła do tajnych drzwi w ścianie.

Wymacała znajomy sęk w boazerii i nacisnęła. Płyty rozchyliły się na tyle, że mogła między nimi przejść. Zapaliła świecę i zrobiwszy krok naprzód, zamknęła się w swoim prywatnym świecie.

W jej kryjówce nie było okien ani nawet świetlika, tylko miękkie światło świecy rozświetlało mrok. Miała tu wszystko, czego potrzebowała. Na dwóch długich, wąskich stołach pod ścianami stały niezliczone wagi, zlewki, srebrne czarki, moździerz z tłuczkiem, było też mnóstwo noży, łyżek i łyżeczek. Pod dwiema pozostałymi ścianami leżały stosy książek: manuskryptów i inkunabułów, które pracownice i z wielkim kosztem gromadziła przez ostatnie trzy lata. Tylko w części odziedziczyła je po matce i babce. Sąsiadowały z nimi przykryte koszyki i ceramiczne miski oraz liczne rzędy zakorkowanych buteleczek. Z ciemnych krokwi zwisały wiązanki suszonych ziół i inne, rzadko spotykane specyfiki. Tych ostatnich klienci jej perfumerii za nic nie powinni byli zobaczyć. Za nic i pod żadnym pozorem.

Julietta bez ociągania przystąpiła do pracy, minęła już bowiem połowa nocy. Przygotowała sobie materiały - zlewkę z przezroczystym płynem, małe nożyczki i moździerz z tłuczkiem - zapaliła też lampkę oliwną. Mrużąc powieki powędrowała wzrokiem po zasobach ziół, by ocenić, które tej nocy będą jej potrzebne. Anżelika na pewno, pokrzywa, ruta i majeranek - wszystkie one miały wielką moc ochronną, słu-

żyły też mądrości. Srebrnymi nożyczkami odcięła po gałązce z każdej wiązki i wrzuciła je wszystkie do srebrnej czarki. Wtedy uklękła przy stole, złożyła dłonie i z całej siły zacisnęła powieki.

- O, Najpotężniejszy - szepnęła. - Błagam cię, aby tej nocy objawiły mi się potrzebne tajemnice i abym odzyskała należne mi miejsce w świecie. Pomóż mi dojrzeć prawdę. Prowadź mnie w tym, co robię. Chroń mnie.

I pomóż mi odgadnąć, czego szuka w Wenecji *signor* Velazquez - dodała, ścisząc jeszcze bardziej głos.

- Amen. - Julietta przeżegnała się, wstała i wzięła do ręki moździerz. Te nocne godziny należały niepodzielnie do niej, do wiedzy, którą zdobyła już dawno od swej nieszczęsnej matki i od babki. Musiała ona pozostać wyłącznie jej własnością, w przeciwnym razie groziła jej śmierć.

Coś jednak kazało jej to robić, mimo iż zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Musiała korzystać ze swej wiedzy, by pomagać innym kobietom w potrzebie. Takim jak Cosima Landucci i jak ona sama. Nie powstrzymywała jej nawet groźba stosu.

I nawet turkusowe oczy czarodzieja nie zmieniają jej drogi. Drogi wybranej raz na zawsze.

Rozdział piąty

- *Madonna!*

Głos Bianki, odbijający się echem wśród skrzynek i pudełek składziku, zaskoczył Juliettę. Omal nie rozbiła sobie głowy, kiedy zatoczyła się do tyłu, trzymając w obu dłoniach słoiczki z olejkami. Liczyła właśnie świeżo otrzymany towar, choć tak naprawdę jej myśli błądziły w zupełnie innym kierunku, ku eksperymentowi, którego przedmiot spokojnie puszczał bąbelki, fermentując w tajnej pracowni.

I bardzo pilnowała, żeby na ich drodze nie znalazł się Il Leone.

- Słucham, Bianco. - Ostrożnie odłożyła słoiczki do wyściełanego pudełka. - Potrzebujesz pomocy w sklepie?

Bianca zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, zakrywając usta chusteczką, by nieco stłumić wzbierający chichot.

- Przyszedł.

Julietta natychmiast zorientowała się, o kim mowa. Odwróciła się plecami do służącej, aby ukryć nagły rumieniec na policzkach, i zainteresowała się leżącymi na podłodze księgami inwentarzowymi. Musiała się opanować i natychmiast skończyć z tym niedorzecznym zachowaniem. W interesach nie ma miejsca na westchnienia i chichoty.

- Pan Velazquez? - spytała.

- Tak. Wygląda jeszcze piękniej niż poprzednio.

- Wobec tego, Bianco, pachnidło dla niego znajdziesz pod kontuarem we flakoniku z fioletowego szkła. Możesz je zapakować dla tego „pięknego” pana. - Sądziła, że wybrała właściwy sposób postępowania i uda jej się po prostu zignorować go, ale los szykował inne rozwiązania.

- Nie mogę, *madonna*. On bardzo wyraźnie zażyczył sobie, aby to pani do niego wyszła.

Ciekawe dlaczego? Postanowiła, że zastanowi się nad tym później, kiedy zostanie sama. Teraz musiała go obsłużyć, był przecież ważnym klientem.

Wyprostowała się więc, zdjęła fartuszek i otrzepała kurz z czarnych spódnic. Dręczyło ją niedobre przecucie, zdecydowała jednak, że mu nie ulegnie, i wyminąwszy Biancę, otworzyła drzwi do sklepu.

Od rana panował tu duży ruch. Wielu ludzi chciało mieć na karnawał nowe pachnidła, toteż klientów nie brakowało, tym bardziej, że przy okazji liczyli na poznanie najnowszych weneckich plotek. Wczesnym popołudniem zapanował jednak większy spokój i w tej chwili Marc Antonio Velazquez był w sklepie jedynym klientem.

Odwrócony do niej tyłem, oglądał nowe francuskie lampki oliwne, miała więc chwilę, by mu się jeszcze raz przyjrzeć. Sądziła, że pamięć wyidealizowała go, czyniąc z niego postać niemal fantastyczną, okazało się jednak, że nie.

Tego dnia był ubrany w leśną zieleń, aksamit równie delikatny i elegancki jak ten czerwony, który miał na sobie przed dwoma dniami. Całe zdobienie stroju stanowiły srebrne lamówki w wykończeniu rozcięć rękawów i podbicie krótkiej pelerynki futrem ze srebrnego lisa. W długich palcach leniwie obracał zieloną czapkę, a na ciemnych, lśniących włosach igrały jaśniejsze refleksy od słońca. Stał zamyślony i widać było, że jego myśli krążą daleko.

Zastanowiło ją, nad czym tak rozmyśla, co kryje się pod powierzchownością tego eleganckiego bohatera, dzielnego kapitana, wychwalanego przez całą Wenecję. Prawdę mówiąc, bardzo chciała się tego dowiedzieć. Dawno już nie odczuwała takiego pragnienia, by zrozumieć drugiego człowieka i przewyciężyć uczucie samotności.

Dlaczego jednak miałyby to robić z kimś całkowicie dla niej obcym? Widziała go raz w życiu i od razu zaczęła snuć jakieś dziwne fantazje. Chyba pozwoliła się omamić jego urodzie, podobnie jak wszystkie weneckianki. W sklepie klientki mówiły bez końca o Il Leone, wciąż analizowały, z kim tańczył na balu i jakimi zaszczytami obdarzył go doża. Julietta miałyby go serdecznie dosyć, gdyby nie to, że w istocie chciwie chłoneła te plotki.

- Dzień dobry panu - powiedziała, wychodząc z cienia. - Witamy u nas ponownie.

Gdy odwrócił się do niej, jego zafrasowany wyraz twarzy zmienił się natychmiast w pełen czaru uśmiech, taki sam, jakim go wcześniej zapamiętała. Tylko oczy wydały się jej teraz ciemniejsze niż za pierwszym razem, powiedziałyby raczej, że to kolor morski, a nie turkusowy. Marc Velazquez delikatnie ujął jej rękę i ucałował na powitanie. Chociaż zrobił to szybko, wrażenie było silne. Większość kawalerów po prostu pochylała się nad dłonią damy, on jednak naprawdę dotknął gorącymi wargami jej palców i ogrzał je oddechem.

Julietta cofnęła się nieco zmieszana.

- Myślę... Pańskie pachnidło jest gotowe, *signor*. Wlałam je do flakonika ze szkła Murano, które pasuje kolorem do fiołków. - Schyliła się, by wyjąć naczynko spod kontuaru, celowo celebrując tę czynność nieco dłużej, niż było to potrzebne, aby odzyskać równowagę. Jego intymny dotyk wywołał u niej podobną reakcję. Odczuła nie tylko naturalne zainteresowanie jego seksualnością, lecz i coś więcej. Na małą chwilę ogarnęło ją coś mrocznego, nieuchwytnego, a przy tym niezwykle rozległego.

Dawno już nie dał o sobie znać jej tajemniczy dar, odziedziczony po matce. Czy możliwe, żeby ujawnił się akurat teraz, w obecności tego człowieka? Cóż to mogło znaczyć? Przecież to mężczyzna jak każdy inny.

Wyłoniła się zza kontuaru, usiłując powstrzymać drżenie ręki, w której trzymała fiołkowy flakonik. Najchętniej uciekłyby ze sklepu, gdzie pieprz rośnie, ale nie mogła. Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Marc Velazquez stanął po drugiej stronie kontuaru i pochylił się nad podarkiem. Na chwilę jego opadające włosy przysłoniły twarz, a Julietta poczuła się niezręcznie. Czyż nie tłumaczyła sobie przed chwilą, że to zupełnie zwyczajny mężczyzna i że nie łączy ich nic magicznego?

- Piękne - powiedział cicho.

Julietta obróciła flakonik w dłoni. Światło wpadające przez okno odbijało się w jego szlifowanych ściankach. Był naprawdę piękny, zrobiony przez jednego z najlepszych mistrzów szkła z Murano. Głęboki fiolet szkła rozjaśniały nieco małe ametysty, całości dopełniał filigranowy złoty koreczek.

- Mam nadzieję, że pańskiej matce się spodoba.

- Na pewno, bardzo, tak jak bardzo podobałoby jej się w Wenecji, gdybym mógł jej to miasto pokazać.

- To prawda, że jest tu wiele atrakcji, zwłaszcza o tej porze roku - przyznała Julietta. - Plac Świętego Marka, Pałac Dożów, ciekawe mosty...

- Piękne kobiety?

Roześmiała się, zaskoczona ta uwagą.

- Także. Wenecjanki słyną z wdzięku i urody. Przeniósł wzrok z flakonika na jej twarz.

- Moim zdaniem zwłaszcza jedna. Wdziękiem i urodą przewyższa wszystkie pozostałe.

Zaproszenie do flirtu było oczywiste, choć twarz mężczyzny pozostawała nadal poważna i nieprzenikniona.

- Widzę, że znalazłeś już, panie, damę, gotową przyjmować pana hołdy. Wydaje mi się, że powinna być szczęśliwa, przebywając w twoim towarzystwie.

- Jeszcze nie - odparł i z kocią zręcznością oparł się o kontuar, dopiero teraz obdarzając ją uśmiechem. Zrozumiała, czemu zawdzięcza swój przydomek. Smukły, dumny, niebezpieczny... naprawdę był lwem. - Mam jednak nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

- Gdybyś szukał, panie, dla niej podarku...

- Szukałbym, gdybym wiedział, jak można ją zadowolić. - Błyskawicznym, choć płynnym ruchem chwycił ją za przegub dłoni i stwardniałą opuszką kciuka przesunął po jej srebrnym pierścieniu. - Ona, zdaje się, zupełnie nie dba o klejnoty. - Omiótł wzrokiem jej skromną czarną pelerynkę, wiszącą przy drzwiach do składziku. - Drogie futra też jej nie interesują.

Czyżby chodziło mu o nią? Przecież każda kobieta w mieście była gotowa usłać mu kwiatami drogę do swojego łóża, dlatego Juliettaomal się nie roześmiała, tak absurdalna wydała jej się ta myśl, lecz mężczyzna nadal nie odrywał wzroku od jej twarzy.

Co tu się dzieje? Nie była naiwną panną, by sądzić, że Marc Velazquez rzeczywiście jej pożąda, choć wbrew temu, co sądziła, w głębi duszy miała odrobinę nadziei. Przypomniała sobie doznanie, które ogarnęło ją, gdy pierwszy raz dotknął jej

dłoni. Nie, ponad wszelką wątpliwość coś się wtedy stało, jakby ciepły podmuch wiatru zjawił się znienacka i zatańczył między nimi.. Bardzo chciała zrozumieć, dlaczego tak to wtedy odczuła.

Cofnęła rękę, ale pochyliła się ku niemu. Owionął ją czysty zapach oceanu.

- Karnawał jest szczególnym czasem - szepnęła. - Niektórzy twierdzą, że nawet magicznym. Maski dają wolność, pozwalają spojrzeć na ludzi inaczej niż zwykle, szukać prawdy, kryjącej się za przebraniem. Wtedy zdarza się, że do głosu dochodzi pragnienie. Może i ty, panie, znajdziesz to, czego szukasz, podczas takiej nocy tajemnic. Może znajdziesz to, czego zawsze pragnąłeś?

Patrzyli na siebie w napiętym milczeniu. Nie dotykali się, ale ich ciała były blisko siebie, bardzo blisko. Julietta nie miała pojęcia, skąd przyszły jej do głowy te ostatnie słowa. Matka zawsze zarzucała jej nadmierne zamykanie się w sobie, skłonność do zadumy. Czasami, córko - mówiła - powinnaś po prostu wyrazić to, co dyktuje ci serce.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Julietta miała zresztą jak najgorsze doświadczenia, zważywszy na to, dokąd szczerowość zaprowadziła matkę. Ale te ostatnie słowa były szczerze. Karnawał istotnie wydawał się wyjęty z czasu, stanowił okres, w którym na jedną noc można było zapomnieć o realiach własnego życia, o tajnej pracowni, hrabim Ermano i mediolańskiej przeszłości. Maski na twarzy dawała nieograniczone możliwości.

- Czy to były słowa prawdy, *madonna*? - spytał szorstko. Skinęła głową, słysząc w duszy nakazujący głos matki: Idź za głosem serca.

- Czy wobec tego uczynisz mi, pani, ten zaszczyt i dotrzymasz towarzystwa jutro wieczorem, po zaślubinach z morzem, podczas balu na placu Świętego Marka? - spojrzał na nią z bardzo bliska, lecz mimo to nie potrafiła niczego wyczytać z jego twarzy, tak była nieprzenikniona, a jego turkusowe oczy niczego nie zdradzały.

- Tak, *signor*. Pójdę z tobą na bal.

Rozdział szósty

Na nabrzeżach Wielkiego Kanału kłębiły się tłumy, żywa, pulsująca masa ludzkich ciał, przybranych w aksamity i jedwabie, ozdobionych klejnotami i maskami. Zapach perfum zmieszany z dziwną słodką wonią, która zawsze zdawała się unosić nad kanałami, górował nad śmiechem, rozmowami i dźwiękami muzyki, a wszystko to razem oplatało całą Wenecję niczym złocista sieć. Tego dnia miała się odbyć uroczystość zaślubin z morzem. Nikt nie chciał stracić takiej atrakcji.

Julietta nie stanowiła w tym wyjątku. Przeciskała się przez ciżbę i korzystając ze swego ponadprzeciętnego wzrostu, starała się znaleźć miejsce, z którego będzie miała dobry widok na paradę, zanim ta wypłynie na lagunę i zniknie. Bianca podążała z tyłu, ściskając panią za rękaw w obawie, że rozdzieli je tłum. Wreszcie znalazły znośny punkt obserwacyjny na samym brzegu kanału.

Julietta zacisnęła dłoń na pasiastym paliku, do którego zwykle wiązano gondolę, tym razem jednak miał służyć jej jako zabezpieczenie przed napierającymi zewsząd ludźmi. Z jej lewej strony stała otoczona wianuszkami admiratorów kurtyzana z kasztanowymi włosami, barwionymi henną, kusząca krągłymi, kobiecymi kształtami, które osłoniła karmazynową suknią, mieniącą się srebrem. Dolatywał stamtąd ciężki zapach gardenii i bergamoty oraz jeszcze silniejszy odór kwaśnego, marnego wina. Po drugiej stronie Julietta miała młodą parę z dwójką dzieci, zapewne rzemieślników, jeśli sądzić po ich skromnych strojach i woni zwyczajnego mydła. Tego dnia spotykali się tu wszyscy mieszkańcy Wenecji: bogaci mieszczanie i chłopcy, starzy i młodzi, zakonnice i kurtyzany, i tak miało być aż do końca karnawału, kiedy to ponownie wrócą do swoich światów i to dobrze im znanych, bo stale odgrywanych własnych ról.

Julietta przesłała uśmiech dwójce podnieconych dzieci i wbiła wzrok w kanał. Doża jeszcze się nie pojawił, ale i tak było na czym zatrzymać oko. Po czarnej tafli sunęły barki i gondole, malowane na czarno, złoto i białe, lśniące w słońcu niczym cesarskie szkatuły na klejnoty. Wszystkie były pięknie udekorowane kwiatami i jaskrawymi, wielobarwnymi wstążkami. Na większych gondolach siedzieli

muzykanci, a dźwięki żywej muzyki tanecznej, granej na lutniach i wiolach, wtapiały się w ogólną atmosferę wesołości.

Od przyjazdu do Wenecji Julietta widziała już tę wspaniałą paradę wiele razy i zawsze oglądała ją z tą samą radością. Kojarzyła jej się bowiem z niezwykłym motylem, przypominała dawne dni, kiedy ona sama, jako młoda dziewczyna, żyła bez troski i nie czekała na nic innego tylko na następną zabawę, tańce, dworską pieśń miłosną. Teraz nie ulegała już temu żywiołowi tak spontanicznie, wciąż jednak lubiła chłonąć jego nastrój. A dziś dodatkowo była podniecona myślą, że zobaczy znowu Il Leone, tajemniczego Marca Antonia Velazqueza.

I będzie mogła z nim zatańczyć... Do diabła z tymi wszystkimi sekretami!

Thanatos zginął gdzieś w słonecznym świetle, pozostał tylko Eros, pełen przewrotnych pomysłów na romanse. A może raczej Dionizos, pomyślała, widząc, że jeden z adoratorów kurtyzany zatacza się niebezpiecznie ku krawędzi nabrzeża. Tylko dzięki przyjaciołom, którzy przytrzymali go w odpowiedniej chwili, pozostał na ładzie. Kobieta i jej towarzystwo, radośnie się zaśmiewając, nadal podawali sobie z rąk do rąk butelkę.

- *Signora* Bassano, jakże mi miło!

Uśmiech Julietty zgasł. Aksamitny, elegancko akcentowany głos zabrzmiał na dole, dokładnie poniżej miejsca, gdzie stała, i natychmiast zmaćił jej radość z pięknego dnia. Byłaby gotowa przysiąc, że właśnie w tej chwili szara chmura zakryła słońce, choć gdy spojrzała w górę, przekonała się, że niebo wciąż jest nieskazitelne.

Zgodnie z oczekiwaniami ujrzała w odległości pół metra hrabiego Ermana Grattiano. Podpłynął majestatyczną gondolą z czarnymi, obficie złożonymi burtami, na których zatknięto czarno-złote pióropusze. Aksamitne zasłony nadbudówki rozsunięto, dzięki czemu wszyscy pasażerowie byli widoczni.

Jak zawsze hrabia Ermano prezentował się równie wspaniale jak jego łódź. Miał wams ze złotego atłasu, wykończony gronostajowym futrem i złotym galonem, płaszcz bez rękawów podbity tym samym futrem co wams i nogawice w biało-złote pasy. Diament wielkości nieomal kurzego jaja mienił się imponująco pośrodku jego kapelusza ze złotogłowiu.

Pasuje do swojego właściciela, pomyślała z ironią Julietta.

Hrabia był starszy od niej o wiele lat, ale wciąż mógł kokietować swymi gęstymi, szpakowatymi włosami, schludną bródką i chłodnymi, zielonymi oczami, bystro spoglądającymi z pociągłej, wyrazistej twarzy. Miał też wyćwiczony szeroki uśmiech i ogładę, która maskowała brutalną siłę i bezwzględność, kryjące się za tą efektowną powierzchownością. Doszedł do wielkiego majątku w Wenecji Euganejskiej, a czy uczciwie, o tym krążyły sprzeczne pogłoski. Sprawował na dworze doży ważną funkcję w Savio ai Cerimoniali, instytucji organizującej wizyty zagranicznych władców, ministrów i ambasadorów. Nawiasem mówiąc, to właśnie tam trwał ostatnio istny pomór, wielu dostojników odeszło z tego świata, a wśród nich *signor* Landucci. Dom hrabiego, Palazzo Grattiano, należał do najwspanialszych w mieście. Hrabia żenił się czterokrotnie, za każdym razem z panną świetnego rodu, majątną i piękną, ale wszystkie jego żony, niestety, przedwcześnie umierały.

Teraz, zdaje się, zamierzał dodać do swojego majątku niedużą willę Julietty i jej gospodarstwo na północy, które otrzymała wskutek ugody od rodziny męża, kiedy opuszczała Mediolan. Być może hrabia zamierzał dodać do tego również samą Juliettę, choć dla niej było to zupełnie niezrozumiałe. Mógł mieć przecież na jedno skinienie palcem każdą młodą, krągłą kurtyzanę w tym mieście, i nie potrzebował wysokiej, chudej i posępnej wdowy. Jednak bez względu na to, co nim kierowało, z wielkim uporem dążył do celu. Odkąd spotkali się jakiś czas temu na placu Świętego Marka, przychodził do jej sklepu, przysyłał drobne podarki i zapraszał ją na przyjęcia do swego pałacu. A teraz też ośmielił się zakłócić jej świąteczną radość.

Julietta zbyt długo ociągała się jednak z odpowiedzią na pozdrowienie. Ludzie dookoła zaczęli patrzeć się na nią ze zdziwieniem, że ignoruje tak znaczącą osobę. Nawet gwar w jej najbliższym otoczeniu wyraźnie przycichł.

Julietta spojrzała śmiało prosto w oczy hrabiego, który przyglądał jej się spod przymrużonych powiek, z wątlym uśmiechem na wargach. Obok niego, skryty częściowo w cieniu nadbudówki, stał, krzyżując ramiona na białym aksamitnym wamsie, jego syn Baltazar, i przyglądał się całemu temu zamieszaniu z marssem na młodzieńczej twarzy. Był on dziedzicem włości Ermana i jego jedynym dzieckiem, zawsze jednak zachowywał się jak nieszczęśliwy książę, targany jakąś ukrytą pretensją do świata. Mimo to był przystojny, miał twarz z wysoko osadzonymi kośćmi

policzkowymi i zielonymi jak mech oczami, oraz ciemne, proste włosy opadające na ramiona. Tego dnia wydało się Julietcie, że dostrzega w nim coś dziwnie znajomego, czego wcześniej nie zauważyła.

- Dzień dobry, panie hrabio - odrzyknęła i nieznacznie dygnęła.

- To prawda, że dobry, skoro panią zobaczyłem, *signora* Bassano - odrzekł dwornie, aczkolwiek, choć jego zachowaniu nic nie można było zarzucić, zawsze wyczuwało się w nim kpinę. Hrabia zdawał się wiedzieć, że budzi zmieszanie Julietty, i wyraźnie znajdował w tym przyjemność. - Proszę mi wybaczyć, że nie odwiedziłem wcześniej twego, pani, sklepu, ale byłem w podróży. Wizytowałem moje majątki.

Ach, więc to tak, pomyślała Julietta. I w tym momencie przyszła jej na myśl mikstura odstręczająca, nad którą pracowała. Do diabła z tym!

- Ufam, że wszystko jest w porządku.

- W najlepszym, rzecz jasna. - Hrabia przechylił się nad burtą gondoli i wbił w nią swoje szmaragdowe spojrzenie. - *Signora*, czy zechcesz, pani, towarzyszyć nam podczas parady? Mamy dość miejsca na gondoli, by pomieścić panią i jej służącą.

Julietta nie miała najmniejszej ochoty znaleźć się w zamkniętej przestrzeni paskudnie luksusowej łodzi z hrabią i jego synem. Zacisnęła dłoń na paliku tak mocno, że aż drzazgi wbijały się jej w skórę. Przez chwilę zdawało się jej, że widzi przed sobą nie najzwyczajniejszą gondolę, prowadzoną przez śmiertelnika, lecz łódź Charona, czekającego, aby przewieźć ją do Hadesu.

Usłyszała nagle głośny oddech Bianki i poczuła dłoń służącej, zaciskającą się na jej rękawie. To od razu sprowadziło ją na ziemię. Hrabia przyglądał się jej dalej w skupieniu, jakby chciał wzrokiem zmusić ją do posłuszeństwa. Miał takie dziwne oczy...

- Nie, dziękuję... - zaczęła.

- Och, *signora* Bassano, nie może mi pani odmówić. - Hrabia położył na sercu upierścienioną dłoń. - Mamy wyłącznie mężczyzn na łodzi, czujemy się więc osamotnieni, prosimy zaś, aby dotrzymała nam pani towarzystwa tylko przez krótką chwilę. Mogę zapewnić, że będzie pani dobrze widziała całą ceremonię.

Zanim Julietta zdążyła ostatecznie odmówić, obok nich rozległy się głośne okrzyki, całkowicie zagłuszające głos hrabiego Ermano. Na wielkiej ozdobnej barce,

zwanej „Bucentaurem”, która miała zająć miejsce na czele parady, pojawił się doża Andrea Gritti. Odziany był we wspaniałą szatę ze złotogłowiu, wykończoną gronostajowym futrem, podobną zresztą do stroju hrabiego Ermano. Gdy „Bucentaur” znalazł się na wodach laguny, ruszyły za nim inne łodzie. Muzyka stała się głośniejsza, zapowiadając uroczysty finał. Zewsząd rzucano wonne kwiaty najróżniejszych kolorów. A tuż za dożą stał... Nie! Niemożliwe.

Przyjrzała się dokładnie, ale o pomyłce nie było mowy. Marc Velazquez, ubrany w granatową aksamitną szatę, trzymając w dłoni czapkę ozdobioną klejnotami, wpatrywał się w morze. Wiatr mierzwił mu długie, ciemne włosy i nadawał wygląd pirata, mimo że Marc stał w tak dostojnym towarzystwie.

Przypomniała sobie, że wieczorem idą razem na bal. Czy naprawdę powinna, skoro Marc robi wszystko, by zwracać na siebie uwagę? Będiesz w masce, tłumaczyła sobie w duchu. Nikt cię nie pozna. Tylko na niego popatrz. Czy możesz oprzeć się pokusie zatańczenia choćby raz z takim mężczyzną?

Ten przeklęty głos wewnętrzny zawsze ją kusił. Znów spojrzała na Marca. Śmiał się beztrudnie z głową odrzuconą do tyłu, pełen tajemniczej siły. Wydawał się organiczną częścią nieba i morza. Niestety, pokusa była nieodparta.

Hrabia Ermano z Baltazarem również odwrócili się, by obserwować paradę, a Julietta, korzystając z chwili ich nieuwagi, uciekła. Wkrótce, szybciej niżby chciała, musiała stanąć do konfrontacji ze swoją nieokiełznaną namiętnością do Marca Velazqueza. Ale jeszcze nie teraz.

W prywatnym salonie Palazzo Grattiano cisza aż dzwoniła w uszach po radosnej wrzawie, jaka panowała na zewnątrz. Ruchliwe światło ognia, odbijające się w marmurowej posadzce, było mocno stonowane w porównaniu z krzykliwą feerią świątecznych barw. Marcowi jednak odpowiadało to uspokojenie. Wreszcie mógł pomyśleć, wyjść choćby na chwilę ze skóry wielkiego bohatera. A miał się nad czym zastanawiać.

Był tymczasem sam, ponieważ Ermana Grattiano zatrzymał na dole inny doradca doży. Wsłuchując się w odgłos swoich kroków, Marc podszedł do wysokiego okna z widokiem na kanał i rozsunął ciężkie, ciemnozielone draperie, wpuszczając do pokoju pomarańczowe promienie gasnącego światła dnia.

Salon nie był przesadnie wielki, w odróżnieniu od publicznych pomieszczeń w pałacu. Nie urządzano w nim balów ani uroczystych kolacji, spotykała się tu podczas posiłków rodzina, aby móc w spokoju porozmawiać. Mimo to wnętrze było niezaprzeczalnie wystawne. Ściany pokryto tapiseriami, przedstawiającymi sceny z życia świętej Lucyny, wstawiono eleganckie rzeźbione meble, zdobione złoceniami i obiciami z jasnozielonego brokatu. Masywny marmurowy kominek wyglądał ni mniej, ni więcej jak monumentalny grobowiec, podtrzymywany przez atlasy, a zwieńczony postaciami świętych i serafinów.

Wiele czasu minęło, odkąd Marc był poprzednio w tym pokoju, wołał nawet nie pamiętać, jak wiele. Nic się jednak w wystroju nie zmieniło, jeśli nie liczyć kilku portretów na jednej ze ścian. Wnętrze wciąż tchnęło nieprzyjemnym chłodem.

Marc odsunął draperie do końca, aby słoneczne światło sięgnęło najmroczniejszych zakamarków pokoju, po czym pochylił się nad marmurowym parapetem. Poniżej po kanale przesuwali się dziesiątki łodzi pełnych świętujących ludzi w maskach, rozgrzanych śmiechem, winem i obietnicami nadchodzącego wieczoru. Wkrótce sam miał dołączyć do tej ciżby. Włożył pelerynę i maskę, odnajdzie piękną Juliettę Bassano i wypełni wieczór muzyką, tańcem i wszystkim, co jeszcze może się zdarzyć.

Julietta Bassano.

W ostatnich dniach myślał o niej znacznie więcej, niżby sobie tego życzył. Jej twarz pojawiała mu się przed oczami w zupełnie nieoczekiwanych chwilach, na przykład, gdy spożywał na złotych talerzach posiłek u jakiejś wybitnej rodziny albo słuchał muzyki w salonach, a nawet gdy leżał już w łóżu, udawczy się na spoczynek. Przypominał sobie jej wysoką postać, tchnącą spokojem Madonny, widocznej nad kominkiem. Zawsze opanowana, elegancka i chodząca własnymi drogami.

W snach swoich widywał ją zupełnie inaczej. Nie dalej jak ostatniej nocy przebywała w wynajmowanej przez niego komnacie. Czarne, rozpuszczone włosy opadały na jej ramiona i smukłe plecy, po surowej czarno-białej sukni nie było śladu, pozostała tylko w cienkiej koszulce, która barwą i fakturą kojarzyła się z księżycową poświatą. Pochylała się nad nim, leżącym wśród aksamitnych poduch, z nieśmiałym uśmiechem na wargach. Powoli, delikatnie dotknęła opuszkami palców jego szyi,

przesunęła dłoń po ramieniu i obnażonym torsie, zostawiając rozgrzany ślad. Pochyliła się nad jego uchem, muskając go jedwabistymi włosami, i zaczęła mu szeptać obco brzmiące słowa.

Nawet we śnie wiedział, że Julietta zdradza mu niezwykle i cudowne sekrety, będące kluczem do jego najtajniejszych pragnień. Nie mógł jednak skupić się na nich i zapisać ich w pamięci. Był tylko dotyk, jej magiczny dotyk i tęsknota za pieszczotą jej warg, zetknięciem z nagimi piersiami.

- Do kroćset! - Marc energicznie plasnął dłonią o marmurowy parapet, po czym otworzył okno, by odetchnąć świeżym powietrzem. Rozpiął ciasny, wysoki, zdobiony klejnotami kołnierz wamsu, który bezlitośnie uwierał go w szyję, i przeczesał dłonią włosy.

Mimo rzeźwiących podmuchów sen nie rozwiął się jednak całkowicie, tak bardzo wydawał mu się realny, tak bardzo go poruszył. Julietta Bassano miała być tylko środkiem prowadzącym go do celu, ogniwem w łańcuchu, który starannie wykładał od wielu lat. Nie mógł pozwolić, by ktokolwiek stanął mu na drodze. A jednak te oczy...

Drzwi do salonu skrzypnęły. Marc odwrócił się, wyrwany nagle z zadumy, i przekonał się, że na progu nie stoi bynajmniej Ermano Grattiano, lecz jego syn Baltazar. Przystanął nieśmiało. Był wysoki, niezgrabnie wychudzony, pełen ognia i tej tęsknoty, jakiej nie potrafił jeszcze zrozumieć ani opanować, gniewny i niespokojny.

Marc wyczuwał to doskonale, ponieważ niegdyś sam, mając osiemnaście lat, bardzo przypominał Baltazara, dosłownie kipiąc pasją życia. Był jednak tylko adoptowanym synem hiszpańskiego kupca, a cały jego kapitał stanowiły spryt i ambicja. A Baltazar Grattiano miał przecież kiedyś odziedziczyć wielki majątek ojca. Pieniądze, ziemię, statki i klejnoty.

Kobiety? Czy także jedną czarnowłosą wdowę, ukrywającą mnóstwo tajemnic? Marc przez chwilę bacznie przyglądał się Baltazarowi. Nie, ten smukły młodzieniec nie potrafiłby docenić subtelności i tajemnic takiej kobiety, jak *signora* Bassano. Choć może któregoś dnia zdoła to zmienić, jeśli nie pójdzie w ślady ojca, nie dostanie się we władzę niespożytego pragnienia, by posiadać i niszczyć.

Nie odczuwał wrogości wobec Baltazara. Nawet nieco mu współczuł, mimo wielkiego majątku, jaki w przyszłości będzie należał do syna hrabiego. Ale mimo to nie mógł pozwolić, by chłopak stanął mu na drodze.

- Witam cię, panie, Baltazarze - odezwał się, gdy młodzieniec wciąż stał na progu, niepewny co robić dalej.

Baltazar popatrzył na niego z dziwnym blaskiem w zielonych oczach.

- Widzę, że ojciec każe panu czekać, *signor Velazquez*.

Marc wzruszył ramionami.

- To nie jest przykrość, jeśli się czeka niedługo w tak pięknym pokoju ze wspaniałym widokiem.

Baltazar stanął obok Marca przy otwartym oknie, i diamenty naszyte na jego pikowanym, krótkim kaftanie zaczęły załamywać ostatnie promienie słońca. Również jego pas zdobiły diamenty i ametysty, a wielki jak paznokieć na kciuku diament zwisał mu z ucha, będąc częścią filigranowego złotego kolczyka.

Poniżej przepływała gondola. Srebrnowłosa piękność, która eksponowała w niej swoje długie nogi w czerwonych pończochach, z promiennym uśmiechem pomachała im ręką. Baltazar odpowiedział jej lekkim ukłonem.

- Podobno doża darzy cię wyjątkowymi względami, panie - odezwał się, nie odrywając wzroku od kobiety w czerwonych pończochach.

- Szczęście mi sprzyja, odkąd przybyłem do Wenecji - odrzekł Marc. - Wielu ludzi okazuje mi życzliwość.

- Dlaczego mieliby tego nie robić? Jesteś, panie, Il Leone. Również mój ojciec potraktował cię bardzo łaskawie.

Marc przyjrzał się młodzieńcowi bardzo uważnie, tłumiąc wzrastającą irytację wenecką obłudą.

- Pańskiego ojca i mnie łączą interesy.

- Naturalnie wzajemnie korzystne.

- Czy ktokolwiek prowadzi inne?

- To prawda. - Baltazar wreszcie oderwał wzrok od srebrnowłosej piękności i zwrócił się ku Marcowi. - Nie wszyscy jednak są przychylni okazywaniu ci łaski, panie. Zdaniem niektórych jesteś jedynie korsarzem, najemnym żołnierzem.

- Nieraz już miałem do czynienia z zawiścią, Baltazarze. Musisz, panie, wiedzieć, że podąża ona za wszystkimi ludźmi, którzy cokolwiek znaczą. Doceniam jednak ostrzeżenie.

Na marmurowych schodach niedaleko drzwi do pokoju rozległy się kroki i dał się słyszeć cichy pogłos męskiego śmiechu. Baltazar zerknął niespokojnie w tamtą stronę.

- Mój ojciec nie toleruje kwestionowania jego pozycji. Nawet ze strony partnerów w interesach.

- Nie mam ambicji, by stać się doradcą doży. Niedługo opuszczam Wenecję. Baltazar skinął głową.

- Mimo wszystko w tym życiu należy zachowywać daleko posuniętą ostrożność, *signor* Velazquez.

Obrócił się i odszedł długimi, młodzieńczymi krokami, w drzwiach bez słowa mijając ojca.

- O, *signor* Velazquez - powitał go serdecznym tonem Ermano. - Cieszę się, że mój syn dotrzymał panu towarzystwa w czasie, gdy zatrzymały mnie inne sprawy. Posłałem już po wino i przekąski.

- Pański syn wydaje się bardzo obiecującym młodym człowiekiem - stwierdził Marc i odwrócił się ponownie do okna. Poniżej w świetle pochodni ujrzał biały wams Baltazara i jego samego, jak wsiadał do gondoli srebrnowłosej kurtyzany. Objęła go za szyję i oboje odpłynęli.

- Obiecującym? - Ermano zerknął spod przymrużonych powiek w stronę kanału. - Jest pan bardzo uprzejmy, wyrażając taką ocenę, a ja naturalnie mam w związku z nim wielkie nadzieje. To mój jedyny syn. Obawiam się jednak, że zbyt wiele odziedziczył po matce. Ona pochodziła ze znakomitej rodziny, ale brakowało jej ducha.

Upierścienioną dłonią wskazał jeden z nowych portretów na ścianie, przedstawiający bladą, pulchną damę w atlasach, sobolowym futrze, z licznymi klejnotami. Czwarta hrabina Grattiano. Marc udał, że przygląda się obrazowi, w rzeczywistości jednak obserwował hrabiego. Obaj byli mniej więcej równego wzrostu, wyższego niż przeciętny, ale hrabiego cechowała mocniejsza budowa i pewna

przysadzistość, a jego umięśnione kiedyś ciało powoli obrastało tłuszczem. Szpakowate włosy i broda wciąż były gęste, spojrzenie bystre. Jednym słowem, starzejący się lew wciąż nie zamierzał jeszcze ustąpić zaszczytnego miejsca swemu następcy.

- Pan wie, że miałem cztery żony? - podjął refleksyjnym tonem Ermano. - Wszystkie były z dobrych, bogatych rodzin i przysłużyły się mojemu majątkowi, ale tylko jedna zdołała dać mi dziedzica, który przeżył. Chłopaka słabego i opryskliwego. Boję się o los mojego majątku, kiedy mnie zabraknie:

- Wielu młodych ludzi ma początkowo okresy, kiedy wydają się do niczego niezdolni. Baltazar też jest młody. Pewnie z tego wyrośnie.

- Modłę się o to. - Ermano zwrócił się ku Marcowi. Oczy miał tak samo zielone jak syn, ale bardziej skupione, a mniej gniewne. - Założyłbym się jednak, że w twoim życiu, panie, nie było takiego okresu, *signor Velazquez*. Twoi rodzice to prawdziwi szczęściarze.

Marc omal się nie roześmiał z tej wyrafinowanej ironii.

- Przekażę te uprzejme słowa mojej matce, panie hrabio.

Może pomogą jej zapomnieć o dniach mojego młodzieńczego buntu, kiedy wbrew jej woli nie wstąpiłem do stanu duchownego.

- Twój ojciec nie żyje?

Marc dobrze pamiętał Juana Velazqueza, wysokiego, śniadego człowieka łatwo wybuchającego gniewem, a jeszcze łatwiej śmiechem. To on nauczył Marca wszystkiego o statkach i żegludze i zaraził przybranego syna miłością do morza.

- Niestety nie. Moja matka przebywa obecnie w klasztorze pod Sewillą.

- To dla niej prawdziwe błogosławieństwo, że wydała na świat syna, który zyskał sobie przydomek Il Leone, lew.

Służący wnieśli do salonu półmiski ze słodkimi przysmakami, przerywając im rozmowę. Wysoki, milkliwy Turek nalał do kielichów wina z korzeniami i skłoniwszy się, wyszedł, a tymczasem Marc i Ermano usadowili się na obitych brokatem fotelach przy wielkim kominku.

- W każdym razie jeszcze nie porzuciłem nadziei - odezwał się znów hrabia. - To prawda, że nie jestem już młody, ale nie jestem również bardzo wiekowy.

Mógłbym spłodzić następnych dziedziców, a może nawet córki, które dobrze wyszłyby za mąż i przysporzyły jeszcze więcej chwały nazwisku Grattiano.

Marc omal nie zachłysnął się winem, słysząc o małżeńskich planach Ermana.

- Życzę powodzenia w tym przedsięwzięciu - zdołał z siebie wydusić.

- Naturalnie ich matka musiałyby być silna - powiedział Ermano, przytakując. - Oczekiwałbym też po niej bystrości umysłu i pewnego temperamentu. O ile wiem byłeś, panie, już w sklepie *signory* Bassano dwa razy.

Ach, więc w tym rzecz. Ermano doszedł do wniosku, że to wysoka, tajemnicza Julietta jest wymarzoną kobietą na matkę jego przyszłego potomstwa. Marc omal nie zaczął jej współczuć. Odstawił kielich wina na najbliższy inkrustowany stolik.

- Owszem, byłem. Wydała mi się bardzo interesująca i bardzo kobieca.

- *Si*, to prawda - zaśmiał się Ermano. - I trudna. Kiedy próbujesz się do niej zbliżyć, kłuje jak karczoch. Nie wątpię jednak, że środek, kiedy już się do niego dobrać, jest na pewno słodziutki.

Na samą myśl o łapskach Ermana, dotyczących słodziutkiego środka Julietty, Marc mimowolnie zacisnął zęby.

- Czy ona cię, panie, polubiła? - ciągnął Ermano, obojętny na złość Marca. - Czy będzie z tobą szczerą?

Marc odetchnął głęboko.

- Trudno powiedzieć. Sam, panie hrabio, raczyłeś zauważyć, że jest dość kolczasta. I wydaje się, że bardzo przezorna.

- Nieważne, do ciebie, panie, nabierze przekonania. Jesteś wszak Il Leone, bohater Republiki! Musisz ją, panie, dalej odwiedzać, zdobyć jej zaufanie. Wtedy przystąpimy do następnej części naszego planu. - Opuścił kielich, by uroczyście spojrzeć na Marca znad jego brzegu. - Nie pożałujesz, panie tego, że zgodziłeś mi się pomóc, *signor* Velazquez. Mam duże wpływy w Wenecji. Potrafię być wspaniałym przyjacielem, ale i groźnym wrogiem.

Marc ani drgnął, wytrzymując w bezruchu spojrzenie hrabiego. Ja też, Ermano, pomyślał. Ja też.

Rozdział siódmy

- Jak sądzisz, Bianco, czy nie przyniosę wstydu mojemu towarzyszowi? -
Julietta powoli obróciła się przed lustrem i nawet zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy spódnica nie ma załamań.

- Och, *madonna!* Jaka piękna suknia - wykrzyknęła Bianka, przyglądając jej się błyszczącymi oczami. - Gdzie ją, pani, ukrywałaś?

- Naturalnie w kufrze. - Kiedyś stanowiła część jej wyprawy, potem jako niepotrzebna znalazła się na samym dnie kufra. Julietta nie wiedziała nawet, po co zachowała tę suknię. Większość swoich wspaniałych strojów pozostawiła w Mediolanie. Kunsztownie haftowane jedwabie i aksamity nie nadawały się do pracy w sklepie, były zbyt ostentacyjne i ozdobne. Może w tym przypadku zadziałał jakiś sentyment. A może podświadome przeczucie, że suknia będzie jeszcze kiedyś potrzebna?

Julietta zakończyła obrót i jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Pod spodem miała jedwabną koszulkę w kolorze kości słoniowej, cieniutką, miękką, przetykaną lśniącymi złotymi nićmi, bardzo odpowiednią do sukni ze złotego atłasu z koronkowym wykończeniem stanika i spódnicy. Rękawy ze złotogłowiu były wiązane białymi wstążeczkami, zaopatrzonymi w złote koraliki. Suknia wyszła już z mody kilka lat temu, rękawy były za wąskie, spódnica jak na obecne wymogi nieco zbyt pełna i stan zanadto podniesiony, jednak koronki wciąż robiły duże wrażenie.

Bianka zaczęła zaszywać naddarty rąbek, a Julietta zajęła się włosami. Zwykle poświęcała im niewiele uwagi. Rano szczotkowała je i zaplatała w warkocz, który następnie spinała i przykrywała przezroczystą siatką, żeby nie przeszkadzały jej w pracy. Wcale nie tęskniła za pracochłonnymi fryzurami, jakie nosiła w młodych latach. Tego wieczoru postanowiła jednak pozostawić włosy rozpuszczone, jakby była jeszcze dziewczyną. Czarna, gęsta zasłona sięgała jej więc do talii, przepleciona tu i ówdzie biało-złotymi wstążkami.

Bianka zakończyła pracę i odsunawszy się, popatrzyła na Juliettę z uznaniem.

- Wyglądasz, pani, jak słońce.

- Miejmy nadzieję, że nie przypominam barana przebranego za jagnię - mruknęła, cytując ulubione powiedzonko starej Szkotki, która była jej piastunką.

- Jak to, *madonna*? - Bianka wyraźnie nie zrozumiała.

- Wierzę, że ludzie nie zobaczą we mnie podstarzałej wdowy, która usiłuje zatrzymać odchodzącą młodość.

- Na pewno nie! Zresztą wcale nie jesteś, pani, taka stara, a poza tym będziesz w masce.

- Aby ukryć zmarszczki więdźmy! - roześmiała się Julietta i istotnie sięgnęła po maskę leżącą na stole. Wykonana z cienkiej białej skórki i starannie ozdobiona złoceniami, miała wyraźne kocie rysy. Nałożona na twarz całkowicie zmieniała człowieka. Julietta odniosła wrażenie, że nagle przestała być szacowną, rozsądną wdową, prowadzącą sklep.

Kim więc była?

O tym miał rozstrzygnąć wieczór. Ciekawe, co pomyśli sobie *signor* Velazquez. Czy będzie dumny, że może zatańczyć z taką kobietą, czy raczej już żałuje, że pod wpływem nagłego kaprysu zaproponował jej wspólne spędzenie tego wieczoru?

Julietta wolno zsunęła maskę z twarzy. Nie mogła zrozumieć, zwłaszcza po paradzie, kiedy zobaczyła Marca u boku doży, co skłoniło go do wystąpienia z takim zaproszeniem. Cieszył się w tym mieście wielkim szacunkiem, był więc obiektem hołdów i zalotów. Niejedna kobieta z dumą pokazałaby się w jego towarzystwie na balu. A jednak to właśnie ją wybrał. Dlaczego?

Nie mogła się wyzbyć podejrzeń, dawno już bowiem nauczyła się, że za słowami i zachowaniami ludzi przeważnie stoją ukryte motywy. Nic nie jest takie, jak się zdaje. Marc Velazquez nie stanowił wyjątku, wiedziała o tym znakomicie od chwili, kiedy spojrzała w jego oczy. Były turkusowe jak niebo, lecz również wielkie i zmienne. Czysty horyzont o poranku może zwiastować wieczorną burzę, a rozważna kobieta, która do tego ma własne tajemnice, powinna unikać burz wywoływanych przez mężczyzn pokroju Il Leone.

Mimo to doznawała przecież czegoś zupełnie niespotykanego, kiedy trzymał ją za rękę, kiedy pochylał się, by spojrzeć na nią z bliska. Temu nie mogła zaprzeczyć.

Sekrety, owszem, były między nimi, podobnie jak nieszczerłość, ale uczucie, które ją ogarnęło, miało wielką moc. I wcale nie chciała, aby ustąpiło.

Karnawał najwidoczniej obudził w niej żądzę życia pełną piersią. Wzła nowe, wiązane białymi wstążkami brokatowe pantofelki na wysokim obcasie i podeszła do okna. Ludzie na dworze dosłownie się kłębili. Nie było to tak arystokratyczne towarzystwo, jak podczas uroczystości na placu Świętego Marka, ale równie radosne. Wszyscy nosili maski i peleryny, mieli też piękne kostiumy. Tańczyli i popijali wino, które tego wieczoru płynęło obficie z fontanny.

Zaczynało się życie poza czasem, okres nieokiełznanej wesołości i zapomnienia o codziennych troskach. Wszyscy mieszkańcy Wenecji ulegali tej sile, dlatego więc ona miałaby się jej opierać? Stanowczo za długo kierowała się wyłącznie rozsądkiem. Chciała pośmiać się, potańczyć, napić się wina.

- To tylko jedna noc - szepnęła do siebie. - Cóż złego może się zdarzyć?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie tuż przy oknie rozbił się z trzaskiem kruchy pocisk, eksplodując chmurą confetti i słodkim zapachem róż. Julietta roześmiała się, bardzo zaskoczona, i odprowadziła wzrokiem opadające drobiny papieru. Właśnie rzucono w nią pachnącym jajem, specjalnością karnawału weneckiego, robioną z wydmuszki, napełnianą pachnidłem i kolorowym confetti.

Bianca podeszła, aby sprawdzić, co tak rozbawiło jej panią, a tymczasem Julietta omiatała wzrokiem placyk w poszukiwaniu sprawcy. Nie musiała szukać daleko. Niedaleko progu jej domu stał wysoki mężczyzna w czarnym, aksamitnym wamsie i srebrnych nogawkach, okryty czarną peleryną, mieniącą się srebrnymi gwiazdami i półksiężycami. Chociaż miał na twarzy maskę w kształcie srebrnego półksiężyca, a włosy związał z tyłu, Julietta poznała go natychmiast.

Marc Antonio Velazquez. Il Leone. Przesłał jej uśmiech pirata, szykującego się do abordażu i wtargnięcia na jej teren.

Julietta wychyliła się z okna i potarła dłonią mur w miejscu, gdzie rozbiło się jajo. Podsunąwszy palce pod nos wyczuła, że zapach róż jest skażony nutą piżma.

- Marny wyrób, *signor* - zawołała.

Roześmiał się dźwięcznym, lekko schrypniętym głosem, który przyprawiał ją o ciarki.

- *Madonna*, twoje pachnidła są o wiele za dobre, żeby wylewać je na cegły. Jeśli jednak miałyby ci to, pani, sprawić przyjemność, chętnie uścielę ci drogę mirrą i liliami i będę sypał jej pod stopy najpiękniejsze perły Wschodu, bursztyny z Rosji i szafiry z Indii...

- To byłby dowód całkowitego braku rozsądku - odparła rozbawiona Julietta. - Z pokruszonych pereł niewielka korzyść.

- Proszę więc pozwolić, *madonna*, że wejdę do twojego domu i ozdobię sznurem pereł twą mleczną szyję, we włosy wplotę szmaragdy, a prywatną komnatę zasypię szafirami. Bylebyś tylko zechciała mnie, pani, obdarzyć jeszcze raz takim uśmiechem.

Julietta nie umiała powstrzymać ciepłego uśmiechu, słysząc obok tłumiony chichot Bianki. Nie zamierzała jednak się poddać, było o wiele za wcześnie na takie absurdalne flirty. O późniejszej porze, po tańcach i winie może...

- Cóż to za elokwencja, panie Księżycu?

- Czerpałem z najlepszych wzorców, pani Słońce - odrzekł. - Z poetów i dramaturgów, będących mistrzami swego rzemiosła.

- Wobec tego nie powinienesz, panie, marnować swoich talentów na kogoś takiego, jak ja - stwierdziła Julietta. - Nie potrzebuję pereł ani szafirów i nie wpuszczę nikogo do swojego domu. Nawet poety.

- Jaka szkoda, moje Słońce. Cierpię! - Przycisnął dłoń do serca. - Czy żadna z pokus, jakie roztaczam, do ciebie, pani, nie przemawia?

Julietta wsparła się pod brodę, udając namysł.

- No, może potańczyłabym trochę.

- Jestem do twoich, pani, usług! Również tańca uczyli mnie mistrzowie tej sztuki. Pawany, galiardy, moreski nie mają przede mną tajemnic.

Julietta ze śmiechem zatrzaskała okno. Gdy zamykała zasuwkę, jeszcze dwa jajka uderzyły w szkło, pozostawiając na nim smugi olejku i kawałki skorupki.

Chyba naprawdę oszalałam, pomyślała. Gdyby pozwoliła rządzić rozsądkowi, pozostałaby w domu, zamknięta w swojej tajnej pracowni. Ta noc była jednak czarodziejska, a ona czuła potrzebę odmiany. Nasunęła maskę na twarz, zawiązała złote tasiemki i wkrótce znalazła się na schodach w drodze ku swemu czarodziejowi.

Plac Świętego Marka w okresie świątecznym wyglądał wspaniale. Ze wszystkich stron otaczały go pochodnie, rzucające czerwonożółte światło na tłum weselących się ludzi. Stojące zwykle na placu kramy kupców i bankierów usunięto, by zrobić miejsce dla tańczących. Wszyscy mieli maski i byli przebrani w najróżniejsze stroje, od prostej czarnej pelerynki z białą maską, zwanej bauta, po wytworne, zdobione klejnotami szaty z jedwabiu i gazy. Obracali się w rytm olbrzymiej, volty w oszalamiającej kawalkadzie, z twarzami złotymi, srebrnymi lub w odcieniu kości słoniowej. Dziesiątki muzyków grało na lutniach, fletach i bębnach; a melodia stawała się coraz szybsza, niemal ekstatyczna. Wreszcie z okrzykiem

„La volte!" tancerze podrywali partnerki wysoko w powietrze. Wokół tańczących trwały popisy akrobatów w jaskrawych, zdobionych wstążkami kostiumach.

Julietta przyglądała się temu wszystkiemu z boku, trzymając Marca za ramię. Scena rozgrywająca się przed nią wyglądała jak wielkie, pogańskie malowidło. Cieszyło ją, że ma maskę na twarzy, nie było bowiem dzięki temu widać, że ze zdumienia otworzyła usta, niczym wieśniaczka. To, co widziała, wydawało jej się naprawdę zachwycające.

Naturalnie uczestniczyła już w karnawale, bo jeśli mieszka się w Wenecji, nie sposób tego uniknąć, zwykle jednak pozostawała blisko domu, tańczyła na swoim placu, czasem szła w masce na kolację do którejś z klientek lub do kogoś ze znajomych. Nigdy nie była świadkiem tak olbrzymiego i radosnego zgromadzenia.

I nigdy nie towarzyszył jej tak efektowny mężczyzna. Julietta zerknęła kątem oka na Marca. Odniosła wrażenie, że bacznie przygląda się tłumowi, choć jego srebrna maska nie miała żadnego wyrazu. Mięśnie ramienia, na którym się wspierała, były wyraźnie napięte.

- To zupełnie jak z Owidiusza - szepnął, pochylając się do jej ucha. - Pogańska horda czci swoich bogów.

- Też o tym myślałam - odrzekła. Właśnie minęli ich Apollo z Afrodytą w biało-fioletowych szatach, wieńcach laurowych na głowach i fioletowych maskach. - Być może to porównanie jest nawet trafniejsze, niż nam się zdaje, *signor* Velazquez.

- Daj spokój, moje Słońce. Możesz nazywać mnie Markiem, choćby tylko przez tę jedną noc.

Julietta znów skierowała wzrok na tancerzy, przeszkadzała jej jednak świadomość, że Marc nieustannie ją obserwuje.

Mówienie do niego po imieniu było w gruncie rzeczy błahostką, a jednak Julietcie przychodziło to z trudem.

- Dobrze...

Pochylił się jeszcze bardziej, tak że poczuła na twarzy jego oddech.

- Dobrze, Marc - odpowiedział.

Wbrew swojemu postanowieniu, by zachowywać dystans, pochyliła się ku niemu i nawet przez chwilę ich ciała się zetknęły.

- Dobrze, Marc. Ale tylko dzisiaj.

- *Va bene* - roześmiał się. - A ja będę dalej nazywał cię panią Słońcem. Tylko dzisiaj. - Z tymi słowami ujął ją za rękę. Skórę na placach miał stwardniałą, z odciskami, co przypomniało jej, że pod tymi kosztownymi aksamitami kryje się marynarz, człowiek morza i wiatru. Człowiek, który dobrze pasował do tej nocy masek.

- Chodźmy. - Pociągnął ją za sobą. - Zatańczymy.

Julietta nie tańczyła, w każdym razie tak prawdziwie już od bardzo dawna. Skomplikowane układy volty były czymś zupełnie innym niż zwykłe obroty oparte na kilku krokach. Posłusznie szła jednak za Markiem, póki nie znaleźli skrawka miejsca wśród tańczących.

Muzyka brzmiała głośno, w rozgrzanym powietrzu unosiły się liczne zapachy: róży, lilii, bergamoty, pomarańczy, piżmowy zapach ludzkiej skóry. Marc zsunął nieco z ramion swą krótką, gwiazdzistą pelerynkę, otoczył ramieniem jej talię i zaczął ją obracać w rytm muzyki. Ku jej zaskoczeniu rzeczywiście tańczył dobrze, miał giętkie, wyćwiczone ruchy i prowadził ją bardzo pewnie. Właściwie nie wiedziała, czemu się dziwi, do tej pory we wszystkim okazywał się doskonały. Rozbił piratów, prowadził grę polityczną na dworze doży, czarował osobistym wdziękiem pewną właścicielkę perfumerii i jej służącą. Czemu miałby źle tańczyć?

- *La volte!* - Rozległ się chóralny okrzyk. Marc mocniej zacisnął ramię wokół jej talii, wyrzucił ją wysoko w górę, przytrzymał i zaczął obracać szybciej i szybciej, aż tłum przed jej oczami zamienił się w jedną barwną plamę. W końcu jej stopy dotknęły ziemi, ale właśnie wtedy zabrzmiał kolejny okrzyk tłumu i znów Marc poderwał ją z ziemi, jakby ważyła tyle co piórko.

Co za radość! Od czasów dzieciństwa Julietta nie czuła się tak lekko, swobodnie, tak cudownie. Prawdę mówiąc, nawet z tamtych lat nie pamiętała aż takiej radości. A to wszystko dzięki odrobinie tańca, muzyki i światła. Zupełnie nie potrafiła tego pojąć.

Tymczasem melodia osiągnęła kulminację i zwolniła, a Marc postawił Juliette na ziemi. Przytrzymała się go przez chwilę i wtedy poczuła, jak muskularne jest jego ciało. Przyjemnie było go objąć. Był młody, silny i bardzo niebezpieczny.

Przyglądał jej się zza maski, a w świetle pochodni jego oczy lśniły jeszcze mocniej niż zwykle. Ciemny kosmyk, który uwolnił się spod czarnej wstążki, wyglądał na jego czole jak atramentowy znak zapytania. Julietta obwiodła wargi czubkiem języka, nagle bowiem odniosła wrażenie, że są całkiem suche.

- Świetnie tańczysz, panie - powiedziała cicho.

- Ty też, moje Słońce - odszepnął. - Czy chciałabyś, pani, zatańczyć jeszcze raz? - spytał, chowając twarz w jej włosach. Mimo jej okazałego wzrostu Marc był wyższy od niej o głowę.

- Chciałabym napić się wina - odpowiedziała.

Ujął ją za ramię i zaczął zręcznie prowadzić przez tłum, wymijając splecione w uściskach pary.

- Moreska - zawołał jakiś człowiek i rozległy się dzwonki, a tańczący wyrzucili ręce w górę, jakby chcieli pochwycić ich jasny dźwięk.

Nieco na uboczu stała marmurowa fontanna, z której płynęło czerwone wino, gęste i słodkie. Marc cisnął monetę paziowi, wziął od niego dwa napełnione srebrne kielichy i jeden z nich podał Julietcie. Swoją uniósł i zaczął deklamować po hiszpańsku:

- *Durmiendo, en fin, fui bienaventurado, y es justo en la mentira ser dichoso quien siempre en la verdad fue desdichado...*

Julia upiła łyk wina i poczuła na języku również smak cynamonu.

- A co to znaczy?

- To fragment sonetu. „Wreszcie, gdy w sen zapadłem, doznałem olśnienia, i jest w tym sprawiedliwość, by dać szczęścia złudę temu, dla kogo prawdę los w nieszczęście zmienia”.

- Dla kogo prawdę los w nieszczęście zmienia... Ładnie powiedziane.

- Zajmowałem się trochę wierszami Juana Boscana. On pisze o celu naszego życia, o znaczeniu miłości i złudzeń, o prawdzie i kłamstwie. Bardzo poruszające.

A więc Marc nie był tylko zwykłym człowiekiem morza. Przedstawił jej się już jako polityk, tancerz, poeta. Co jeszcze kryło się w jego duszy?

- Pięknie recytowałeś, pani. Obawiam się jednak, że nie docenię pana recytacji, bo niewiele wiem o hiszpańskich poetach. Za to bardzo lubię włoskich, zwłaszcza Petrarke.

- Znakomity wybór, Juliette Chętnie posłuchałbym, co sądzisz, pani, o jego ujęciu mitu o Dafne i Akteonie. - Z szerokim uśmiechem na twarzy cisnął paziowi kielich, aby napenił go ponownie. Wypił wino, odstawił naczynie i dodał: - Ale nie dzisiaj, moje Słońce. To jest stanowczo zbyt poważny temat jak na bal. Chodźmy jeszcze raz zatańczyć.

Julietta roześmiała się i pozwoliła pociągnąć z powrotem ku tańczącym. Wino poszło jej do głowy, trochę ją oszołomiło, ale przede wszystkim dało poczucie absolutnego i niekłamane go, wręcz niedorzecznego szczęścia. Skończyło się

Moreska wybrzmiała, a jej orientalne dzwonki i ozdobniki ustąpiły miejsca zwawemu bransle. Kroki nie były tu ściśle ustalone, można więc było dać upust fantazji. Wirując, oboje zajęli pozycje do tańca, a Julietta, wciąż w radosnym uniesieniu, objęła partnera. Marc roześmiał się, głęboko, dźwięcznie, głosem bardziej upajającym niż wino i prowadził ją coraz szybciej i szybciej...

W świetle pochodni rysowała się w głębi sylwetka bazyliki, potężna, ponadczasowa. Wyglądała jak przypomnienie Boga o tym, że wszystkie czyny mają swoje konsekwencje, choć nie groziła potępieniem. Wydawała się raczej życzyć wszystkim dobrej zabawy i przypominać, że wciąż będzie stała na tym samym miejscu i czekała na ludzi, gdy po karnawałowych szaleństwach nie pozostanie ani śladu.

Julietta wiedziała, że nazajutrz i ona wróci do szarej rzeczywistości. Tego wieczoru szukała jednak czego innego. Chciała się zapomnieć, zatracić, przeżyć swój sen.

Przesunęli się na skraj tłumu, cały czas tańcząc, i zakończyli taniec przy marmurowej kolumnie, podtrzymującej pałacowy taras. Nagle stworzyli w tym miejscu całkiem odrębny, dwuosobowy świat, mimo że dookoła wciąż grała muzyka i trwała zabawa. Julietta zsunęła maskę z twarzy i odrzuciła ją na plecy. Głowę wsparła o chłodny kamień kolumny.

Również Marc podniósł maskę na czubek głowy. Spojrzał na nią przenikliwie, i choć tylko trzymał ją za ręce, miał wrażenie, jakby połączył ich w tej chwili najbardziej płomienny uścisk. Jego twarz o nieprzeniknionym wyrazie była schowana w półmroku. Julietta obawiała się jednak, że u niej wszystkie uczucia widać jak na dłoni.

Marc wolno uniół jej rękę do ust i ucałował, potem tak samo uhonorował drugą. Przez moment zatrzymał wargi na jej skórze i nawet gdy je cofnął, pozostało ciepło rozlewające się wolno po całym ciele. Marc przytknął sobie jej dłoń do policzka.

- Kim jesteś, Julietto Bassano? - spytał półgłosem. - Skąd pochodzisz? Byłbym bowiem gotów przysiąc, że nie jesteś z tego świata.

Julietcie serce biło jak oszalałe, kiedy Marc składał pocałunek na przegubie jej dłoni. Nie mogła zrozumieć, co właściwie dzieje się tej dziwnej nocy, nie pojmowała ani swoich uczuć, ani samej siebie. Jeszcze nigdy nie doznała niczego podobnego, a nie miała pod ręką kart ani lustra, które mogłyby jej powiedzieć, czego może się spodziewać.

- Nie, tylko z Mediolanu - odszepnęła. Roześmiał się subtelnie.

- O nie, moje Słońce. Pochodzisz z kraju czulego ducha. Widzę to w twoich oczach. Nie są to oczy śmiertelnej kobiety. A mnie urzekł twój czar bez reszty.

On urzeczony jej czarem? Niemożliwe. Przecież było dokładnie odwrotnie. To ona była nim oczarowana.

Marc objął ją i przyciągnął do siebie. Koronka jej sukni zaczepiła się o aksamitny wams, a ich twarze znalazły się od siebie o jedno ciche westchnienie. Julietta lekko odchyliła głowę do tyłu...

- Szedł z kochanką zakochany, śpiewał: dana, dana, dana* - zabrzmiał głośny śpiew, a nad ich głowami hałaśliwie zadźwięczał tamburyn.

Julietta gwałtownie odsunęła się od Marca i machinalnie sięgnęła po sztylet, którego tym razem jednak nie miała. Każdy nerw jej ciała wieszczył niebezpieczeństwo. Po chwili tak oszałamiającego zapomnienia powrót do rzeczywistości był wyjątkowo brutalny.

Marc rozluźnił uścisk, a Julietta wykręciła się, chcąc dojrzeć intruza. Okazało się jednak, że to nie żołnierz ani najemny morderca, lecz zwykły aktor, Arlekin, ubrany w pstrokaty kostium, opinający się na jego wysokim, smukłym ciele. Lśniące złote włosy opadały mu do połowy pleców, a czarna maseczka zakrywała część twarzy, nie zasłaniała jednak szerokiego, psotnego uśmiechu. Arlekin roześmiał się i zaczął dokazywać, wciąż potrząsając niewielkim tamburynem.

Julietta miała ochotę udusić natręta za to, że tak gwałtownie rozwiął jej marzenia i czar karnawału. Z drugiej strony rozsądek podpowiadał jej, że powinna mu podziękować. Spełnienie pragnień związanych z Markiem Antoniem Velazquezem mogło wydawać się dobrym pomysłem w wirze zabawy, ale nazajutrz wyglądałoby zgoła inaczej. Jej życie już od dawna przypominało stąpanie po linie, więc każdy fałszywy krok mógł się okazać tragiczny w skutkach.

* Przełożył Leon Ulrich.

Zerknęła na Marca, który zmierzył Arlekina morderczym spojrzeniem. Potem opiekuńczym gestem ujął ją za ramię.

- Rzadko widuję aktorów z tak fatalnym wyczuciem czasu. Nicolai - powiedział złowieszczo niżonym głosem.

- Znasz, panie, tego szelmę? - spytała zdziwiona Julietta.

- Niestety tak. Obawiam się jednak, że po kąpieli, jaką urządzę mu w kanale, nie pozna go nawet rodzona matka. - Wolną ręką wykonał taki gest, jakby chciał pochwycić sprawcę zamieszania, ale Nicolai odsunął się tanecznym ruchem.

- Nie żartuj, Il Leone. Czy tak traktuje się przyjaciela? Wydawało mi się po prostu, że jest jeszcze za wcześnie na taką rozwiązłość i powinieneś oszczędzić trochę energii na później. - Nicolai obrócił się do Julietty i wykonał niski, bardzo kunsztowny ukłon. - A to musi być piękna Julietta Bassano. *Madonna*, która nie ma sobie równych.

Julietta mimowolnie uśmiechnęła się rozbawiona facecjami Arlekina, mimo że kosztowały ją one wymarzony pocałunek.

- Przykro mi to mówić, ale masz, panie, nade mną przewagę - zwróciła się do niego. - Znasz moje imię, a ja twój nie.

- Och, *madonna* - powiedział Nicolai z zabawnym północnym zaśpiewem. - Szczerze wątpię, czy ktokolwiek może mieć nad tobą przewagę.

Julietta zmarszczyła czoło, a Marc tym razem dosięgnął przyjaciela i wymierzył mu solidnego kuksańca.

- Ta szelma, jak słusznie go pani nazwała, to Nicolai Ostrovsky, główny komediant harczącej tutaj trupy. - Wskazał popisujących się w pobliżu akrobatów, Kolombinę w biało-czarnych jedwabiach, udającą, że nie zwraca na nich najmniejszej uwagi, karła, chodzącego po linie, i człowieka w zabawnej masce Dottore.

- Mam najlepszą trupę komediantów w całych Włoszech, *signora* - oznajmił Nicolai z kolejnym ukłonem.

- Nie wątpię - mruknęła Julietta.

- Dość czasu nam zająłeś, kozia głowo - odezwał się Marc i ponownie kuksnął Nicolaia. - Przyprowadziłem tu damę na tańce.

- Och, po to jesteśmy tu wszyscy. Ale bal stał się nużący i dość bezbarwny. Właśnie zamierzaliśmy przenieść się w lepsze miejsce i poświętować we własnym gronie. Czy chcecie się do nas przyłączyć?

Dwaj mężczyźni zmierzli się spojrzeniem, jakby coś zostało niedopowiedziane między nimi. Juliettę ogarnęła nagle niepohamowana ciekawość, zapragnęła dowiedzieć się, co kryje się za tą pozornie niewinną wymianą zdań i spojrzeń. Co mogą wspólnie knuć wilk morski i aktor?

- Tak - powiedziała, zanim Marc zdążył zareagować. - To znakomity pomysł. Prowadź nas, *signor* Nicolai.

Rozdział ósmy

Zaulek, do którego przyprowadził ich Nicolai, był wąski i ciemny, ciasno otoczony wilgotnymi murami z popękana zaprawą i obłazącym tynkiem. Julietta raz po raz potykała się na śliskich i nierównych kamieniach. Nawet w trzewiach miasta, z dala od wspaniałych pałaców, słychać było z dala odgłosy muzyki i tańców, tu jednak wszystkie drzwi były zaparte, a okna szczelnie zamknięte. Jedyne źródło światła stanowiła pochodnia niesiona przez Nicolaia.

Na chwilę wyszli na otwartą przestrzeń, na wąskie nadbrzeże wzdłuż kanału. W oddali ujrzała most, prowadzący do żydowskiego getta. Tam także błyskały światła i rozlegała się muzyka, ale było to jakby inny świat.

Nicolai obejrzał się za siebie. W blasku ognia błysnęły jego białe zęby.

- Nie zgubiłaś się, pani? - spytał. Julietcie wydało się, że słyszy w jego głosie kpinę, ale może była to kwestia rosyjskiego akcentu. - Proszę się nie martwić, już niedaleko.

Julietta zacisnęła palce na rękawie wamsu Marca. Nie wiedziała, czy ciekawość nie prowadzi jej prosto do piekła. Zdarzyłoby się tak nie pierwszy raz. A zdawało się jej, że zapanowała już nad nieokiełznaną chęcią zdobywania nowych doświadczeń. Tymczasem ten niezwykle wieczór ponownie wyzwolił w niej nieodparte pragnienie nowości. Powtarzała sobie jednak dla uspokojenia, że nazajutrz znów będzie sobą, a do jutra zostało niewiele czasu.

- Wszystko w porządku, Julietto? - spytał ją nagle Marc.

- Nie najgorzej - odrzekła, nie patrząc na niego.

- Znam Nicolaia wiele lat. On nie naraziłby nas na niebezpieczeństwo. Poza tym zawsze dobrze wie, gdzie można znaleźć najciekawszych ludzi. Jego towarzysze nigdy nie są nużący, za to zawsze potrafią się dobrze bawić.

- Bardzo sobie cenię to, co ciekawe - powiedziała cicho Julietta. - Zawsze, a w każdym razie prawie zawsze.

Marc wybuchnął śmiechem, co sprawiło, że Nicolai się zatrzymał i odwrócił do nich.

- Proszę bez żartów, przyjaciele, chyba że chcecie się nimi podzielić. - Przeszedł jeszcze kilka kroków i uniósł wyżej pochodnię, przystanawszy przed drzwiami. W świetle dnia były one prawdopodobnie żółte, teraz jednak zwracały uwagę tylko łuszczącą się farbą. - Jesteśmy na miejscu!

Zapukał w skomplikowanym rytmie, po czym nastąpiła cisza. Trwała tak długo, że Julietta zaczęła przestępować z nogi na nogę. Wreszcie usłyszeli skrzypnięcie i nad ich głowami ktoś uchylił okno.

- Czego chcecie? - rozległ się szept.

- *Salto pordego* - odpowiedział Nicolai. Okno z trzaskiem się zamknęło, za to drzwi stanęły przed nimi otworem.

Julietta zadrżała, gdy zerknęła nad ramieniem Nicolaia w mrok wnętrza. Nie widziała niczego oprócz światła świecy, padającego na białą ścianę, i dłoni w rękawiczce, która pokazała im, aby weszli. Wszystko wyglądało niezwykle tajemniczo, jak w opowieściach, które słyszała w dzieciństwie od swojej babki.

Puściła ramię Marca i z energicznie przestąpiła próg, podążając za Nicolaikiem oraz niesamowitą postacią w czerni, która wpuściła ich do środka. Marc, idąc za nią, pomagał jej, czuła na plecach jego krzepiącą dłoń.

Tymczasem schodzili po stromych schodach. Powietrze dookoła było zatechłe i wilgotne, jakby znaleźli się już poniżej poziomu morza. U podnóża schodów czekały następne drzwi szybko otwarte przez ich przewodnika. Julietta miała wrażenie, że zstępuje do innego świata.

Już bal na placu Świętego Marka wydawał jej się snem, ale to przeżycie nawet jej trudno było nazwać. Znalazła się w miejscu jakby stworzonym przez maga specjalnie na jej ztratę.

Obróciła się do Marca i wydało się jej, że podobnie jak ona, on też czegoś oczekuje i czegoś się spodziewa. Kiedy pierwszy raz go zobaczyła, skojarzył się jej z

czarownikiem. Teraz to wrażenie jeszcze się nasiliło, choć widziała tylko blask jego oczu.

- Sama się przekonałaś, *madonna* - odezwał się Nicolai. - Przecież mówiłem, że nasze święto jest znacznie bardziej interesujące niż te nudy na placu. Chyba się ze mną, pani, zgodzisz?

Odsunął się, by mogła dokładnie przyjrzeć się pomieszczeniu, które właśnie ukazało się ich oczom. Dużą, kwadratową przestrzeń bez okien, z bielonymi ścianami, obwieszono pochłaniającymi wilgoć tapiseriami. Pochodnie w kinkietach dawały dość światła, by można było zobaczyć, że nie są to typowe tkaniny o tematyce biblijnej lub mitologicznej. Przed stawiały one w jaskrawych kolorach dziwaczne stwory: wielkie koty, smoki, jednorożce, otoczone pasami ornamentów roślinnych.

Podobnie jak na placu, grała tutaj muzyka, rozbrzmiewały lutnie i nieduże mosiężne talerze, a dudniące bębny wybijały rytm, którym pulsowało całe otoczenie. Pośrodku kamiennej posadzki tańczyło kilka par, nie poruszały się jednak w żadnym określonym porządku, jak w pawanie, lecz po prostu podążały za rytmem bębnów, dowolnie schodząc się i oddalając od siebie. Niektóre kobiety miały dzwoneczki na przegubach i kostkach lub na rąbkach sukni, a ich srebrne dźwięki łączyły się z muzyką.

W kątach stały mosiężne piecyki, z których dobywał się słodkawo pachnący dym. Mebli nie było, ale po bokach rozłożono wielkie poduchy, na których uczestnicy zabawy mogli usiąść wygodnie lub nawet się położyć. Czerwono-czarne draperie sprawiały, że sufit wydawał się jeszcze bliżej podłogi niż w rzeczywistości. Julietta spojrzała po obecnych. Wszyscy byli w kostiumach i maskach, ale dominował klimat swobody i dobrej zabawy, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Jej napięcie powoli ustępowało.

- Masz rację, *signor* - powiedziała do Nicolaia.

- Wiedziałem, że ci się tu, pani, spodoba, a ja rzadko się mylę co do ludzi.

Proszę spytać naszego przyjaciela Il Leone.

- U boku Nicolaia pojawiła się Kolombina i dyskretnie przytuliła się do niego.

- Czekamy na ciebie, Nikolasza - szepnęła, przesuwając palcami po jego ramieniu.

- Przepraszam, że kazałem ci czekać, duszeńko - powiedział, obejmując ją w talii. - Miłego wieczoru, przyjaciele! - zawołał i zaczął wirować z Kolombiną w tańcu.

Julietta odwróciła się do Marca. Przez lata nauczyła się odgadywać intencje ludzi, przecież każdy klient, odwiedzający jej sklep czegoś chciał, ale w tym przypadku była bezradna. Intencji Marca odczytać nie umiała i bardzo ją to irytowało.

- Zatańczymy? - spytał Marc, składając pocałunek na jej ręce.

Julietta wyraźnie czuła skutki wypitego wina, więc trudno jej było podjąć decyzję, tym bardziej, że dotyk warg Marca jeszcze wzmagił uczucie oszołomienia.

- Później - powiedziała w końcu. - Chciałabym chwilę posiedzieć.

Skinął głową i zaprowadził ją na jedną z poduch. Usiadła z podkurczonymi nogami, bo choć najchętniej po prostu położyłaby się, nie mogła sobie pozwolić na tak wielką swobodę. Nie była dostatecznie pewna otaczających ją ludzi. Nie wiedziała, kim są.

Marc nie miał takich skrupułów. Wyciągnął się obok niej, kładąc głowę na jej kolanach, i zaczął się bawić frędzlami poduchy. Przypominał jej w tej chwili zadowolonego lwa, który powrócił z polowania.

Patrzyła na niego zafascynowana. Wyobraziła sobie, że palce, igrające ze spletanymi nićmi, dotykają jej ciała. Westchnęła z rozmarzeniem. W powietrzu unosiły się zapachy jaśminu, dymu, wina i ludzkiego ciała. Bębnienie stawało się coraz bardziej intensywne, coraz szybsze. Zamknęła oczy, ale to wcale nie stłumiło jej pożądania, a wręcz przeciwnie. Z drugiej strony panicznie bała się, że straci nad sobą kontrolę.

- Wina, *madonna*? - rozległ się nad nią cichy głos. Julietta uniosła powieki i dostrzegła kobietę w masce, trzymającą tacę pełną kielichów z opalizującego szkła Murano.

- Dziękuję - odrzekła, biorąc krwistoczerwone naczynie.

Takiego wina jeszcze nie знаła. Lekkie, białe, pozostawiało na języku wytrawny smak z bursztynowo-jabłkową nutą, lekko maślany. Napitek musiał być dość mocny, bo po jej ciele rozlało się miłe ciepło. Oparła głowę o ścianę i wolną ręką rozwiązała wstążkę, przytrzymującą włosy, powieki znowu jej opadły. Czuła w

nozdrzach lekką woń morza, mieszającą się ze słodkawym zapachem dymu i wina. To był jego zapach. Ostrożnie dotknęła skroni Marca.

Ile życia w nim było! Rozgrzany, silny i młody człowiek. A ona już od dawna pozostawała na wpół umarła, bezpieczna w świecie, który z wielką przezornością sobie stworzyła. Ale jeszcze nigdy nie spotkała nikogo, w kim tak bardzo odbijałaby się echem jakaś niewyobrażalna, kosmiczna siła. Gdy uniosła powieki, stwierdziła, że Marc jej się przygląda. W półmroku jego źrenice znacznie się powiększyły, przez co oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle, jeszcze bardziej nieprzeniknione.

- O czym myślisz, moje Słońce? - spytał cicho. Nie mogła mu powiedzieć, że o nim.

- Cieszę się, że spotkaliśmy dziś wieczorem twojego przyjaciela Nicolaia i że przyszliśmy z nim tutaj.

- To znaczy, że podoba ci się, pani, to miejsce?

- Bardzo. - Przeniosła spojrzenie na tancerzy, aby uciec przed jego skupionym wzrokiem. Muzyka stawała się coraz bardziej ekstatyczna, dźwięk bębnow dolał już chyba do najbardziej odległych wysp umarłych. Przelotnie dostrzegła Nicolaia w rozpiętym kostiumie Arlekina, trzymającego w ramionach Kolombinę. Śpiewnym głosem deklamował w rytm muzyki jakieś dziwne słowa w swoim języku.

Julietta ich nie rozumiała, ale brzmienie nieznannej mowy pasowało do jej nastroju. Wolnym ruchem przesunęła dłonią po policzku Marca, lekko chropowatym od świeżego zarostu i przeniosła ją na jego muskularne ramię. Marc poruszył się i rozpiął górne zapinki wamsu. Ponieważ koszulę też miał rozsznurowaną, Julietta mogła zerknąć na jego męski, spalony słońcem tors.

Przełknęła ostatni łyk wina i odstawiła kielich na podłogę. Natychmiast jednak pojawił się służący i podał jej nowy, pełny. Wbrew głosowi rozsądku skosztowała i tego. Było wytrawne, a z każdym łykiem coraz bardziej chciało jej się śmiać. Diabelski napój. Doskonale wiedziała jednak, że jej dziwny stan był wywołany nie tylko winem.

- Czy masz, pani, może łyk wina dla spragnionego marynarza, *signora*? - Marc lekko dotknął jej nadgarstka.

- Może - odrzekła Julietta, zaglądając do na pół opróżnionego kielicha. - Marynarzowi należy się nagroda za to, że mnie tu przyprowadził dziś wieczorem. - Przynęła kielich do jego warg. Marc wypił wino do dna, potem ułożył głowę na jej kolanach i zaczął bawić się złotą koronką przy jej sukni.

- Cieszę się, że tu jesteś, moje Słońce - powiedział. - Nicolai potrafi w każdym mieście wynaleźć jego najtajniejsze atrakcje.

Julietta, oparta o ścianę, wsunęła mu dłonie we włosy. Zamknęła oczy i zaczęła się kołysać w rytm muzyki.

- Długo go znasz, panie?

- Bardzo długo - odrzekł. - Poznaliśmy się w domu uciech w Niemczech. Wybuchła... no, dość żywa dyskusja i Nicolai uratował mi życie. Potem pokazał mi również inne, niezbyt obyczajne miejsca.

Julietkę rozbawiła myśl o tych dwóch mężczyznach żeglujących po Renie w poszukiwaniu wesołych dziewczek, które nie wszczynałyby dyskusji i nie próbowały rozbić klientom głowy.

- Wiem, wiem - podjął Marc. To nie było rozsądne i tłumaczy nas jedynie młodość Szumiało nam w głowie i brakowało rozsądku.

- A teraz?

- Teraz jestem starszy i mam odrobinę więcej rozumu.

Julietta powiodła palcem po jego czole, wyczuwając pod opuszkami drobne zmarszczki.

- Niewątpliwie jest pan wiekowym człowiekiem, Marc. Ale co miał do roboty wilk morski w Niemczech?

- Nie zawsze zdobywałem utrzymanie dzięki posiadaniu statku oraz tym, którzy byli gotowi zapłacić za moją umiejętność walki. Kiedyś pracowałem dla mojego ojca.

- Dla ojca?

- Był kupcem i znakomicie mu się wiodło. Miał wiele statków, które wpływały do wszystkich portów w poszukiwaniu rzadkich i egzotycznych towarów. Jeszcze jako dziecko zacząłem mu towarzyszyć podczas jego rejsów. Uczył mnie nawigacji, zaznajamiał z morzem i pokazywał, jak planować kurs, by uwzględnić kaprysy żywiołów. Zwiedziłem z nim kawał świata, Niemcy były tylko jednym z przystanków.

Julietta w milczeniu cieszyła się tym skrawkiem wiedzy o Il Leone. A więc mimo wszystko był śmiertelnikiem. Zazdrościła mu naturalnie tych podróży i przygód. Mógł obejrzeć świat, podczas gdy ona widziała jedynie rodzinny pałac w Mediolanie, a pożywkę dla jej wyobraźni stanowiły wyłącznie opowieści babki.

- To musiało być wspaniałe.

- Owszem - roześmiał się Marc. - Czasami było też groźne. Morze jest niezrównaną kochanką, ale ma swoje kaprysy. W jednej chwili wcielenie łagodności, a zaraz potem rzuca statkiem jak piórkiem. Mój ojciec zawsze powtarzał, że morze ma swoje wymagania.

- A co to znaczy?

- Jeśli urodziłeś się, by być marynarzem, nie możesz walczyć z żywiołem ani przed nim uciekać. Miał rację. Kocham życie na morzu i statki i nigdy nie uwolnię się od tej fascynacji. Ale... - zawiesił głos.

- Co takiego? - przynagliła.

- Ale to niełatwe życie. Mój ojciec dobrze to wiedział i w końcu morze się o niego upomniało. Matka chciała, abym poszedł do zakonu, i prawdę mówiąc, sędzę, że ojcu trochę by ulżyło, gdyby usłyszał, że dokonałem takiego wyboru. Bezpiecznego, stabilnego. Wiedział jednak, że podobnie jak on, mam morze we krwi i nic na to nie można poradzić.

Julietta omal nie wybuchnęła śmiechem, gdy wyobraziła go sobie z tonsurą.

- Czy byłbyś, panie, dobrym księdzem, Il Leone?

- Pani w to powątpiewasz? - spytał i uśmiechnął się do niej jak prawdziwy pirat. Dłoń, która od dłuższej chwili igrała z fałdami jej spódnicy, spoczęła teraz na nodze i zaczęła wolno przesuwając się ku górze. Jej dotyk sprawiał Julietcie niekłamano przyjemność.

- Pewnie w końcu zostałbyś, panie, kardynałem w Rzymie - szepnęła. - A może nawet papieżem.

- Owszem, całkiem mi się podoba pomysł bycia papieżem. Ale wolę życie marynarza, zwłaszcza w tej chwili.

- Czemuż to? - spytała. Była coraz bardziej zadowolona z łagodnie kołyszącego się świata.

- Bo gdybym został księdzem, nie byłoby mnie w tej chwili w Wenecji i nie siedziałbym tu z tobą, pani, w tym miejscu.

- Och, naturalnie. Przebywałbyś, panie, w papieskich apartamentach ze znacznie piękniejszą kobietą.

Musnął wargami jej skórę tuż powyżej krawędzi maski.

- Niemożliwe. Nie ma nikogo, kto byłby piękniejszy od Słońca. - Ręka Marca zaczęła powolutku podciągać rąbek jej spódnicy, sięgając aż do podwiązki.

- Próbujesz mnie, panie, uwieść? - szepnęła cicho.

- A mam szansę? - roześmiał się.

Otworzyła oczy. Był tak samo piękny jak przed chwilą. Lekko potargane włosy i śniada skóra na torsie budziły jej niekłamaną pragnienie. Nieodparta siła popychała ją ku temu człowiekowi. Prawie nieodparta.

Nie mogła bowiem udawać, że nie czuje jednocześnie płynącego z serca ostrzegawczego prądu. Ta chwila była zbyt piękna. Nie należało jej ufać. I temu człowiekowi również nie. Julietta zdecydowanym ruchem zdjęła rękę Marca ze swego uda.

- Nie dziś wieczorem, Il Leone - powiedziała. Jej głos zabrzmiał szorstko, ale przynajmniej nie drżał.

Większość mężczyzn wpadłaby w gniew z powodu tak gwałtownego odrzucenia, może nawet spróbowałyby przemocy, jak jej mąż. Ale Marc był inny.

- Szkoda, moje Słońce. Ranisz mnie - powiedział, obracając sprawę w żart. - Czy mogę zaproponować coś w zamian?

- Więcej wina - odrzekła. Zaszło jej w gardle i zrobiło się zimno, miała nadzieję, że trunek ją rozgrzeje, choć właściwie nie bardzo w to wierzyła.

- Jak sobie życzysz, pani. - Wstał i oddalił się lekkim krokiem, by spełnić jej prośbę.

Dym spowijał tańczących. Ich kroki stały się wolniejsze, a rytm bębnów mniej natrętny. Różne pary leżały na poduszkach i nie zważając na innych, wymieniały gorące pocałunki i pieszczoty.

Julietta poczuła, że boli ją głowa. Wieczór był niezapomniany, ale należało go zakończyć i iść do domu. Zamknąć się w tajnej pracowni i dobrze zastanowić nad znaczeniem tych wszystkich wydarzeń.

Powoli wstała. Musiała oprzeć dłoń o ścianę, by zachować równowagę, bo świat gwałtownie zawirował jej przed oczami. Gdy nieco zwolnił, rozejrzała się, ale nie dostrzegła ani Marca, ani Nicolaia z Kolombiną. Otaczali ją dziwacznie zamaskowani ludzie. Zamknęła oczy i głęboko odetchnęła, aby nieco dojść do siebie. Gdy ponownie uniosła powieki, jej wzrok padł na otwór w ścianie naprzeciwko, zasłonięty czerwoną tkaniną z egzotycznymi symbolami. Wcześniej nie zwróciła na niego uwagi, teraz jednak odniosła wrażenie, że coś ją ciągnie w tamtą stronę.

Energicznie odepchnęła się od ściany i zaczęła okręzać tańczących. Nagle opuściła ją ociężałość, miała wrażenie, że nogi same ją niosą. Chciała zrozumieć, co przyciągnęło ją w to miejsce, naturalnie oprócz zauroczenia Velazquezem. Musiała zajrzeć za zasłonę.

Wkrótce ostrożnie ją uchyliła i jej oczom ukazał się ciemny, kwadratowy pokój o ścianach całkowicie zasłoniętych ciężkimi tapiseriami. Jedyne światło padało z kąta, ze świecznika ustawionego na stoliku, przykrytym czerwonym jedwabiem. Za stolikiem siedziała na poduszkach kobieta ani młoda, ani stara, chuda i całkiem zwyczajnej urody. Ciemny warkocz lekko posrebrzony siwizną był owinięty dookoła głowy i przewiązany białą wstążką, a twarz o oliwkowej karnacji do połowy zakrywała biała maska. Mankiety sukni kobieta miała podkasane, aby nie przeszkadzały jej w pracy.

Przed nią leżały karty, ale nie byle jakie. Wąskie kartonowe prostokąty ze złoconymi brzegami, przedstawiające fantastyczne sceny z udziałem dworzan, błaznów i dziwnych stworów. Julietta pochyliła się bliżej i poznała talię kart do stawiania tarota według wzoru wicehrabiego Sforzy. Kiedyś podobne miała jej babka i trzymała je zamknięte w rzeźbionej szkatułce z kości słoniowej.

Kobieta podniosła głowę i przesłała Julietcie ciepły uśmiech.

- Dobry wieczór, *madonna* - powiedziała łagodnie. - Czy chcesz się dowiedzieć, co mówią karty?

Julietcie już dawno nie stawiano tarota. Pamiętała jednak, jak kiedyś, gdy jeszcze ledwo sięgała czubkiem głowy nad powierzchnię stołu, stała naprzeciwko siwowłosej staruszki, która patrząc na nią, rzekła ze smutkiem:

- Ach, *ma petite*, moje maleństwo - westchnęła babka, patrząc na układ kart. - Obawiam się, że nigdy nie będziesz szła w tym życiu łatwą drogą.

Te słowa okazały się więcej niż prawdziwe. I nie tylko one, choć innych przepowiedni babki Julietta wolała nie pamiętać. W każdym razie tamta wróżba pochodziła sprzed wielu lat. Może tymczasem coś się zmieniło? Chciała w to wierzyć, grzesząc wielką naiwnością.

- *Si* - powiedziała i spoczęła na poduszkach naprzeciwko ubranej w biel kobiety. - Bardzo chętnie dowiedziałabym się, co mnie czeka.

- Bardzo dobrze. Jestem Maria, panienko. - Kobieta zebrała karty i równo je złożyła. - Widzę, że znasz tarota - powiedziała, gdy Julietta przetasowała talię i podzieliła ją na trzy części.

- Tak.

- Czy masz dziś wieczorem pytanie?

Żeby tylko jedno! Osaczało ją tyle wątpliwości i wahań, że nawet jeszcze nie zaczęła ich porządkować.

- Widzę, że targa tobą wiele uczuć - powiedziała Maria. - Zobaczmy więc, jak ułożą się karty, może to ulży trochę twojemu zmieszaniu.

Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy rozłożyła na stole siedem kart i zaczęła wodzić czubkami palców po malowanych i złożonych prostokątach.

- Znasz ciemny las Dantego?

Julietta skinęła głową zdziwiona. Wydało jej się niemożliwe, by w kartach było cokolwiek o Dantem.

- *W życia wędrówce, na połowie czasu, straciwszy z oczu szlak nieomyłnej drogi, w głębi ciemnego znalazłem się lasu...**

* Przełożył Edward Porębowicz.

- Właśnie.

- Widzisz, pani, w kartach las? Czy ciemność? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Któż to może powiedzieć, *signora*? Ja tylko tłumaczę to, co widzę.

Przychodzi jednak czas, kiedy wszyscy musimy podjąć wędrówkę w zaświatach i znaleźć swojego maga. - Wskazała pierwszą kartę. - Spójrz tutaj. To Mag. Potrafisz kształtować świat po swojemu, wyznaczać nowe kierunki. Masz moc w swoich rękach, jeśli tylko zechcesz jej użyć.

Jej wzrok prześlizgnął się dalej.

- Diabeł, odwrócony. Musisz pozbyć się lęków, wkroczyć w przyszłość wolną od łańcuchów. Kolejna karta to Papieżycy, także odwrócona. Prawda, sama widzisz, jakoś jej się nie trzyma. Nie jest z nami dziś całkiem szczerą. Coś jest nie w porządku.

Julietta pomyślała o Marcu i o tym, jak patrzył na nią tego wieczoru. Nie w porządku? Może i tak, ale nie umiałaby mu się oprzeć, tak jak nie mogła nie oddychać. Może jednak karta wskazywała ją, a nie jego.

- Następna karta? - spytała z niepokojem.

- Śmierć, w normalnym położeniu. Widzę wielką zmianę w twoim cyklu życia. Przeszłość jest zamknięta, odejdzie, jeśli jej na to pozwolisz.

Zamknięta? Julietta pokręciła głową. Przeszłość w żadnym wypadku nie była zamknięta, przez cały czas ciążyła jej jak kamień, zaciskała swe lodowate palce na jej ramionach, usiłowała ją wciągnąć w otchłań. Zupełnie jak to malowane, groteskowo uśmiechnięte widmo na karcie.

- Teraz mamy Papieża, odwróconego - powiedziała Maria. - To niecodzienne zachowanie, *signora*, niezwykle sposób życia.

Julietta nie umiała powstrzymać uśmiechu. Już przez to, że tu przyszła dziś wieczorem i usiadła naprzeciwko tej kobiety, można by nazwać jej zachowanie niecodziennym. A co do reszty jej życia...

- To najprawdziwsza prawda, *signora*...

- I ostatnia karta: Rydwan, w normalnym położeniu. To bardzo pomyślna karta, *madonna*. Ciężką pracą osiągniesz powodzenie. Masz współczującą naturę, ale być może zanadto skupiasz się na swoim celu, nie dostrzegasz ludzi.

- Czy to mimo wszystko nie jest korzystne zakończenie? - spytała Julietta. Powodzenie. Czasem była przekonana, że jest na wyciągnięcie ręki, że niewiele jej do niego brakuje, i wtedy niespodziewanie znowu oddalało się od niej.

Maria wolno skinęła głową, nie odrywając wzroku od rozłożonych kart.

- Jeśli możemy zaufać Papieżycy - mruknęła. Sięgnęła po trzecią część talii i podała ją Julietcie. - Wybierz jeszcze jedną kartę, *signora*.

Julietta spojrzała na talię z zaskoczeniem. Jej babka nigdy nie kończyła wróżby w ten sposób.

- Wybrać jeszcze jedną?

- Bardzo proszę, *signora*. Spełnij prośbę starej kobiety. Julia wolno zsunęła kartę z wierzchu i położyła ją ponad rzędem siedmiu wcześniej wybranych.

- O! - powiedziała Maria. - As kielichów, odwrócony. Mamy teraz wielki wybuch uczuć, lecz wkrótce kielich się opróżni. Twoje serce nie otwiera się na nową miłość. Jest zamknięte, zimne. Puste.

Julietta wbiła wzrok w ułożone karty i starannie przyjrzała się wizerunkom, jakby mogła zmienić ich układ i przesłanie wróżby.

- Nie może być inaczej? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Ja tylko przekazuję wiadomość, *madonna*. Nasz los jest taki, jaki jest. Widziałam jednak, że nieraz siłą woli da się zawrócić falę. Zło można przekształcić w dobro, nienawiść w miłość, zimne serce w serce płonące uczuciem. Z pomocą Bożą wszystko jest możliwe. Mówię to wszystkim, którym wróżę, chociaż niektórzy nie chcą słuchać. - Postukała opuszką palca w asa kielichów. - Zawsze pamiętaj, *signora*, odwrócenie tej karty zależy od ciebie i wyłącznie od ciebie. Wolę masz. Ale czy również odwagę, aby się nią posłużyć?

Julietta często sama stawiała sobie to pytanie. Niekiedy wydawało się jej, że zużyła cały swój zasób odwagi na to, by przyjechać do Wenecji i zacząć nowe życie. Czasem, przeciwnie, miała poczucie, jakby mogła zdobyć dostęp do najważniejszych tajemnic życia i śmierci. W tej chwili czuła przede wszystkim zmęczenie długim wieczorem i wypitym winem. Może rano wszystko wyda jej się bardziej uporządkowane... albo całkiem nierealne, jak sen.

- Dziękuję - podziękowała cicho kobiecie i wstała. Tymczasem na progu poruszył się cień i wtedy zorientowała się, że to był Marc, który przyglądał się jej z uwagą. Stał, przytrzymując jedną ręką zasłonę, a w drugiej dzierżąc szklane naczynie. Juliettę ogarnął niepokój.

Czyżby nie miał zrozumienia dla stawiania kart? Może uważał, że to diabelska sprawka? Wielu arystokratów znajdowało w tarocie upodobanie, ale byli i tacy, którzy patrzyli na wróżby z dużą niechęcią. Przypomniała sobie Marca, stojącego obok doży na pokładzie „Bucentaura”, a w głowie zadźwięczał jej głos wróżki, mówiącej, że zimne serce można przekształcić w serce płonące uczuciem, jeśli tylko ma się dość siły woli.

- Przyniosłem ci, pani, trochę jasnego piwa - powiedział cicho Marc, wsuwając jej szklanice w dłoń. - Zgasi pragnienie lepiej niż ciężkie wino.

- Dziękuję. - Julietta ostrożnie upiła łyk. - Musi już prawie świtać.

- To prawda. - Na wargach Marca zagościł znajomy uśmiech. - Czas już kończyć nasze nocne uciechy.

- Tak szybko? - szepnęła. Prawdę mówiąc miała takie wrażenie, jakby dopiero przed chwilą tutaj przyszła.

- Na to wygląda. Ale jutro też będzie noc i pojutrze znowu. Chętnie będę dzielił je z tobą, moje Słońce, jeśli mi na to pozwolisz.

Julietta dopiła piwo, szukając gorączkowo jakiejś zręcznej riposty. W oczach Marca widziała jednak w tej chwili niezwykłą powagę, jakby była to prośba, płynąca z serca.

- Powinniśmy już iść - powiedziała i odstawiła naczynie na podłogę. Marc ujął ją pod ramię i wprowadził z powrotem do głównej sali. Biesiadny nastrój przygasł, bębny zamilkły, tylko samotny lutnista brzdąkał jeszcze jakąś melodię. Nikt nie tańczył, większość ludzi leżała na poduszkach.

Wkrótce znaleźli się na stromych schodach, prowadzących do realnego świata. Marc przez cały czas trzymał ją za rękę, a Julietta pomyślała, że tak pewnie musiała czuć się Eurydyka, kiedy Orfeusz wyprowadzał ją z piekieł.

- Zimno - powiedział Marc i otulił ją swoją peleryną. Otoczyły ją jego ciepło i zapach. Stała się słońcem w księżycowej poświacie.

- Zmarzniesz, panie - sprzeciwiła się, robiąc taki gest, jakby zamierzała zsunąć okrycie z ramion, choć tak naprawdę niczego nie chciała bardziej, niż otulić się mocniej jego aksamitem.

- Nie, *madonna* - odparł. - Mam gorącą krew. - Znow ujął ją za rękę i poprowadził po śliskim bruku ku domowi, a niebo nad nimi mieniło się wszystkimi odcieniami różu, pomarańczy i lawendy. Niebawem wszędzie słońce.

Rozdział dziewiąty

Marc zamknął drzwi swojego pokoju, by zrzucić pelerynę i zdjąć maskę. Wokoło panowała nieznośna cisza, wciąż jednak miał w uszach rytm bębnów, a na skórze pozostał mu jaśminowy aromat włosów Julietty.

Julietta. Ściągnął wams i koszulę i podszedł do stojaka z miską, gdzie czekał na niego dzban pełen zimnej wody. Obmył nią twarz i rozgrzany tors, ale wcale nie odczuł pożądanego chłodu. Oczami wyobraźni wciąż widział Juliettę leżącą obok niego na jedwabnych poduchach z rozchyłonymi wargami, spragnionymi pocałunku.

Jego pragnienie było jednak chyba jeszcze większe. Kiedy tańczyli voltę i trzymając ją w górze, czuł pod dłońmi jej smukłe, gibkie ciało, nie było w jego ciele nerwu, który nie wysyłałby alarmujących sygnałów. Pożądał jej tak, jakby na świecie nie istniała żadna inna kobieta. Najchętniej przypisałby ten stan winu, niestety, wypił zaledwie kilka łyków. Może wobec tego zawinił po prostu karnawałowy nastrój?

Wiedział jednak, że takie usprawiedliwienia to tylko preteksty. Naprawdę to ona była winna. W samotności mógł na zimno snuć swoje plany, których istotną częścią była Julietta. Kiedy jednak patrzył jej w oczy, gdy dotykał jej mleczej skóry, przestawał pamiętać o swoich racjonalnych, wcześniej ustalonych planach.

- A niech to! - mruknął pod nosem i machnął ręką z taką złością, że woda chlapnęła na podłogę. Powinien trzymać się z dala od niej i jej przeklętego sklepu. To zwykła czarownica, widział to w jej oczach. Przy niej zapominał o swojej przysiędze, którą złożył na dusze zmarłych. Gdyby jednak miał być ze sobą szczery, przyznałby,

że winna jest po prostu jego słabość. Musiał ją pokonać, jeśli chciał z podniesioną głową wypłynąć w dalszą drogę.

- Dla kogo prawdę los w nieszczęście zmienia... - Spojrzał w niewielkie lustro ścienne, ale zamiast zobaczyć swoją twarz, ujrzał w nim Juliette, która właśnie wstała od stolika z kartami tarota i przygląda mu się podejrzliwie. Jaki masz sekret, Julietto Bassano? - spytał w myślach. Co ukrywasz i czego chce od ciebie Ermano?

Powinien trzymać się od niej z dala, ale wydawało się to nierealne. Tyle że nie był już zwykłym kupcem, a ona młodą *señorita*, którą mógłby poślubić, aby wiernie czekała na hacjendzie w Sewilli na jego powrót z rejsu. Oboje musieli sami wykuwać swój los. Słońce i Księżyc, każde uwięzione w swoim świecie.

Sięgnął po ręcznik. Wycierając się, zatrzymał wzrok na swoich przyborach toaletowych, zgromadzonych na stojaku. Mydło, brzytwa, skórzana kasetka z zamknięciem i fiołkowy flakonik pachnidła kupionego dla matki. Flakonik, o dziwo, nie stał w tym samym miejscu, w którym go zostawił, znalazł się nagle na samej krawędzi stojaka.

Marszcząc czoło, Marc uniósł naczynko pod światło, by dokładnie je zbadać. Julietta zapieczętowała filigranowy korek woskiem. I wosk wydawał się nietknięty, ale na stwardniałym czerwono-fioletowym okręgu dostrzegł dwie niewielkie skazy, a i szkło było zadrapane. Przysięgłby, że tych śladów wcześniej nie było.

Odstawił flakonik i zaczął sprawdzać brzytwę. Tego lśniącego, płaskiego ostrza używał każdego ranka do golenia. Z równie dobrym skutkiem mogło jednak służyć do podrzynania gardeł.

Obrócił się i metodycznie powiódł wzrokiem po sprzętach. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo, jak wtedy, gdy wychodził. Ciężkie zasłony łoża były podwiązane, pościel równo złożona przy wezglowiu. Fotele i stolik stały wokół wygaszonego kominka, zasłony okienne były odciągnięte. Pokój wydawał się zimny i bezpieczny, jak zwykle w gospodzie.

W nogach łoża stał jego kufer, mający już swoje lata, zdobiony rzeźbionymi syrenami i węzami morskimi. Zamek wydawał się nietknięty. Marc wziął wams i wyjął z jego wewnętrznej kieszeni kluczyk. Również w kufrze wszystko zdawało się leżeć na swoim miejscu, ubrania były równo poskładane, dokumenty w zwojach

obwiązane wstążkami i zapieczętowane. Ale niebieska niteczka, którą wcześniej włożył między pokrywę kufra a wieko, leżała teraz na stercie koszul. To z pewnością nie on ją tam przełożył.

Ktokolwiek tu wszedł, dawno już opuścił pokój, nie zostawiając bynajmniej śladów stóp ani nawet zapachu pachnidła. Marc zawsze wiedział, że w Wenecji trzeba być ostrożnym, teraz jednak musiał wzmocnić czujność i zawsze zachowywać najwyższą ostrożność. Nawet wtedy, gdy trzymał w ramionach Juliettę Bassano.

Zwłaszcza wtedy, gdy trzymał ją w ramionach.

Rozdział dziesiąty

- *Signora, signora*, proszę się zbudzić! - Bianca z uporem potrząsała Juliettę za ramię, chociaż pani opędzała się od niej jak od uprzykrzonej muchy. - Pobudka!

- Eee... - zamruczała Julietta i schowała się głębiej pod kocem w poszukiwaniu miejsca, gdzie nikt nie przerywa spoczynku ludziom, którym głowa pęka z bólu. Niestety, nie dane jej było się ukryć. Bianca nie przejęła się jej ucieczką i nadal energicznie zaczęła ją ciągnąć za rękaw koszuli.

- Czy już czas otwierać sklep? - zapytała w końcu Julietta, z wysiłkiem opierając się na poduchach. Płatnina włosów, które zapomniała związać w warkocz przed snem, przesłoniła jej oczy. Odgarnęła je ze złością i spojrzała przekrwionymi oczami na służącą.

Bianca w odróżnieniu od niej wyglądała tak, jakby przez całą noc spała snem sprawiedliwego we własnym łóżku. Czarne włosy jak druciki miała schludnie zebrane pod bielutkim czepkiem, a jej suknia z różowym stanikiem i pasiastą spódnicą była czyściutka i idealnie wyprasowana.

- Pomyślałam, że może pani być głodna - powiedziała, wysuwając przed siebie tackę. - Poza tym grzeje się już woda na kąpiel.

Gdy Julietta spojrzała na dzbanek piwa i mały, złocisty bochenek chleba, wyglądający, jakby właśnie wyjęto go z pieca, poczuła, że żołądek podchodzi jej do

gardła. Nie była pewna, czy jest w stanie cokolwiek przełknąć, ale jeśli miała spędzić dzień w sklepie, to musiała przynajmniej spróbować.

Oderwała piątkę chleba i zaczęła ją powoli przeżuwać. Bianca energicznie krzątała się w pokoju, zbierając pozostałości ostatniego wieczoru. Złożyła starannie suknię Julietty i schowała ją do kufra, rozplątała tasiemki porzuconej maski i podniosła brokatowe pantofelki.

- Jak udał się wieczór, *signora*? - spytała, przysiadłszy w końcu na krawędzi łoża. - Wspaniale?

Julietta zyskała na czasie, racząc się łykiem piwa. Wyczuła, że Bianca dodała do napitku zioła przeciwko bólowi głowy.

- Tak. Było wspaniale i gwarnie.

- I piękna muzyka? - dopytywała się służka. - I piękne ubrania?

Julietta poczuła wyrzuty sumienia. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że służąca też mogłaby mieć ochotę na trochę rozrywki. Musiała być przecież zmęczona ciągłą pracą w sklepie. Postanowiła, że w najbliższym czasie da jej wolny wieczór, by i ona mogła nacieszyć się karnawałem. Jeszcze nawet tego dnia.

Może zresztą chciała tylko mieć pretekst, żeby w spokoju podumać o Marcu Velazquezie. Stanowczo odłożyła jednak takie rozważania na później. Najpierw musiała się wykapać, wyszczotkować włosy i ubrać, aby odzyskać jako tako swój wygląd i dobre samopoczucie. Zaczęła od tego, że sięgnęła po grzebień, a rozczesując włosy, opowiadała Bianca o kostiumach i klejnotach, które zwróciły jej uwagę poprzedniego wieczoru, a także o feerii światła na placu Świętego Marka, tańcach i fontannie z winem.

O swojej wizycie w podziemnym świecie nie wspomniała jednak ani słowem. Sama nie była przekonana, czy jej się to po prostu nie przyśniło.

- A Il Leone? - spytała Bianca ze znaczącym uśmiechem. Czy dobrze tańczy?

- Bardzo wprawnie - zbyła ją Julietta. Przypomniała sobie, co czuła, gdy wirowała nad ziemią w jego ramionach. Było to tak sugestywne, że aż grzebień wypadł jej z ręki.

- Wiedziałam - potwierdziła Bianca. - On wygląda na bardzo silnego człowieka. Musiały pani zazdrościć wszystkie kobiety dookoła, *madonna*.

Julietta podniosła zgubę i zaczęła tak brutalnie walczyć ze splątanymi kosmykami, że aż łzy napłynęły jej do oczu. W ten sposób pozbyła się przynajmniej niepożądanego wyobrażenia.

- Byliśmy w maskach, nikt nie mógł nas poznać. Bianca pogardliwie parsknęła.

- Och, jestem pewna, że jego wiele kobiet poznaje po sylwetce. Takie szerokie ramiona, zwężenie w pasie i...

- *Si* - przerwała jej zdecydowanie Julietta.

- Szkoda, że mnie tam nie było - ciągnęła niezrażona służka. - Zobaczyłabym, jaką wspinała parę tworzycie, i posłuchała sobie muzyki.

- Może wobec tego pójdziesz gdzieś dzisiaj wieczorem? zaproponowała Julietta. Szybko zaplotła warkocz, związała na końcu czarną wstążką i przerzuciła go na plecy. - Ja popilnuję sklepu.

- Może tak zrobię, *madonna* - powiedziała Bianca. - Chyba że ty, pani, będziesz musiała wyjść także dzisiaj. - Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła z niej zwój welinu. - Omal nie zapomniałam. Przyniesiono to dzisiaj rano. Czyżby kolejne zaproszenie?

Julietta zerknęła na zwój starannie obwiązany wstążką i zapieczętowany zielonym woskiem, a jej serce gwałtownie drgnęło. Czy to możliwe, żeby Marc już zdążył napisać? Sięgając po przesyłkę, natychmiast się upewniła, że to nie od niego. Welin nie pachniał czystą wodą morską, lecz bergamotą i różami.

Hrabia Ermano, co za rozczarowanie. Przełamawszy pieczęć, szybko przebiegła wzrokiem po równych literach, starannie wypisanych czarnym atramentem.

- To istotnie zaproszenie - powiedziała oschle. - Na pewno jednak nie takie, o jakim chciałyby usłyszeć twoja romantyczna natura, Bianco.

- Nie? To nie list miłosny od Il Leone?

- To w ogóle nie jest list miłosny. - Chwała świętemu Jerzemu. Nie wydawało jej się, by była w stanie znieść kwieciste wynurzenia Ermana o tak wczesnej porze. - To zaproszenie na wieczorną biesiadę w pałacu hrabiego Ermano.

Bianka przesłała jej rozczarowane spojrzenie.

- Pójdziesz, pani?

Julietta wcale nie miała na to ochoty. Spędzanie czasu w towarzystwie hrabiego Ermanno zawsze było wyczerpujące, a długa, oficjalna kolacja zapowiadała się podwójnie nużąco. Gdy jednak przeczytała sumiennie cały tekst, przekonała się, że Ermanno zadał sobie trud, by poinformować ją o zapowiedzianej obecności wielu miejscowych arystokratów i zamożnych kupców, których znała lub chciała poznać jako klientów swojego sklepu. W gruncie rzeczy jej sklepik niewiele znaczył w olbrzymim świecie weneckiej polityki, co zresztą stanowiło dla niej powód do zadowolenia. Zdążyła wcześniej poznać reguły życia w wybitnej rodzinie i wiedziała, że zupełnie jej nie odpowiadają. Cieszyli ją za to liczni klienci, z których każdy chciał mieć swoje niepowtarzalne pachnidło i był gotów wiele za to zapłacić. Była zdecydowana utrzymać grono zwolenników swojej małej perfumerii i nie zamierzała ustępować przed konkurencją.

Poświęcenie czasu na spotkanie z tymi ludźmi, trochę konwersacji i zaskarwienie sobie ich komplementów na pewno nie mogło jej zaszkodzić. Nawet jeśli kolacja odbywała się w Palazzo Grattiano.

Julietta z westchnieniem odłożyła list. Pocieszało ją, że w pałacu będzie mnóstwo osób i nie grozi jej pozostanie sam na sam z hrabią.

- I co, *madonna*? - spytała ponownie Bianka.

- Chyba muszę iść - powiedziała Julietta z ociąganiem. - To jednak nie znaczy, że tobie nie pozwalam wziąć wolnego. Nic się nie stanie, jeśli przez jeden wieczór nikt nie będzie pilnować domu. - Odrzuciła koce i usiadła, opuszczając stopy na podłogę. - A teraz do dzieła. Wkrótce trzeba otworzyć sklep.

Palazzo Grattiano było oświetlone od dachu po paliki do cumowania gondoli jak w największe święto. Pochodnie płonęły na szczycie budynku i na nabrzeżu, trzymane w górze przez służących odzianych w zielono-srebrne barwy. Okna rozświetlone żółtawym blaskiem niby latarnie morskie wskazywały drogę licznym gościom, wysiadającym z łodzi i przechodzącym na wewnętrzny dziedziniec. Trzepotały zielono-srebrne sztandary, poruszane wieczorną bryzą.

Julietta siedziała na miękkiej ławie w wynajętej gondoli i czekała na swoją kolej, by zejść na nabrzeże. Ciarki ją przechodziły, gdy myślała o tym wieczorze, a w stopach obutych w aksamitne pantofelki czuła mrowienie, zachęcające do ucieczki,

póki jest jeszcze czas. Pałac Ermana był najwspanialszą budowlą nad kanałem, wzniesioną z ciemnego i jasnego marmuru, tworzącego skomplikowaną szachownicę. Okna udekorowano rzeźbami, toteż na tłumy pięknie ubranych gości spoglądały z góry amorki i dziwaczne demony.

Wszędzie w pałacu widać było oznaki bogactwa i władzy. Większość ludzi czuła się zaszczycona zaproszeniem na biesiadę w takim otoczeniu, zaprojektowanym specjalnie, by budzić podziw. Julietta myślała jednak tylko o tym, kiedy będzie mogła iść do domu i uwolnić się od tej przytłaczającej wystawności. Przypomniała sobie poprzedni wieczór: dźwięki bębna i jedwabne poduchy, dym w powietrzu, obfitość wina i słodkie zapomnienie.

Tamto miejsce wydawało się położone o miliony mil od tego pałacu, a ona bardzo chciała znaleźć się w nim ponownie, móc się swobodnie śmiać, tańczyć i bezwstydnie całować Marca Velazqueza.

Było jednak za późno. Łódź przybiła wreszcie do nabrzeża, a gondolier podał jej rękę, aby ułatwić wyjście. Większość gości znajdowała się już w pałacu i jeszcze tylko kilka osób szło przez wewnętrzny dziedziniec ku szerokim kamiennym schodom, prowadzącym do publicznych sal na piętrze. Tu również było jasno jak w dzień, pochodnie płonęły jedna przy drugiej, pomarańczowym blaskiem zalewając drogę prowadzącą w górę, do sztucznego światła pełnego błyskotek i przepychu.

Przy podwójnych drzwiach czekał sługa, który odebrał od niej okrycie, a następnie wskazał jej drogę do miejsca, w którym kłębiły się już tłumy. Wysokie lustro w srebrnych ramach wisiały na ścianach sieni przy wejściu do wielkiej sali, Julietta przystanęła więc, by sprawdzić, jak się prezentuje. W porównaniu z kreacjami innych dam jej czerwona suknia z aksamitu mogła wydawać się skromna, ozdobił ją jedynie dyskretny złoty haft na staniku i rąbku. Nakładane rękawy były te same, co poprzedniego wieczoru, ze złotogłowiu, starannie przymocowane, a w ich rozcięciach prześwitywały skrawki białej koszulki przetykanej złotą nicią. Włosy na ten wieczór Julietta zaplotła, ozdobić je czerwonymi wstążkami, i ułożyła w koronę, którą przykryła niewielkim złotym czepkiem z perłami. Nie należała z pewnością do najmodniejszych kobiet obecnych na tej kolacji, ale w czerwonym kolorze zawsze

było jej do twarzy, a klejnotów po matce - perłowych kolczyków i długiego sznura rubinów - z pewnością nie musiała się wstydzić.

Pokrzepiona tą chwilą próżności weszła do zatłoczonej sali i przebiegła wzrokiem po zgromadzonych, bogatych i możnych, z których część pewnie zastanawiała się, co robi tutaj zwykła właścicielka perfumerii. Poczowała na sobie kilka spojrzeń, ale nikt nie zakwestionował jej obecności, ludzie nadal stali w grupkach rozproszonych po całej sali, niczym w scenie z komedii dell'arte.

Julietta wzięła kielich z winem od służącego i odeszła na bok, by móc w spokoju przyjrzeć się nowemu miejscu. Do tej pory nigdy nie była w Palazzo Grattiano, słyszała tylko opowieści o pałacu od swoich klientów. Przekonała się teraz, że w ich opisach nie było przesady. Taka sala mogłaby z powodzeniem znajdować się w samym Pałacu Dożów.

Na wysoko wyniesionym stropie umieszczono fresk przedstawiający swawolących bogów i pasterzy. Na ścianach wisiały olbrzymie tapiserie, a lśniące posadzki wykonano ze złoto żyłkowanego marmuru. W powietrzu unosił się zapach tysięcy woskowych świec, osadzonych w złożonych kinkietach i kandelabrach. Wszystko to tworzyło godne tło dla dostojnych gości w jedwabiach i cennej biżuterii.

W tej wielkiej sali Julietta czuła się całkowicie wyobcowana, zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru podczas niezwykłego zgromadzenia, na które zaprowadził ją Nicolai Ostrovsky. Tam nie była w stanie zachować dystansu, bo jedno spojrzenie w turkusowe oczy Marca wystarczyło, by go zburzyć. Tam pulsowało życie, a ona bez namysłu rzuciła się w jego nurt. I na tym polegała pułapka. Tu było bezpiecznie. Nawet pośrodku domu wroga czuła się pewniej niż w obecności Marca Velazqueza.

Ludzie zajmujący środek sali, rozstąpili się przed gospodarzem. Hrabia wybrał na ten wieczór fiolet. Jego strój, zdobiony srebrną nicią i podbity futrem ze srebrnego lisa, pasował do falujących, szpakowatych włosów Ermana. Otaczający go tłum chciwie chłonał jego słowa, wypowiedane z obszerną gestykulacją, której towarzyszyły błyski klejnotów z licznych pierścieni. Wyglądało to tak, jakby od niego zależał los tych ludzi, których zdawał się nawet nie zauważać, mimo że całował kobiety po rękach, a z mężczyznami wymieniał żartobliwe uwagi i żarciki.

Przesuwając wzrok po obecnych, zbliżał się do Julietty. Odsunęła się pod samą ścianę, licząc, że umknie poza zasięg jego wzroku, ale było za późno.

- Oto i urocza *signora* Bassano! - wykrzyknął hrabia. - Jestem bardzo szczęśliwy, że zaszczyliłaś, pani, mój dom swoją obecnością. To mówiąc, wziął jej rękę w swoją dłoń.

Otoczający go ludzie zwrócili się w jej stronę. Jeśli nawet byli zdziwieni takim wyróżnieniem, to nie dali tego po sobie poznać. Wciąż mieli na twarzach te same zdawkowe uśmiechy i dyskretnie usuwali się z drogi pewnie kroczącemu gospodarzowi.

- Hrabio Ermano... - Julietta dygnęła. - To dla mnie honor otrzymać takie zaproszenie.

- Nie ma o czym mówić - stwierdził, całując ją w rękę, którą następnie przytrzymał. Julietta musiała bardzo się pilnować, by nie cofnąć jej zbyt szybko i ze złością.

- Zaszczyt pozostaje bez wątpienia po mojej stronie, chociaż naturalnie wolałbym, abyś przychodząc, zechciała skorzystać z mojej prywatnej gondoli - ciągnął Ermano. - Jak znajdujesz, pani, mój dom?

- Jest piękny, panie hrabio. Bez wątpienia nie ma sobie równych w całej Wenecji.

Ermano wzruszył ramionami, w jego chłodnych zielonych oczach pojawił się jednak błysk zadowolenia.

- Obawiam się, że potrzebuje kobiecej ręki, aby zadbała o szczegóły. Wystrój jest bardzo niemodny. Ale mniejsza o to. Proszę pozwolić, że przedstawię cię, pani, niektórym z gości, Wielu naturalnie znasz. *Signorę* Mercanti widziałem wielokrotnie w twoim, pani, uroczym sklepiku.

Julietta pozwoliła oprowadzić się po sali i uprzejmie zamieniła w każdej z grupek po kilka zdań o modzie, sklepach i nowych artystach. Od sztucznych uśmiechów rozbolały ją mięśnie twarzy, najchętniej uciekłaby stąd, gdzie pieprz rośnie. Towarzystwo tych ludzi nie sprawiało jej przyjemności, nie należała do ich świata.

Naturalnie pomysł z ucieczką był nierealny.

Ermano nie spuszczał jej z oka, wciąż czuła na ramieniu zaborczą męską rękę, a w nozdrzach mocny zapach jego pachnidła. Nie rozumiała ani jego zachowania, ani tego, co się działo wokół niej. Miała wrażenie, że ściany coraz bardziej zbliżają się do siebie, a tłum zaczyna dziwnie falować.

Na szczęście nie zemdląca. Ktoś otworzył drzwi sali i do środka wpadł rzeźwiący powiew. W przestronnym wnętrzu odbiła się echem fanfara. Odwróciła się plecami do Ermana, wdzięczna losowi za ten hałaśliwy pretekst.

Pod łukiem ze skrzyżowanych rogów sygnałowych ukazał się sam doża, Andrea Gritti w lśniących, złoto-białych szatach. Chłodnym wzrokiem zmierzył zgromadzony tłum, gdy tymczasem w ślad za nim do sali weszła również jego świta. Tuż za dożą pojawił się nie kto inny tylko Marc Velazquez.

Julietta zmartwiała. Poczwała się jak niedoświadczona panna, która jąka się i czerwieni na widok przystojnego mężczyzny, ale mimo że było jej z tego powodu niezręcznie, nie umiała zapanować nad swoim ciałem.

Głęboko odetchnęła. Zapachy rozgrzanego wosku i pachnidła pomogły jej nieco przyjść do siebie. Wzięła kielich z winem od przechodzącego sługi i wypła duży łyk, patrząc na otoczenie doży. Na Marca.

Przez chwilę widziała go takim, jakim zapamiętała go z ostatniego wieczoru, w rozpiętym wamsie, z potarganymi włosami, wpatrującego się w nią zmysłowym spojrzeniem. Zamrugła powiekami i namiętny pirat znikł, a zamiast niego pojawił się nieskazitelny dworzanin. Podobnie jak poprzedniego dnia był ubrany na czarno, na tym jednak podobieństwo się kończyło. Dzisiaj wams i nogawice miał z czarnego aksamitu, zdobionego jedynie srebrną nicią na kołnierzu i srebrnymi klamrami z przodu. Włosy opadały mu faliście na ramiona, a w uchu tkwił jak zwykle perłowy kolczyk.

Wokół Julietty podniósł się szmer uznania. Wyłowila z niego słowa „Il Leone”. Kobieta, stojąca bezpośrednio za nią, arystokratka we wspaniałej, zdobionej klejnotami sukni, wydała z siebie chichot. Julietta chętnie zachowałaby się równie bezsensownie, wiedziała jednak, że nie wolno jej zwracać na siebie uwagi.

Mimo to ręce same jej się zaciskały, gdy widziała, jak kobiety grupką podchodzą do Marca i dygają, śmiejąc się cicho za zasłoną wachlarzy. Wreszcie i na

nieprzeniknionej dotąd twarzy Marca pojawił się cień uśmiechu, gdy składał ukłony nad wypielegnowanymi dłońmi, spokojnie odpowiadając na chichotliwe zaczepki.

Przypomniała sobie jego dotyk i mimo woli powędrowała wzrokiem ku ręce Marca. Trzymał ją teraz na złożonej rękojeści sztyletu, schowanego w pochwie u złotego pasa. Długie, smukłe palce wydawały się całkowicie rozluźnione.

Jeszcze raz spróbowała szukać ratunku w łyku wina. Jednak zerkając znad złotej krawędzi naczynia przekonała się, że tymczasem Marc odkrył jej obecność i mierzy ją skupionym spojrzeniem, a jego turkusowe oczy przybrały odcień granatu. Miała niepokojące wrażenie, że odgadł jej śmiałe myśli.

Palce Marca mocniej zacisnęły się na sztylcie. Jego wargi bezgłośnie wypowiedziały imię „Julietta”, zupełnie jakby czule całował ją w szyję. Zmrużyła oczy, a on przesłał jej nikły uśmiech, który zdawał się znaczyć: „później”.

Nie było jednak czasu, by nad tym deliberować. Hrabia Ermano klasnął w dłonie i przerwał w ten sposób wszystkie rozmowy w sali. - Przyjaciele - oznajmił. - Zapraszam do biesiadnego stołu.

Hrabia Ermano słynął w Wenecji z luksusowej zastawy stołowej, częstowania gości niezwykłymi delikatesami i wielkiego zróżnicowania dań. Julietta przekonała się na własne oczy, że wiadomości te nie były ani trochę przesadzone.

Jadalnia, nie mniej przestronna niż wielka sala, stanowiła podłużne pomieszczenie, wyłożone białym marmurem, zdobione łukami, freskiem na stropie i dającymi ciepło kominkami na obu przeciwległych końcach. Wspaniałe tapiserie, przedstawiające wesele w Kanie Galilejskiej, wytłumiały echo, a wzdłuż długiego, lśniącego stołu stały bynajmniej nie ławy, lecz miękkie krzesła.

Rzeźbiony fotel u szczytu stołu, przypominający tron, był zarezerwowany dla doży, gospodarz siedział po jego prawej stronie, a Marc po lewej. Julietta, jako mniej ważny gość, otrzymała miejsce w połowie stołu, ale obok niej usiadł Baltazar Grattiano. Młody człowiek jak zwykle nie wyróżniał się rozmownością, częstował ją jednak pieczołowicie wybranymi kawałkami mięsa i owocami.

Popatrzyła po daniach, wyłożonych na złotych i srebrnych półmiskach. Szczodrość Ermana, no i wielkość jego ciepłarni w głębi łądu, nie dawały wątpliwości. Uczty jej ojca były znane w Mediolanie, również jej mąż nie należał do skąpców, ale

takiej obfitości dań jeszcze nie widziała. Były tu na przykład pory w sosie migdałowym, kurczę amarosa, pstrąg nadziewany cytrynami, tortellini z nadzieniem dyniowym, anchois, duże misy zabaglione z truskawkami, ostrygi, gotowana wołowina, kapłony i wiele innych nierozpoznanych przez nią specjałów. Majolikowe czary pyszniły się egzotycznymi owocami, prażone w cukrze migdały wypełniały srebrne rogi, a wino płynęło strumieniami.

- Truskawkę, *signora* Bassano? - usłyszała głos Baltazara, więc odwróciła głowę ku sąsiadowi. Podawał jej duży, czerwony owoc, wciąż bez śladu uśmiechu na twarzy.

- Dziękuję - podziękowała cicho i wzięła poczęstunek. Smakując miąższ truskawki, skupiła wzrok na Baltazarze.

Wróciło do niej dziwne poczucie, które pierwszy raz nawiedziło ją w dniu zaślubin z morzem, że dostrzega w nim coś znajomego. Nie mogła jednak dociec, skąd się wzięło to wrażenie. Młodzieńcza twarz Baltazara z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, prostym nosem i pełnymi ustami, często gniewnie zaciśniętymi, zapowiadała urodziwego mężczyznę. Otaczały ją długie, proste włosy. Oczy były zielone jak u ojca, ale nie kojarzyły się z twardym, połyskliwym szmaragdem, lecz raczej z ciemnym, wilgotnym lasem.

Julietta zmarszczyła czoło. Nie rozumiała tego młodego człowieka. W jego wieku kipiała naiwnymi złudzeniami i entuzjazmem, żyła romantycznymi nadziejami, które zabiło w niej dopiero małżeństwo. On tymczasem zawsze wydawał się nieufny i niezadowolony. Nie mogła zrozumieć powodu. Przecież cała Wenecja miała niedługo leżeć u jego stóp. Nie lubiła takich zagadek, jej zdaniem bowiem, zawsze wywoływały niepotrzebne kłopoty.

- Co sądzisz, pani, o naszym bohaterze, *signora* Bassano? - spytał Baltazar, spoglądając znowu na Marca, prowadzącego przyciszoną rozmowę z dożą. Jego nieufny wyraz twarzy nie zmienił się ani na jotę, Julietcie wydało się jednak, że widzi coś jeszcze. Napięcie, niechęć, nienawiść?

- Jest bardzo przystojny - odpowiedziała ostrożnie.

- Czy chcesz, pani, przyłączyć się do dam, tłoczących się wokół niego jak gołębie na placu Świętego Marka? Walczyć o jego względy?

- Nie - odrzekła zgodnie z prawdą. - Można doceniać czyjąś urodę, lecz jednocześnie nie mieć ochoty walczyć o to, by ją posiadać.

Teraz skłamała. Bardzo chciała posiadać Marca, wiedzieć, że należy do niej. Była jednak zbyt dumna, zbyt samolubna, a wreszcie zbyt przezorna, by przyłączać się do innych. Stanowczo nie pragnęła narazić się na porównania z tymi złotowłosymi pięknosciami, tego jednak naturalnie Baltazarowi powiedzieć nie mogła.

- To znaczy, że jesteś, pani, naprawdę wyjątkowa - stwierdził Baltazar z zauważalną goryczą. Skubnął kawałek cielęciny w imbirze. - Wszyscy w Wenecji podziwiają Il Leone, nawet mój ojciec.

Julietta zerknęła na hrabiego, który z zadowoloną miną siedział rozparty na krześle, niby król spoglądający na swoje dobra.

- Wątpię, czy pański ojciec podziwia cokolwiek lub kogokolwiek. Z wyjątkiem Boga, naturalnie, bo to obowiązek każdego śmiertelnika.

- Bardzo taktownie to wyraziłaś, pani, *signora* Bassano, i masz całkowitą rację. Ojciec czuje się o wiele zbyt mocny, aby kogokolwiek podziwiać. Ale *signora* Velazqueza darzy szacunkiem i powierza mu swoje myśli. Może chciałby mieć takiego syna, jak Il Leone?

Powierza mu swoje myśli? Julietta nie miała pojęcia, że Marc tak dobrze zna Ermana. Wspomnienie o tych zwierzeniach zmroziło jej krew w żyłach. Czy w tym mieście naprawdę nie można było nikomu zaufać? Władzę zawsze stawiano tu na pierwszym miejscu, a Ermano miał jej pod dostatkiem. Byłaby głupia, gdyby zapomniała o tym choćby na chwilę.

Kręcąc w dłoniach nóżkę kielicha, zastanawiała się nad słowami Baltazara.

- A co ty, panie, sądzisz o naszym gościu, *signor* Grattiano? - spytała.

Baltazar zniżył głos i prawie szepnął jej do ucha:

- Myślę, że to wielki oszust.

Julietta spojrzała na niego zdumiona. Takie szczere słowa nie padały często. Czyżby młody człowiek wypił zbyt wiele trunków? Spojrzała jednak na jego kielich i przekonała się, że jest opróżniony zaledwie do połowy.

- Oszust?

- Myślisz, pani, że mówi o sobie samą prawdę? Że jest kapitanem statku handlowego, który przypadkiem pokonał bezwzględnych piratów z Wybrzeża Barbarzyńców. I zarazem wytrawnym człowiekiem interesu, rodem z Hiszpanii, który potrafi uzyskać dostęp do najwyższych warstw społeczeństwa Wenecji? - Nagle wyciągnął rękę i mocno zacisnął ją na jej nadgarstku. - Czy nie zastanawiało cię, pani, czego on tu szuka naprawdę?

Julietta głośno wypuściła powietrze. Dotknięcie przez Baltazara wyzwoliło u niej niespodziewaną eksplozję sprzecznych uczuć: bólu, lęku, gniewu, tęsknoty, mrocznej namiętności, niespełnionej miłości. Jak to możliwe, że dar, który odziedziczyła po matce, przypomniał tak nagle o swym istnieniu? Przez lata bezlitośnie go tłumiła, zwykle więc, jeśli już dawał o sobie znać, to bardzo subtelnie, w postaci szybko przemijającej myśli, jak w tym dniu, gdy jej nadgarstka dotknął Marc.

Teraz miała wrażenie, że wsysa ją bagno rozmyślań Baltazara, niebezpiecznych i namiętnych. Było to paskudne miejsce, zabójcze dla jej duszy. Wyszarpnęła rękę z uścisku, czując zimno i wilgoć na skórze. Drżącą ręką sięgnęła po kielich i podniosła go chciwie do zaschniętych nagle warg.

- Proszę mi wybaczyć, *signora* Bassano - bąknął Baltazar. - Nie zamierzałem cię, pani, zaniepokoić.

- Co wiesz, panie, o *signorze* Velazquezie? - szepnęła. - Czego się dowiedziałeś?

- Niczego konkretnego - odparł. Omiótł wzrokiem stół, Julietta odniosła jednak wrażenie, że tak naprawdę widzi przy nim jedynie mężczyzn siedzących u szczytu. - Wkrótce jednak się dowiem, zapewniam cię, pani.

Przed koniecznością udzielenia odpowiedzi uratował Juliettę doża, który wstał z fotela. W pomieszczeniu zapadła cisza. Dostojnik wysoko uniósł kielich i powiedział dźwięcznym głosem:

- Musimy wypić wszyscy za zdrowie *signora* Marca Antonia Velazqueza, który ocalił nasze towary. Pamiętajmy, że handel stanowi *serce* naszego miasta. Dziękujemy mu więc za pokaz siły i dzielności i odwdzięczamy się tak, jak tylko potrafimy.

W odpowiedzi uniosły się wszystkie kielichy, rozległy się też dziękczynne pomruki. Marc skłonił głowę na znak podziękowania, Julietta zwróciła jednak uwagę, że Baltazar ledwo umoczył usta w winie.

- Za Il Leone - szepnęła. Obawiała się jednak, że wszystkie jej życzenia wespół z głupawymi uśmieszkami dam i zawistnymi spojrzeniami mężczyzn nie na wiele się Marcowi zdadzą, skoro ma tak zaciekłych wrogów jak Baltazar Grattiano.

Rozdział jedenasty

Julietta była całkowicie wyczerpana. Kakofonia głosów w zestawieniu z ciężkim jedzeniem i winem, a także krótkim wglądem w tajniki duszy Baltazara Grattiano, zrobiła swoje. Siedziała teraz w pobliżu drzwi wielkiej sali i próbowała słuchać muzyki, którą hrabia przygotował dla gości jako rozrywkę po kolacji. Szumiało jej w głowie, a ręce i nogi ciążyły, jakby były z kamienia. Madrygały tryskały energią i humorem, ale nie umiała skupić na nich uwagi.

Baltazar wydawał jej się przez swe zgorzknienie bardzo dziwnym młodym człowiekiem, ale jego słowa miały sens. Julietta nieraz zastanawiała się nad tym samym. Co Marc robi w Wenecji? Na czym polega jego magia, która przyciąga do niego wszystkich ludzi, jej nie wyłączając?

Znużonym ruchem potarła skronie i przebiegła wzrokiem po zebranych. Marca nigdzie nie było widać, znikł też gdzieś ich gospodarz. Doża siedział na tronie, słuchając muzyki, otoczony przez doradców. Baltazar zajmował miejsce w niszy przy oknie obok jasnowłosej piękności. Kobieta uśmiechnęła się do niego nieśmiało, a on odpowiedział jej skinieniem głowy. Przez cały czas wydawał się jednak napięty jak struna. Julietta przypomniała sobie jego wybuch gniewu i pożałowała nieznajomej blondynki.

I nagle poczuła, że ma dość tłoku, zaduchu, agresywnej mieszaniny pachnideł, wina i bezgranicznej obłudy. Korzystając z tego, że nikt na nią nie patrzy, uniosła się z taboretu, na którym siedziała, i wymknęła się na korytarz.

W porównaniu z jasną salą panował tam półmrok, tylko kilka pochodni w kinkietach rzucało światło na cenne tureckie dywany i florenckie obrazy. Za zamkniętymi drzwiami jadalni słyszała pobrzękiwanie szkła i metalu, plusk wody i rozmowy. Bez wątpienia służba próbowała resztek, sprząając ze stołu. Wspiąwszy się na palce, zaczęła oddalać się od wielkiej sali. Dolatująca stamtąd muzyka stopniowo cichła. Wreszcie otoczyła Juliettę niemal grobowa cisza.

Niedaleko marmurowych schodów zauważyła półotwarte drzwi. Zajrzała za nie i znalazła pusty, skąpo umeblowany salon. Stały w nim jedynie stolik, niska kanapa, kilka krzeseł, było też wielkie okno, przez które wpadała do wnętrza księżycowa poświata, wypełniająca pokój kojącym nastrojem wieczoru.

Wsunęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Samotność podziałała na nią jak balsam. Nikt jej tutaj nie obserwował, nikt nie próbował odkryć jej sekretów ani ukryć swoich. Podeszła do okna i szeroko je otworzyła.

Od tej strony pałac graniczył z wąskim kanałem, mniej używanym niż Wielki, lecz także należącym teraz do wesołych uczestników karnawału. Kilka gondoli przesuwało się po ciemnej wodzie, widać było na nich splecione ludzkie sylwetki. Dobiegały ją z dołu śmiechy i szepty, westchnienia i okrzyki.

Oparta o framugę, zamknęła oczy i zaczęła wdychać rześkie powietrze. Wiał dość silny wiatr, niosący słodkawy zapach kanałów, pachnideł i namiętności. Julietta zapragnęła nagle znaleźć się tam, na dole, wśród ludzi w maskach i kolorowych strojach. Żądze ciała były uczciwe i łatwe do zaspokojenia. Zastanowiło ją, czy gdyby raz im uległa, osiągnęłaby wreszcie jakże potrzebne uspokojenie. Czy gdyby stało się to, co miało się stać, mogłaby znowu zająć się swoim życiem.

Wciąż myślała o Marcu, o jego pięknym ciele. Ale to nie było wszystko. Chciała poznać również jego uczucia i to właśnie budziło w niej najwyższy niepokój. Baltazar miał rację. Coś się działo, coś dziwnego i niebezpiecznego. A jej nie wolno było się w to uwikłać. Niestety, obawiała się, że na to postanowienie jest po prostu za późno.

Za jej plecami rozległ się cichy trzask. Szerzej otworzyła oczy, zaciskając dłoń na framudze, ale nie odwróciła się. Nie musiała. Wiedziała, kto za nią stanął.

Marc.

- Co robisz w tym pokoju, pani? - spytał półgłosem.

Drzwi za nim cicho się zamknęły.

Co tym razem knuje jego Słońce? Ze swojej kryjówki przy schodach Marc obserwował czerwono ubraną postać, która wyslizgnęła się z sali i ruszyła korytarzem. W pewnej chwili obejrzała się i znikła w uchylonych drzwiach.

Ogarnęło go podniecenie. Odkąd zobaczył ją wśród gości, nie mógł zaznać spokoju. Już miał nadzieję, że wyrzucił ją ze swych myśli. Łudził się, że dzięki swemu rozumowi uwolnił się od zapachu jaśminu, wspomnienia aksamitnej skóry i syreniego powabu, że pomalą zbliża się do zwycięskiego końca tego, co wcześniej zamierzył, i co musi wykonać.

Nie była to jednak prawda i nie wolno mu było dłużej się okłamywać. Kobieta, którą chciał posłużyć się jak narzędziem, oładnęła nim do tego stopnia, że towarzyszyła mu właściwie nieustannie, nawet wtedy, gdy wdzięczył się na lewo i prawo na dworze doży i gdy ćwiczył szermierkę podczas poobiedniej sjesty. Nocami śnił zaś o jej włosach, o jej intymnych zapachach i smakach.

To zakrawało na obłąd. Przecież Julietta była tylko kobietą, w dodatku miała swoje sekrety, no i kłamała. A on znalazł się blisko, bardzo blisko urzeczywistnienia swojego celu. Nie mógł pozwolić, żeby zniweczyła jego plany. Rozum podpowiadał mu, że nie są dla siebie. A jednak wciąż jej pożądał i wciąż o niej marzył.

Zerknął ku górze, gdzie przy schodach znajdował się pokój, w którym jeszcze niedawno toczył rozmowę w cztery oczy z hrabią Ermano. Panował tam absolutny spokój. Tylko z innej strony dolatywały stłumione dźwięki muzyki i śmiechy. Szybko podszedł do zamkniętych drzwi, za którymi znikła Julietta.

Uznał, że nie zaszkodzi, jeśli zajrzy i sprawdzi, co ta tajemnicza kobieta tam robi. Nie mógł się oprzeć temu pragnieniu. Przyłożył ucho do drzwi - cisza. Otworzył je i wszedł, starając się zrobić to jak najciszej.

Stała w otwartym oknie, skąpana w bursztynowym świetle i wpatrywała się w kanał na dole. Czarny warkocz upięty na głowie lśnił od pereł. Wydała mu się uosobieniem spokoju, zamkniętym w sobie i niedostępnym niczym święta z fresku. To jeszcze bardziej podsyciło jego tęsknoty.

- Co robisz, pani, w tym pokoju, Julietto? - spytał. Odniósł wrażenie, że jego głos brzmi dziwnie chrapliwie.

Starannie zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami. Czuł się w tej chwili tak, jak przed bitwą. Musiał przecież pamiętać, że w realnym życiu ta kobieta jest jego wrogiem, w dodatku jednym z najgroźniejszych, jakich spotkał na swej drodze.

Julietta głośno odetchnęła i odezwała się dość oficjalnym tonem:

- Czy nie powinienes, panie, być z innymi?

- Mógłbym spytać cię, pani, dokładnie o to samo - odparł.

Oderwała się od framugi i wreszcie na niego spojrzała. Teraz jej postać znalazła się bardziej w mroku, księżycowa poświata padająca zza jej pleców uwydatniała tylko sylwetkę.

- Mojego braku nikt tam nie zauważy, zbyt mało wszak znaczę - powiedziała. - Ale ty, panie, jesteś gościem honorowym, Il Leone. Nasz gospodarz zechce cię osobiście odprowadzić do drzwi frontowych.

Marc ruszył ku niej, pchany jakąś niezrozumiałą i nieodpartą siłą. W sali jadalnej też czuł jej działanie.

- Moim zdaniem Ermano będzie znacznie bardziej tęsknił za tobą pani - stwierdził cicho i sięgnął po jej dłoń. Skórę miała schłodzoną wieczornym powietrzem. Spletli palce i unieśli złączone ręce. Julietta nie próbowała się uwolnić, w ciszy było słycać dwa przyspieszone oddechy.

- Co chciałeś przez to powiedzieć, panie?

- Nasz gospodarz jest w tobie, pani, zakochany. Cała Wenecja to wie.

Julietta parsknęła pogardliwie.

- Ermano kocha jedynie samego siebie i właśnie to wie cała Wenecja. Odmówiłam mu sprzedaży moich posiadłości na północy, a on zachowuje się jak dziecko, które usłyszało, że nie dostanie łakoci. Hrabia Ermano chce tego i niczego więcej.

Marc pokręcił głową. Widział gorączkowy blask oczu Ermana, gdy mówił o Julietcie Bassano. Podobny blask miał w oczach kapitan pirackiego okrętu, gdy wydawało mu się, że statek Marca stanowi łatwy łup.

- To nie wszystko, Julietto, dobrze, pani, o tym wiesz. Westchnęła załóżnie i nagle szarpnęła ręką.

- Nie chcę o nim rozmawiać!

Marc tylko wzmocnił uścisk i przyciągnął Juliettę do siebie. Przez kilka warstw tkaniny poczuł dotyk jej piersi, otoczył ją więc ramieniem w talii, żeby mu nie uciekła. Wyczuwał, że w każdej chwili może stawić opór, zacząć się szarpać, jak ptak, który przypadkiem wpadł do rybackiej sieci.

Nie mógł jednak jej puścić. Nie teraz. Jeszcze nie teraz. Za bardzo jej pragnął. Musnął jej włosy, upajając się zapachem jaśminu. Do kroćset, co za czar!

- Wobec tego nie będziemy o nim mówić - szepnął do ucha Julietty. Wyczuł dreszcz, który przebiegł po jej ciele. - Chodźmy stąd.

Spojrzała na niego zdumiona. - Ale hrabia, doża...

- Sama, pani, powiedziałaś, że zbyt mało znaczymy, by ktokolwiek zauważył nasz brak. Chodźmy, to przyjęcie i tak jest nudne. Znajdziemy lepsze, gdzie będzie dużo więcej prywatności.

- Czy pójdziemy poszukać twojego przyjaciela Nicolaia, panie? - Z jej wielkich oczu trudno było coś w tej chwili wyczytać, ale drobne zmarszczki w ich kącikach zdradzały uśmiech.

Marc roześmiał się szorstko.

- Och, moje Słońce. Nie potrzebujemy Nicolaia. Dzisiejszej nocy sami możemy dobrze się bawić.

Skinęła głową z takim zdecydowaniem, jakby chciała otrząsnąć się z wszelkich wątpliwości.

- Dobrze, chodźmy więc. Pod warunkiem, że uda nam się niepostrzeżenie wymknąć spod pieczy gospodarza.

Marc wychylił się przez otwarte okno. Zgodnie ze swymi oczekiwaniami dostrzegł wąskie kamienne schodki, prowadzące aż na nabrzeże. Tajne wyjście hrabiego Ermano używane w chwilach, gdy frontowe drzwi były nieprzydatne.

- Tędy - powiedział i znalazł się po drugiej stronie okna. Wyciągnął ręce do Julietty, objął ją w talii i chciał postawić obok siebie, ale wyczuł opór.

- Tu jest bardzo wysoko - powiedziała cicho.

- Na pewno złapię cię, pani, gdyby powinęła się noga - odrzekł z przekonaniem.
- Zawsze,

Przez dłuższą chwilę bacznie mu się przyglądała, jakby zastanawiała się, ile warte jest jego słowo. Ile wart jest on sam. Wreszcie przytaknęła i z jego pomocą znalazła się na szczycie wąskich schodów, które sprowadziły ich na dół.

Rozdział dwunasty

Gdy zstępowali z wąskich, śliskich schodków, Julietta kurczowo trzymała Marca za rękę. W pobliżu nie było nikogo; dobiegał ich tylko cichy plusk wody o nabrzeże i stukot ich własnych kroków. W pewnej chwili Marc chwycił ją na rękę i przeniósł przez ciemną, oleistą kałużę.

Długo nie wypuszczał jej z objęć, mocno ściskając w pasie. Niespodziewanie okręcił ją dookoła, jakby przepelniony radością, że udało im się wydostać na wolność. Julietta roześmiała się i zarzuciła mu ręce na szyję. Obsypała delikatnymi pocałunkami jego policzki, z upodobaniem wdychając otaczający go zapach morskiej wody.

Szumiało jej w głowie. Ona również czuła się jak po ucieczce z więzienia. Miała na myśli zarówno posepną, złowroźbną atmosferę panującą w Palazzo Grattiano, jak i swe własne wątpliwości, lęki i skrywane tajemnice. Teraz, przynajmniej przez chwilę, była od nich wolna.

Marc delikatnie postawił ją na ziemi, nie wypuszczając z objęć.

- Dokąd teraz pójdziemy? - zapytała, wsuwając palce w jego włosy. Czy pomyślałeś o tym, panie?

- Najpierw musimy znaleźć jakąś wolną gondolę - odpowiedział. - I butelkę wina.

- I tak, po prostu, sobie odpłyniemy?

- Oczywiście. Możemy pływać bez końca, jeśli takie będzie życzenie mojej pani. Możemy też zatrzymać się tam, gdzie jej się spodoba.

Pociągnął ją za sobą wąskim przejściem. Wkrótce znaleźli się przy ruchliwym, rześście oświetlonym pochodniami nabrzeżu Wielkiego Kanału. Sądząc po głośnych

wybuchach śmiechu, nocne zabawy trwały w najlepsze. W pewnej chwili oplątały ich różnobarwne serpentyny.

Marc przystanął i pomachał na gondoliera. Gdy wdał się z nim w rozmowę, Julietta cofnęła się pod mur. U znajdującego się nieopodal wejścia do domostwa Ermana stali liczni paziowie z pochodniami; nie chciała zostać rozpoznana. Nie przypuszczała wprawdzie, by którykolwiek z nich doniósł swemu panu, że jakichś dwoje ludzi ucieka z przyjęcia, nie zamierzała jednak ryzykować.

Minęła ją kolorowo ubrana chłopka niosąca kosz pełen tanich masek. Julietta odruchowo dotknęła policzka. Na oficjalnej biesiadzie u Ermana nie zakrywano twarzy maskami.

- Przepraszam, *signora!* - zawołała. - Proszę o dwie maski.

Włożyli maski: Marc czarną, Julietta błyszczącą, złotą, weszli do gondoli i szybko wpłynęli pomiędzy łodzie wypełnione podochoconymi uczestnikami karnawału.

Julietta z ulgą opadła na aksamitne poduchy i uniosła wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu, czując miłe odprężenie. Teraz, z dala od znienawidzonego Palazzo Grattiano z jego wystawną ucztą, zaczynał się ich własny karnawał.

Marc otworzył butelkę wina. Zapach taniego trunku zmieszał się z wonią kanału i perfumami Julietty.

- Obawiam się, że nie mamy kielichów - powiedział.

- Nie szkodzi. - Sięgnęła po butelkę i pociągnęła tęgi łyk. Wino było kwaśne i mocne, nie miało aromatu kosztownych, słodkich trunków Ermana. Poczula ogarniające ją ciepło.

Marc roześmiał się. Julietta przytknęła mu butelkę do warg. Zauważywszy strużkę wina ciekącą mu po brodzie, bez namysłu ją zlizwała.

Słonawy smak jego napiętej, rozpalonej skóry natychmiast pobudził jej zmysły. Zaczęła obsypywać pocałunkami jego twarz i szyję.

Gdy jęknął i przyciągnął ją do siebie, poczuła jego nabrzmiałą męskość. Ogarnięta pożądaniem, rozpięła wysadzane klejnotami klamry wamsa i zaczęła szarpać sznurówki jedwabnej koszuli, by dotknąć gładkiej, spoconej skóry torsu

Marca. Czują szybki, mocny rytm jego serca. Zafascynowana, przyłożyła rozprostowaną dłoń do jego piersi. Boże, jak bardzo go pragnęła!

Nakrył jej dłoń swoją.

- Julietto... - wydyszał, z trudem chwytając oddech. - Próbowałem z tym walczyć...

- Wiem - wyszeptała w odpowiedzi,

- Czy to jakieś czary? Rzuciłaś na mnie jakiś urok. Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety takiej jak ty.

Oparła głowę o jego tors. To dziwne, ale miała ochotę odwzajemnić pytanie. Nadal odnosiła wrażenie, że Marc jest czarodziejem, który zamierza zawładnąć na zawsze jej duszą i ciałem.

- Jestem najzwyczajniejszą kobietą - odpowiedziała. - A ty, Marcu Velazquez, jesteś moim księciem... wyzwoliłeś mnie z Palazzo Grattiano. Roześmiał się.

- Uprzedzam, że nie mam teraz ochoty prezentować manier księcia.

Posadził ją na sobie okrakiem, powoli uniósł haftowany kraj jej sukni i zaczął wodzić dłonią po jej udzie.

Oszołomiona, nie była w stanie myśleć, bezwiednie wstrzymała oddech. Tej nocy postanowiła pozwolić sobie na wszystko, nawet gdyby miało to doprowadzić ją do zguby.

Odchyliła głowę, gdy zaczął całować i pieścić językiem jej szyję, dekolt i zagłębienie pomiędzy piersiami.

Wyswobodziła pierś i uniosła ją nad dekolt sukni. Nie została zbyt hojnie obdarzona przez naturę i mogła pozazdrościć weneckim kurtyzanom ich obfitych biustów, jednak w tej chwili nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Za wszelką cenę chciała poczuć pocałunki Marca na swej nagiej skórze.

- Julietto... jakaś ty piękna...

- Nie tak piękna jak ty.

- Jesteś najpiękniejsza, dziewczyno - zapewnił ją szeptem i objął wargami brodawkę jej piersi.

- *Mon amour* - jęknęła w zapomnianym języku matki, przyciągając Marca do siebie. - Mój aniele.

- Julietto - wyszeptał. - Odurzasz mnie jak wino, ale nie możemy przecież kochać się w tej gondoli.

Podciągnęła stanik sukni i rozejrzała się dookoła. W płynącej obok gondoli jakaś para uprawiała miłość. Słychać było namiętne westchnienia kochanków i można było dostrzec nagi tors mężczyzny wznoszący się nad ciałem kobiety.

Roześmiała się.

- A dlaczegoż by nie? Skoro oni mogą to robić...

Marc delikatnie odsunął ją od siebie i poprawił nogawice.

- Chyba mam na to zbyt wyrafinowany gust. Odpowiedziała mu śmiechem.

- Nie wiedziałam, że jesteś aż tak wrażliwy, mój piracie. Uniósł jej dłoń do warg.

- Myślałem, że jestem twoim aniołem, twoim księciem.

- Jesteś. Na tę jedną noc. - Pochyliwszy się ku niemu dodała szeptem: - Możemy iść do mnie. Bianca ma dziś wychodne.

Oczy błysnęły mu dziko.

- W takim razie na co czekamy?

W sklepie panowała cisza, kontrastująca z ulicznym gwarem. Zza zamkniętych drzwi nie dochodziły ich dźwięki muzyki, odgłosy rozmów ani śmiech. Jedyne smugi światła zza okien kładące się jasnymi plamami na ścianach i odbijające od błyszczącej lady, buteleczek, naczynek i palników, stanowiły dowód, że miasto nie śpi. Julietta zdjęła maskę i oparła się o drzwi, próbując złapać oddech po szybkim biegu. Mimo chwilowego zmęczenia, po pieszczotach Marca czuła się jak nowo narodzona, a pragnęła jeszcze więcej!

Patrzyła, jak Marc podchodzi do kontuaru, zdejmując maskę i opiera dłonie o marmurowy blat. Pożądała go, marzyła o tym, by jak najszybciej dokończyć to, co rozpoczęło się między nimi w gondoli, tymczasem niespodziewanie ogarnęła ją dziwna nieśmiałość. Byli teraz sami w jej domu, stał zaledwie kilka kroków od niej; wystarczyło wyciągnąć rękę, przywołać go, wymawiając jego imię, by się z nim połączyć. Wiedziała jednak, że ich bliskość może potrwać jedynie chwilę. Lwy nie pozwalają się ujarzmić, pozostają nieosiągalne, podobnie jak słońce i gwiazdy. Czuła, że tej nocy Marc odda jej się cały, lecz nieuchronnie zniknie o świcie.

Uzmysłowiła sobie, że od dawna pragnie takiego właśnie kochanka; kogoś, z kim będzie mogła przeżyć upojne chwile, nie dając mu przystępu do swego życia, swych pilnie strzeżonych tajemnic. Pożądała Marca Antonia Velazqueza i nie potrafiła oprzeć się jego męskiemu urokowi. Dlaczego więc teraz się wahała?

Odwrócił się. Światło pochodni padło na jego zmierzwione włosy i szczupłą twarz.

- Julietto... - zamruczał namiętnie. - Naprawdę jesteś absolutnie niezwykła.

Zaśmiała się niepewnie. Wiedziała, że Marc nie będzie prawil jej nieszczerých komplementów na temat jej urody czy anielskiej delikatności. W niczym nie przypominał hrabiego Ermano, któremu podobne pochlebstwa przychodziły z irytującą łatwością. Marc był wilkiem morskim, jej piratem.

- To samo mogę powiedzieć o tobie.

- W takim razie jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Chyba tak - odpowiedziała, ruszając ku niemu. Wyciągnął do niej rękę, by po chwili otoczyć ją ramieniem. - Przynajmniej na tę jedną noc.

- Tylko na jedną? - Pochylił się, by pocałować jej szyję.

Julietta zarzuciła mu ręce na ramiona i mocno przytuliła do siebie. Pragnęła zatracić się w jego objęciach do końca, bez reszty. Otaczający ich świat przestał mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie, liczyli się teraz tylko oni oboje.

Zaczął całować jej piersi wyłaniające się zza dekoltu sukni.

- Marc! - krzyknęła. - Zaraz osunę się na ziemię.

- Przecież wiesz, że zawsze cię złapię, nie pozwolę ci upaść, kochana - przypomniał Julietcie szeptem. Jego oczy pałały.

Bez słowa poprowadziła go ku wąskim schodom wiodącym do jej przytulnego pokoju na piętrze.

Gdy znaleźli się w sypialni, na chwilę oderwała się od niego, by otworzyć okiennice. Do wnętrza wpłynęło srebrzyste światło księżyca i odgłosy zabawy na placu. Oparła rozpalone czoło o zimną szybę. Tego dnia wszystko toczyło się tak szybko jak wezbrane wody rzeki.

- Potrafisz kształtować świat po swojemu, wyznaczać nowe kierunki, masz moc w swoich rękach, jeśli tylko chcesz jej użyć - przypomniała sobie słowa kobiety, stawiającej tarota. Czyżby miało to być aż tak proste?

Usłyszała cichy szelest aksamitu. Marc podszedł do niej, objął ją z tyłu i przyciągnął do siebie, by obsypać delikatnymi pocałunkami jej skroń, policzek, wrażliwe miejsce za uchem. Zadrżała z rozkoszy. Tak, tej karnawałowej nocy wszystko wydawało się niezwykle proste.

Obrócił ją ku sobie i przez dłuższą chwilę uważnie się jej przyglądał, jakby czytając w jej myślach.

- Kim naprawdę jesteś? - zapytał w końcu.

Julietta zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

- Tylko Juliettą.

Pokręcił głową.

- To prawda - zapewniła go. - I nie mam już nic więcej do powiedzenia na ten temat. - Wsunęła dłonie w jego lśniące, jedwabiste włosy i przywarła do niego ustami.

Jęknął, z pasją odwzajemniając pocałunek. Nie wiedziała, jak to się stało, że znaleźli się w łóżku, a Marc nakrywał jej ciało swoim. Rozkoszując się jego słodkim ciężarem, dotykiem i zapachem, drżącymi rękami zsunęła wams z jego ramion. Ich pocałunki stawały się coraz głębsze, bardziej namiętne, coraz bardziej nienasycone.

Marc uniósł spódnicę jej sukni i z upodobaniem objął wzrokiem jej nogi w jedwabnych pończochach, nagie uda nad czerwonymi podwiązkami, ciemną kępkę włosów okrywającą jej pleć.

Julietta przyglądała mu się, drżąc na całym ciele.

- A kim ty jesteś? - zapytała szeptem, wyciągając ku niemu ręce.

- A co by ci najbardziej odpowiadało? - odpowiedział, obejmując ją mocno.

Rozsznurowała mu spodnie i zaczęła pieścić jego męskość. Jej gorące ręce, jej dotyk sprawił, że Marc stał się gotowy do miłości.

Jakby w odpowiedzi wsunął palec w jej gorącą cieśń i dotknął kciukiem najczulszego miejsca. Krzyknęła, lecz poddała mu się.

- Pragnę cię, Julietto.

- Oh! Tak - powiedziała, zdolna wymówić tylko to jedno słowo. Tak... Tak.

Poczuła jego kolano, jak rozchyłał jej nogi i zamknęła oczy, odrzuciła głowę na poduszki świadoma, że doprowadza ją do ekstazy. Gdy w nią wszedł, otoczyła nogami jego biodra, by pełniej się z nim zespolić.

Ten ciężar na jej biodrach, naciskał na nią, poruszał się w niej zrazu delikatnie, potem coraz gwałtowniej, z desperacją, która ją samą zachwyciła. Słyszała jego rozkoszne pomruki, które po chwili przeszły w przeciągłe jęki uniesienia.

Drżała pod nim z rozkoszy, jej ciało gwałtownie poddawało się jego pieścizotom. Nie poznawała samej siebie. Jeszcze nigdy tak szybko nie poczuła pełni doznań! Zazwyczaj wymagało to czasu i wymyślnych pieścizot, a czasami w ogóle nie nadchodziła chwila słodkiej bezwolności. Teraz czuła się jak ognista kula, emanująca żarem i energią.

Marc gorączkowo wyszeptał jakieś hiszpańskie słowa. Jego mięśnie napięły się, ciałem targnął spazm spełnienia. Potem opadł koło niej na posłanie.

Julietta pomału dochodziła do siebie. Czuła się wyczerpana, a zarazem lekka jak piórko. Przepelniało ją wielkie, ogromne szczęście. To, o czym marzyła od kilku nocy i dni, dziś stało się rzeczywistością. Popatrzyła na kochanka.

Uśmiechnął się do niej i pogładził ją po ramieniu.

- Zanim zaśniesz, Il Leone - powiedziała szeptem - zechciej rozsznurować mi suknię.

- Zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda dama mego serca - odpowiedział.

Spełniwszy jej prośbę, zaczął delikatnie wodzić językiem wzdłuż jej kręgosłupa. W pewnej chwili zdarł z siebie koszulę i nagi pociągnął Juliettę za sobą na posłanie.

Walcząc ze snem czuła, jak Marc delikatnie rozplata jej warkocz. Bała się zasnąć. Co zrobi, gdy bezbronna, zapadnie w sen? Może odkryć jej tajną pracownię...

Uzmysłowiła sobie, że dobrowolnie ściągnęła na siebie niebezpieczeństwo. Od chwili, gdy go poznała, wiedziała, że jeśli uczyni ją swoją, wszystko w jej życiu ulegnie zmianie; runie gmach, który wznosiła z takim mozołem. Była tego w pełni świadoma, a jednak pokusa okazała się zbyt silna. Igrała z ogniem, dobrze wiedząc, że mogą ją pochłonąć płomienie. Jak niegdyś jej matkę.

Zadrżała na wspomnienie dotyku Marca i wspólnie przeżytych upojnych chwil.

- Ukochana - wyszeptał jej do ucha. - Moje życie, moje słońce.

Doszła do wniosku, że postąpiła słusznie. Wyjeżdżając z Mediolanu wkroczyła na nową drogę życia, zdecydowała się kierować radami matki. Zapraszając Marca do swego łóżka, była pewna, że przyjdzie jej za to zapłacić.

Czy znajdzie w sobie dość sił, by ponieść konsekwencje swego postępowania?

Nie mogła tego wiedzieć. Pozostawało jej cieszyć się chwilą. Przytuliła się do kochanka. Oparła głowę w zagłębieniu między jego szyją a barkiem.

- Nie śpisz? - spytała, wodząc językiem po jego nagim torsie.

- Teraz już nie - mruknął, wsuwając dłonie w jej włosy. Roześmiała się i zaczęła obsypywać pocałunkami jego brzuch.

- Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin. Jak je spędzimy? - zapytała szeptem.

- Przychodzi mi do głowy parę możliwości.

- Byłam pewna, że coś wymyślisz - wyszeptwała, przepełniona tęsknym oczekiwaniem.

W tym momencie byli tak bliscy sobie, jak tylko dwoje ludzi może to odczuwać. I to musiało im wystarczyć.

Rozdział trzynasty

Olbrzymi przedpokój w Pałacu Dożów był pełen ludzi, jednak panowała tu dziwna, niepokojąca cisza. Zgromadzeni w sali nie tworzyli rozplotkowanych grup, jak działo się to w Wenecji niemal wszędzie, stali samotnie pod ścianą, ze ściągniętymi twarzami i rękami złożonymi jak do modlitwy. Tylko czasami czyjeś wargi poruszyły się w bezgłośniejszej prośbie, dał się słyszeć cichy szelest pergaminu, kosztownej tkaniny lub szuranie butów o parkiet

Marc stał w rogu pomieszczenia, nieopodal posągu rzymskiej bogini w zwiewnej szacie, oplecionej gałązką winnej latorośli, i przyglądał się suplikantom. Chociaż został zaproszony do siedziby władz przez samego dożę i nie miał żadnej prośby, musiał cierpliwie czekać na swoją kolej. Czas płynął tu wolno, powietrze wydawało się gęste od ciężaru spraw możliwych tego świata.

Ściany sali zostały ozdobione freskami przedstawiającymi sceny Sądu Ostatecznego. Były tam barwne obrazy nieba i piekła ze świętymi o pogodnych obliczach, pastelowymi aniołami, czerwonymi diabłami w kłębach dymu i konwulsyjnie wijącymi się w cierpieniach duszami potępionych. Dzieło artysty zdawało się przedstawiać radość tych oczekujących na audiencję, których prośby zostaną wysłuchane, i udrękę wzgardzonych.

Marc odwrócił się plecami do malowidła i zapatrzył się na wizerunek świętego Marka błogosławiącego Wenecję, wyobrażoną w postaci złotowłosej kobiety ubranej w białą jedwabną szatę, w złotej koronie wysadzonej szmaragdami. Ten obraz przedstawiał zdecydowanie przyjemniejszy widok.

Nie wiedział, z jakiego powodu musi tu czekać, dlaczego został wyrwany tego ranka z niespokojnego snu w swym wynajmowanym pokoju i otrzymał opatrzone licznymi pieczęciami pismo, wzywające go do stawienia się w Pałacu Dożów. Zaledwie kilka godzin wcześniej, o świcie, wrócił do domu, niechętnie opuściwszy gościnne łóżko Julietty. Uśmiechnął się na wspomnienie spojrzenia, jakim go obdarzyła, gdy pocałował ją na do widzenia. Owinięta w prześcieradła, ze zmierzwionymi włosami opadającymi na ramiona, uniosła zaspane powieki.

- Jest jeszcze ciemno - powiedziała. - Proszę, nie odchodź.

Na świętego Marka, ależ go kusilo, by u niej zostać! Chciał całować ją, pieścić, zatracić się w jej ramionach. Miał wrażenie, że wciąż otacza go zapach jej perfum, że słyszy jej radosny śmiech.

Potrząsnął głową. Nie wolno mu było teraz myśleć o wspaniałej, upojonej nocy z Juliettą Bassano. Pałac Dożów można było porównać do groźnej, choć luksusowej jaskini węży i należało tu zachować czujność.

Oderwał wzrok od malowidła. Usiłując choć na chwilę wymazać z pamięci obraz Julietty, gołej jak ją Pan Bóg stworzył, zaczął przyglądać się oczekującym. W ogromnej komnacie stało tylko jedno, kunsztownie rzeźbione krzesło wyściełane ciemnoniebieskim aksamitem. Siedząca na nim zażywna dama zdecydowanie wyróżniała się wśród zgromadzonych, niepotrafiących ukryć swego zdenerwowania lub skrywających strach i napięcie pod maską chłodnej obojętności. Ta kobieta była najzwyczajniej w świecie wściekła.

W młodości musiała służyć jako piękność, jednak czas nie oszczędził się z nią łagodnie - roztyła się, miała obwisłe policzki i głębokie zmarszczki koło oczu i nosa, widoczne mimo grubej warstwy białego pudru. Była ubrana w suknię z czarnego atłasu, siwe włosy okrywał długi czarny woal z koronki. Jedyne ustępstwo na rzecz biżuterii stanowił duży, wysadzany ametystami i gagatami krzyż na szyi, lecz blask klejnotów bladł w zestawieniu z błyszczącymi gniewem ciemnymi oczami.

Gdy wzrok damy spoczął na chwilę na Marcu, na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia. Marc skłonił się. Dama powoli wstała i ruszyła w jego stronę, sunąc przez salę jak statek pod pełnymi żaglami.

- Znasz mnie młody człowieku? - zapytała. - Jestem *signora* Landucci.

Marc poczuł się jak złapany w pułapkę. Kim była ta kobieta i czego od niego chciała?

Ledwie wypowiedziała kilka słów, potężne drzwi w końcu sali otworzyły się i w progu stanął sługa w biało-złoty kszycących barwach.

- *Signor* Marc Antonio Velazquez, doża udzieli ci, panie, audiencji.

- Proszę mi wybaczyć, *signora* - usprawiedliwił się grzecznie Marc, z ulgą mijając tęgą jejmość.

Szybko złapała go za rękaw swą białą, pulchną dłonią.

- Strzeż się, panie, właścicielki perfumerii, *signor* - syknęła - Zabiła mego syna, Michelotta, co zamierzam udowodnić.

Marc skinął jej głową i udał się w stronę drzwi. Serce mocno biło mu w piersi. Został ostrzeżony przed Juliettą. Był pewien, że jego ukochana ma pilnie strzeżone tajemnice, jednak aż do tej pory nie przypuszczał, by mogły one w jakikolwiek sposób zagrozić im obojgu.

Sługa poprowadził go szerokimi schodami na piętro. Minęli licznych służących, zajętych swą pracą, i suplikantów opuszczających pałac po audiencjach. Ku swemu zaskoczeniu Marc nie został wprowadzony do olbrzymiej Sali Wielkiej Rady, lecz do mniejszej komnaty bez okien.

W pomieszczeniu panował mrok, kontrastujący z bielą marmurowej klatki schodowej. Na ścianach wisiały arras w ponurych barwach. Dopiero po chwili, gdy jego oczy przywykły do ciemności, zobaczył dożę siedzącego na tronie w końcu sali,

otoczonego doradcami w czarnych szatach, przepasanych czerwonymi szarfami. Był wśród nich Ermano Grattiano, który nieznacznie, jakby ukradkiem, skłonił się Marcowi.

- Wasza Ekscelencjo, *signor* Marc Antonio Velazquez - obwieścił sługa i wycofał się. Marc podszedł do tronu i nisko się skłonił.

- Witam, *signor* Velazquez. Bardzo chciałem się z panem ponownie spotkać. Wciąż mam w pamięci naszą zajmującą rozmowę na barce „Bucentaur” - odezwał się doża Andrea Gritti. Chociaż niegdysiejszy bohaterski dowódca armii weneckiej dawno przekroczył już siedemdziesiątkę, jego przenikliwe spojrzenie dowodziło inteligencji i bystrości, a czerwono-złota szata kryła sprawne, silne ciało. Ten doża nie był marionetką, jak wielu jego poprzedników. Marc dostrzegł to od razu.

Pozostawało pytanie, z jakiego powodu wielki Gritti pragnął się z nim zobaczyć.

- Wasza Ekscelencjo... - powitał dożę.

- Przykro mi, że musiałeś, panie, czekać - powiedział dostojnik. - Obiecuję, że nie zajmiemy ci wiele czasu.

- Będę niezmiernie rad, mogąc okazać się pomocnym - zapewnił Marc.

- Oddałeś nam, panie, już tak wiele przysług... Jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni i zobowiązani. Niestety, wyniknęło kolejne zagrożenie dla naszej najjaśniejszej Republiki.

Marc uniósł brwi.

- Piraci? Bezzwłocznie każę przygotować mój statek do wypłynięcia...

- Nie. Tym razem to sprawa wewnętrzna. Zapewne słyszałeś, panie, o licznych zgonach moich doradców z Savio ai Ceremoniali?

Nie sposób było o tym nie wiedzieć. Wszędzie roило się od plotek na temat przedwczesnego opuszczenia ziemskiego padołu przez kilku dygnitarzy, wśród których był syn czarno ubranej damy, „Michelotto”.

- Owszem, słyszałem. Bardzo mi przykro z tego powodu, Wasza Ekscelencjo.

Doża zbył kondolencje machnięciem ręki; błysnął okazały książęcy pierścień na jego palcu.

- Z początku wydawało się, że zmarłych łączyła jedynie wysoka pozycja we władzach Republiki, jednak obecne ustalenia pozwalają przypuszczać, że wszyscy zakończyli życie w ten sam sposób. Ich rodziny i służący zgodnie zeznają, że odeszli z tego świata w męczarniach. Była krew, wymioty, usta wykrzywione w grymasie bólu i przerażenia.

Marc poczuł zimne ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa.

- Zostali otruci?

- Niewykluczone. Niestety, w naszym mieście często słyszy się o przypadkach użycia trucizny. Wszyscy ci mężczyźni prowadzili rozmowy zagraniczne na wysokim szczeblu, niezwykle delikatnej natury, i ich strata stanowi wielki cios dla Republiki, nie mówiąc już o ich rodzinach. - Doża westchnął ciężko. - Matka *signora* Landucciego nieustępliwie domaga się ukarania winnych tych zbrodni.

Krótkie spotkanie z *signorą* Landucci pozwoliło Marcowi zorientować się w jej sile perswazji.

- Jak mógłbym pomóc? Jestem tylko korsarzem, Wasza Ekszelencjo. Nie mam pojęcia o truciznach i morderstwach. Nie znam też mieszkańców Wenecji.

- Wiem, że znasz, panie jedną mieszkankę naszego miasta. - Doża wyciągnął rękę; jeden z doradców podał mu niewielki plik papierów. - Te anonimowe oskarżenia dowodzą, że istnieje powiązanie pomiędzy zmarłymi... ich żony lub utrzymanki regularnie dokonują zakupów w perfumerii *signory* Julietty Bassano.

Julietta.

Marc zeszywniał na dźwięk jej imienia.

- Wasza Ekszelencja podejrzewa, że *signora* Bassano jest trucicielką?

Doża złożył dłonie tak, że stykały się koniuszkami palców i uważnie przyjrzał się Marcowi.

- Być może jedynie dostarcza trucizny. Łatwo jest ukryć ją we flakoniku po perfumach.

- *Signora* Bassano nie urodziła się w naszym mieście - dodał jeden z doradców, wymieniając spojrzenia z Ermanem.

- Damy mogą bez trudu kupić truciznę, łatwo jest też się nią posłużyć - dodał doża. - Cała Wenecja wie, że małżeństwo Landucciego nie należało do udanych. -

Uniósł papiery. - Te doniesienia są anonimowe i nie można na ich podstawie nikogo oskarżyć, jednak zeznania są niezwykle spójne. Już wiele razy mieliśmy do czynienia z podobnymi przypadkami. Co wiesz, panie, na temat *signory* Bassano, *signor* Velazquez?

Wiedział wszystko, a zarazem nic. Znał jej smak, zapach, dotyk... wszystkie tajemnice ciała, nie miał jednak przystępu do sekretów jej serca.

- Wiem, że jest właścicielką sklepu z pachnidłami - odpowiedział ostrożnie. - Ma wielu klientów z różnych środowisk, w tym wysoko urodzonych. Jestem pewien, że poczucie honoru nie pozwoliłoby jej tak haniebnie zdradzić Republiki. - Nie wyobrażał sobie, by Julietta mogła sporządzać trucizny na użytek znudzonych żon.

Doża powoli kiwnął głową; oblicza doradców pozostały nieprzeniknione. Nawet hrabia Ermano obojętnie wpatrywał się w podłogę, jakby nie znał Julietty Bassano, a jej los był mu doskonale obojętny... jakby nigdy nie poprosił Marca o przysługę w jej sprawie.

- Odnoszę wrażenie, że masz, panie, niezwykle dobre zdanie o tej damie - rzekł Andrea Gritti.

- To prawda, Wasza Ekscelencjo. Obawiam się jednak, że nie znam jej tak dobrze, jak bym sobie tego życzył.

- To zupełnie zrozumiałe. Poznał ją pan niedawno, zaledwie kilka dni temu. Zapewne powiedziała ci, panie o tym, że nie jest rdzenną mieszkanką Wenecji?

- Tak - odpowiedział Marc. - Przybyła tu z Mediolanu.

- Owszem... Jej mąż, Giovanni Bassano, pochodził z jednego z najstarszych weneckich rodów, znanego z wiernej służby Sforzom. Był niezwykle szanowanym człowiekiem o wielkich wpływach. Wszyscy przeżyli niemałe zaskoczenie, gdy wdowa po nim zajęła się prowadzeniem sklepu, chociaż oczywiście, Republika z radością przyjmuje wszystkich, którzy oferują jej swój talent.

I pieniądze, pomyślał Marc.

- *Signora* Bassano wyraziła w mojej obecności wdzięczność Wenecji za to, że może tu mieszkać. Jest z tego powodu szczęśliwa. - Marc odnosił dziwne wrażenie, że Julietta doskonale pasuje do tego miasta masek i kanałów. - Jestem pewien, że nie jest poszukiwaną morderczynią.

Doża oddał papiery swemu doradcy.

- Jestem pewien, że masz, panie, rację, *signor* Velazquez, niemniej jednak musimy zbadać każdy trop. Sprawiedliwości musi stać się zadość. Chcieliśmy poznać zdanie na temat *signory* Bassano. Prosiłbym, żebyś powiadomił nas, panie, o czymkolwiek, co mogłoby się przyczynić do zmiany twojej opinii.

- Uczynię to z pewnością, Wasza Ekscelencjo - odpowiedział Marc.

- *Va bene, signor* Velazquez. W takim razie nie będziemy, panie, dłużej cię zatrzymywać.

Marc skłonił się i z ulgą opuścił komnatę. Na schodach minął się z prowadzoną na audiencję *signorą* Landucci. Dystyngowanie skinęła mu głową, jednak Marc ledwie to zauważył, zatopiony w rozmyślaniach o swej ukochanej.

Groziło jej niebezpieczeństwo; zbliżało się do niej jak sztorm do statku na otwartym morzu. Nie umiał bronić jej słowem; nie był dworzaninem jak hrabia Ermano, potrafiący wykorzystać każdą pogodę dla swych celów. Wojownik taki jak Marc przemawiał czynem, za pomocą szabli i kul armatnich. Nie mógł jednak wystawić swych dział przeciw plotkom i złym pogłoskom.

Julietto, Julietto, powtarzał w myślach, odbierając przy wyjściu swą szablę i płaszcz. Co ty zrobiłaś? Miał ochotę porwać ją na swój statek i wywieźć daleko stąd, do kraju, w którym byliby bezpieczni. Wiedział jednak, że nie ma na świecie takiego miejsca, w którym można uciec od siebie.

Na placu przed Pałacem Dożów jak zwykle panował ruch, dookoła roiło się od przechodniów, kupców, żebraków. Uniósł wzrok ku kamiennym lwom nad wejściem do pałacu, i bezwiednie skierował się w stronę sklepu Julietty.

- *Signor* Velazquez! - usłyszał za sobą męski głos. Obejrząwszy się przez ramię, ujrzał Ermana, któremu jakimś cudem udało się wyrwać z sali audiencyjnej i od *signory* Landucci. Błysnęły szmaragdy zdobiące skraj czarnej peleryny hrabiego.

- Hrabia Ermano - powiedział Marc.

- Przykro mi, że zakłóciliśmy ci panie, spokój tą sprawą - rzekł Ermano. - Obaj wiemy, że *signora* Bassano wkrótce zostanie oczyszczona z tych absurdalnych podejrzeń, zwłaszcza przy twojej pomocy.

- Jestem tego pewien - odpowiedział chłodno Marc. Ermano pociągnął go za sobą w cień portyku, z dala od tłumów.

- A co, panie, sądzisz o moich szansach u tej damy? Czy sukces jest już bliski?

Marc uważnie przyjrzał się hrabiemu. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy; ten człowiek doskonale umiał skrywać swe prawdziwe uczucia pod maską uśmiechów i chłodnego spojrzenia zielonych oczu. Zdradziła go jednak gwałtowność, z jaką wyciągnął rękę, by chwycić Marca za ramię.

Uniknął uścisku Ermana, szybko unosząc dłoń. Zamigotał pierścionek z rubinem, noszony na małym palcu. Marc poczuł przypływ sił.

- Trudno powiedzieć - rzekł. - *Signora* Bassano nie ma zwyczaju zwierzać się ze swych tajemnic.

- To prawda, ta kobieta stanowi czarującą zagadkę. Jednak z pewnością cię lubi, panie... jesteś przecież Il Leone! Gdyby udało ci się, panie, wydobyć ją z tarapatów, z pewnością posłuchałaby potem twojej rady. Jest w końcu tylko kobietą. - Ermano obliznął wargi, jakby szykując się na wspaniałą ucztę. - Jej ziemie będą moje jeszcze przed nastaniem lata.

Marc cofnął się, czując rosnące obrzydzenie.

- *Signora* Bassano ma teraz na głowie poważniejsze sprawy niż myślenie o majątku... boi się o własną skórę.

- Nie ma powodu do obaw. - Ermano machnął ręką. - Proszę spróbować się zaprzyjaźnić z tą naszą tajemniczą damą. Żadnemu z moich poprzednich wysłanników to się nie udało. A teraz wybaczysz, panie, ale muszę wracać do doży. Wkrótce znów porozmawiamy.

Gdy hrabia odszedł, Marc popatrzył na kopuły Bazyliki Świętego Marka, mieniące się złociście w bladym zimowym słońcu. Plac tętnił życiem, pełen radosnego gwaru. Piękno Wenecji wydało mu się nagle złowrogim symbolem zepsucia. Zateśknił do mórz i oceanów, na których czyhały liczne niebezpieczeństwa, jednak można było uczciwie stawić im czoło.

Zbyt długo przebywał już na lądzie. Nadszedł czas, aby to zmienić.

Ruszył w stronę perfumerii. Niebieskie drzwi były uchylone; z wnętrza dobiegały odgłosy rozmów, kobiecego śmiechu i ujadanie piesków.

Nie miał ochoty dołączyć do plotkujących dam. Wrzał w nim gniew jak przed bitwą, płonął pożądaniem na myśl o wspaniałym ciele Julietty.

Bezszelestnie podszedł do okna i zajrzał do środka. Julietta stała za kontuarem, prezentując klientce olejki na tacy. Znow była ubrana w czerń i biel, lecz tym razem nie okryła upiętych w koronę włosów siatką, nie przyozdobiła ich klejnotami ani wstążkami. Bez reszty skupiona na pracy, wyglądała tak elegancko i poważnie, że trudno było dopatrzeć się w niej kusicielki, która ubiegłej nocy zawładnęła jego duszą i ciałem.

Patrząc na ukochaną, pomyślał, że będzie bronił jej do ostatka, ze wszystkich sił.

Rozdział czternasty

Zapadał zmierzch. Słońce chowało się za horyzont, barwiąc niebo różowymi, pomarańczowymi i lawendowymi smugami. Po całodziennym krzątaniu w okolicy panował spokój. Wenecjanie zniknęli w swych domach, by przygotować się na wieczorne zabawy karnawałowe. Tylko jakiś chłopak napełniał wiadro wodą z fontanny na placyku.

Julietta zapatrzyła się na pobliskie domostwa z szarego kamienia, przybierające o zachodzie barwę płynnego złota. Uwielbiała te zimowe wieczory, gdy miasto cichło po znojnym dniu przed nocnymi szaleństwami.

Potarła bolące plecy. Miała za sobą męczące popołudnie. Tego dnia drzwi sklepu prawie się nie zamykały. Na zakończenie karnawału w Pałacu Dożów miał odbyć się wielki bal. Jej klienci zamawiali na tę okazję nowe perfumy, życząc sobie, by zapach był absolutnie niepowtarzalny. Julietta i Bianca dwoiły się i troiły, by sprostać zamówieniom. Jak co dzień sprzedawały także wodę różaną, cytrynową i olejek piżmowy. Wszystkie buteleczki kupowano natychmiast po napełnieniu.

Ten szal zakupów miał swe dobre strony: oznaczał napływ pieniędzy i pozwalał Julietcie oderwać się od myślenia o Marcu.

Często przypominały jej o nim klientki. Il Leone wciąż był ulubionym tematem plotek i wypowiedzianych ze śmiechem uwag. Na wspomnienie jego imienia na policzkach niejednej kobiety pojawiał się rumieniec.

W pewnej chwili, gdy młoda kurtyzana pozwoliła sobie na sprośną uwagę na temat okazałego, jak przypuszczała, „masztu” Il Leone, Julietta omal nie upuściła cennego naczynia z niebieskiego szkła.

Nigdy jeszcze nie przeżyła tak cudownych chwil jak ubiegłej nocy, nigdy do tego stopnia nie ośmiadnęła nią siła miłości i pożądania.

Oparła czoło o szybę, zauważając pierwsze szare cienie nocy. Wkrótce zapadnie zmrok, na ulicach pojawią się maski, a uczestnicy zabaw zapomną o troskach codziennego życia. Czy zobaczy jeszcze Marca, czy też uznał, że otrzymał już od niej wszystko, czego oczekiwał i może już wrócić na morze?

Poczuła bolesne ukłucie w sercu. Nie powinna pozwalać sobie na tęsknotę. Oznaczało to, że zaczyna jej zależeć na Marcu, a to nieuchronnie wiązało się z bólem i kłopotami. Nie powinien tu już przychodzić, wołała jak najszybciej o nim zapomnieć.

Zamykając okiennice, pomyślała, że po ostatniej nocy bardzo się zmieniła i niełatwo będzie jej udawać, że nic się nie stało.

Wytarła kontuar i zajęła się ustawianiem flakoników. Postanowiła, że kiedy skończy się karnawał, wyjedzie na jakiś czas z Wenecji do swego majątku na kontynencie, by odpocząć i zrobić rachunek sumienia w Wielkim Poście. Może uda jej się tam zapomnieć o niebieskookim piracie?

Czuła jednak, że Marc już na zawsze pozostanie w jej pamięci. Nie chciała zapominać jego czułości.

Z zaplecza wyszła Bianca, niosąc wiadro i ścierkę, i na klęczkach zabrała się do mycia podłogi. Liczni klienci nanieśli do sklepu sporo błota, nabrudził też jeden z piesków *signory* Mercanti. Służąca gniewnie mamrotała teraz coś o pod nosem o niewychowanych kundlach.

- Jak sądzisz, czy możemy zamknąć sklep na kilka tygodni, gdy skończy się karnawał? - zapytała Julietta. - Mogłybyśmy pojechać odpocząć na wieś. Kiedy wszyscy rozmyślają o swych grzechach w Wielkim Poście, nie mamy tu klientów.

Bianca przysiadła na piętach i odgarnęła czarny kosmyk z czoła wierzchem dłoni. Na chwilę w jej oczach odmalowało się przerażenie, jednak natychmiast się opanowała.

- To prawda, że nasi klienci powracają do nas dopiero po Wielkiej Nocy, ale zawsze mamy tu mnóstwo pracy, *madonna*. Trzeba uzupełnić zapasy, wykonać zamówienia...

- Możemy komponować perfumy w mojej posiadłości. Ale jeśli wolisz zostać w mieście, to oczywiście zostań.

Bianca uniosła roziskrzony wzrok.

- Mogę nawet poprowadzić sklep pod twoją, pani, nieobecność. Tak dużo mnie nauczyłaś, pani, ale wciąż jest wiele rzeczy, które muszę poćwiczyć sama. Możesz mi zaufać, *madonna*... należycie zadbam o perfumerię. Będziesz, pani, mogła odpocząć i o nic się nie martwić, obiecuję.

Julietta ze zdumieniem przyjrzała się służącej. Musiała przyznać, że Bianca nie stroniła od pracy i okazała się niezwykle pojętną uczennicą, a także miłą towarzyszką. Do tej pory Julietta nie zdawała sobie jednak sprawy, że może ona pragnąć większej samodzielności.

Przekonała się także, że wcale nie ma ochoty powierzać pieczy nad ukochanym sklepem komuś innemu, nawet Biance.

- Wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć, Bianco - odpowiedziała ostrożnie. - Zobaczymy, co się wydarzy w ciągu kilku następnych dni.

Służka skinęła głową i powróciła do pracy. Julietta wyczuła jednak, że Bianca jest trochę rozczarowana tym, co od niej usłyszała.

- Możesz iść dziś wieczorem do miasta - zaproponowała. Bianca łypnęła na swą panią i uśmiechnęła się chytrze.

- Czy przyjdzie tu później Il Leone?

- Nie! - zaprzeczyła nieco zbyt gorliwie Julietta. - Nie oczekuję niczyjej wizyty.

Bianka wzruszyła ramionami.

- Jak sobie, pani, życzysz, *madonna*. Chyba wyjdę do miasta. W tureckiej dzielnicy będzie dziś muzyka i tańce. Dawno już nie jadłam *baba ghannoug*.

W jej głosie pobrzmiwała nutka rozmarzenia.

- Tęsknisz za swoim krajem, Bianco? - zapytała Julietta, ustawiając buteleczki w równych szeregach.

- Dawno już nie byłam w Turcji - odpowiedziała Bianca. - Na pewno żyje mi się tu lepiej niż w Konstantynopolu. Ale brakuje mi niektórych rzeczy, na przykład unoszącego się w powietrzu zapachu cynamonu, odgłosów bazaru, nawoływania do modlitwy z minaretów... No i smaku baklawy! Żałuję, że nie słuchałam uważniej mojej mamy, kiedy próbowała mnie nauczyć, jak się to przyrządza.

Julietta roześmiała się.

- Mnie też brakuje wielu rzeczy z dzieciństwa, zwłaszcza pięknego ogrodu, ale nie chciałabym ponownie zamieszkać w Mediolanie. - Już dawno doszła do wniosku, że nie należy zbyt często wracać myślami do przeszłości.

- Czego najbardziej ci brakuje, *madonna*? - zapytała służąca.

Julietta zamierzała opowiedzieć jej o pachnącej perfumami, pełnej książek i radosnego śmiechu części domu, stanowiącej prawdziwe królestwo jej matki i babki, lecz przeszkodziło im gwałtowne pukanie do drzwi.

Serce podskoczyło jej w piersi. Natychmiast odruchowo poprawiła włosy. Pomyślała, że przyszedł Marc, by zabrać ją na nocną zabawę.

Bianca odryglowała drzwi. Było jeszcze wcześniej; nie musiały zachowywać szczególnej ostrożności.

Przez chwilę Julietta miała wrażenie, że w progu stoi Marc. Oszołomiona, chwyciła się kontuaru. Wysoki mężczyzna miał na sobie długą pelerynę. Gdy postąpił kilka kroków i zdjął kaptur, Julietta znieruchomiała, przerażona.

Jej wieczornym gościem okazał się Ermano Grattiano.

Obdarzył ją czarującym uśmiechem, jego oczy błyszczały ożywieniem.

- *Signora Bassano* - powiedział intymnie ścisłym głosem. Odchylił pelerynę, odsłaniając żółty atlasowy wams okolony błyszczącym sobolim futrem, i podał go Biance. Służąca szybko zniknęła z okryciem na zapleczu.

Julietta nie mogła jej za to winić, chociaż czuła się jak pozostawiona na placu boju przez towarzysza broni. Ermano wydawał się dziwnie odmieniony, jakby był przejęty czymś do głębi.

Julietta wykonała uprzejme dygnięcie.

- Hrabia Ermano. Co za niespodzianka. Przyszedłeś, panie, po perfumy?
Obawiam się, że zostało nam już bardzo niewiele olejku bergamotowego...

- Nie, *signora* Bassano. Przyszedłem, żeby oddać coś, co należy do ciebie, pani.
- Wyciągnął przed siebie czerwoną aksamitną pelerynę, w której wybrała się na biesiadę do Palazzo Grattiano. - Opuściłaś, pani, moje przyjęcie tak pośpiesznie, że zapomniałaś o płaszczu.

Julietta poczuła, że się rumieni.

- *Grazie* - powiedziała cicho, sięgając po ciężkie okrycie. - Przepraszam, że wyszłam bez pożegnania, ale zrobiło się późno i byłam zmęczona.

- Muszę przyznać, że przeżyłem rozczarowanie. - Przysunął się bliżej i z uwagą wpatrzył w jej twarz, starając się wyczytać z niej jakieś emocje. Julietta zachowała obojętność. - Zamierzałem przedstawić cię, pani, doży.

- To niezmiernie uprzejme z twojej strony, hrabio - odpowiedziała. - Jestem nic nieznaczącą osobą i nie zasłużyłam sobie na taki zaszczyt.

- Nic podobnego. Masz, pani, cechy, które pozwoliłyby ci stać się jedną z najznamienitszych kobiet Republiki, gdyby tylko ci, pani, na tym zależało.

- Jestem zadowolona ze swojego dotychczasowego życia, hrabio.

- Być może, być może. - Rozejrzawszy się po pustym sklepie, wsparł dłonie o ladę i zaczął na przemian zaciskać je w pięści i rozprostowywać. Na jego palcu pysznił się złoty sygnet. - Proszę mi powiedzieć, *signora* Bassano, jak ci się podoba mój dom?

- Jest wspaniały, a twoja słynna gościnność, panie, nie ma sobie równej w Wenecji - odparła, zaskoczona nagłą zmianą tematu. Ermano był dziś niezwykle ożywiony; nienagannie skrojony strój bez wątplenia skrywał gwałtowne emocje.

- Lubię gościć moich przyjaciół, zapewniać im wyborne jadło i dobrą zabawę - rzekł Ermano. - Cóż znaczą bogactwa, gdy nie chcemy się nimi dzielić z innymi? Myślę jednak, że moje uczyty zyskałyby o wiele wspanialszą oprawę, gdyby towarzyszyła mi reprezentacyjna pani domu.

Nie po raz pierwszy hrabia Ermano pozwolił sobie na podobną aluzję. Już wcześniej nadmieniał, że pani domu mogłaby zmienić niemodne pałacowe meble, że w przepastnych komnatach brakuje dziecięcego śmiechu. Byłaby skłonna przypuszczać, że hrabia zabiega o jej względy, gdyby nie fakt, że mężczyźni o jego

pozycji żenili się z kobietami równymi mi stanem, a nie z właścicielkami sklepów. Ta świadomość stanowiła dla Julietty jedyne pocieszenie.

Jednak tego wieczoru ogarnął ją niepokój.

Cofnęła się o krok.

- Twoje przyjęcie, panie, było naprawdę wspaniałe.

- Niestety, najważniejszy gość opuścił je zdecydowanie przedwcześnie - powiedział, uśmiechając się blado. - *Signora Bassano*, pozwolę sobie żywić nadzieję, że zgodzisz się, pani bym przedstawił ją doży podczas prywatnej audiencji w książęcym pałacu. Potem będziemy mogli zjeść obiad w moim domu. Chciałbym z tobą, pani, dłużej porozmawiać.

Julietta była już teraz pewna, że znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Zacisnęła dłoń na okazałej butelce, gotowa w razie potrzeby użyć jej jako broni.

- Jestem szczerze zaskoczona. Ermano bezradnie rozłożył ręce.

- Z pewnością zdajesz sobie, pani, sprawę z tego, jak bardzo ją podziwiam. - Podszedł bliżej, nie zwracając uwagi na ostrzegawczo uniesioną dłoń Julietty i uśmiechnął się wyrozumiale. - Cóż, przyznaję, że moja propozycja mogła cię, pani, zaskoczyć. Proszę mi łaskawie wybaczyć. Zostawię cię teraz samą. Proszę wszystko przemyśleć i w najbliższych dniach udzielić mi odpowiedzi. Możesz mi, pani, wierzyć, *signora*, darzę cię szczerym uczuciem i pragnę przekonać, że warto dzielić ze mną życie.

- Jeśli chodzi o mój majątek...

Na twarzy Ermana pojawił się grymas, jakby słowa Julietty dotknęły go do żywego.

- W żadnym razie! Przyznaję, że z początku miałem zamiar kupić twoje, pani, ziemie, ale w porę doszedłem do wniosku, że najcenniejszą zdobyczą będzie dla mnie ty, pani. - Ujął jej dłoń i uniósł do warg.

Juliettaomal nie zatrzęsała się z obrzydzenia. Hrabia z wprawą uwodziciela musnął wargami jej dłoń i długo jej nie puszczał. Gdy w końcu ją uwolnił, Julietta bezwiednie skryła rękę w fałdach sukni.

- Bianca! - krzyknęła. - Hrabia Ermano chce już nas opuścić.

Obdarzył ją powłóczystym spojrzeniem i uśmiechnął się. Bianca wybiegła z zaplecza, niosąc pelerynę.

- A zatem do zobaczenia, *signora*. - Już w drzwiach odwrócił się niespodziewanie. - Mam nadzieję, że jesteś, pani, przekonana o mojej szczerości. Będę niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi.

Gdy Bianca zamknęła za nim drzwi, Julietta oparła się o ladę i puściła trzymaną kurczowo butelkę. Miała ochotę uciec stąd jak najdalej, rozpląnąć się w nocnym mroku.

- Czego on chciał, *madonna*? - spytała Bianka. Julietta nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Przyszedł tu, żeby mi oddać pelerynę. - Niespodziewanie obróciła się na pięcie i popędziła na górę. Potrzebowała chwili odosobnienia w swoim pokoju, chciała jak najszybciej zmyć zapach perfum Ermana ze swej dłoni.

- Zagrzej wody, Bianco! - zawołała przez ramię. - Dodaj aromatu cytrynowego i lawendy.

W sypialni zdjęła ubranie i rozpuściła włosy, po czym wzięła kilka głębokich oddechów. Uspokoiwszy się nieco, pomyślała, że propozycja Ermana oznacza dla niej wielkie kłopoty. Hrabia z pewnością nie należy do ludzi, którzy ze spokojem przyjmują odmowy. Pragnąc dodać sobie otuchy, wspomniała słowa babki. Staruszka twierdziła, że nie ma takiej sytuacji, z której nie można znaleźć wyjścia.

Drzwi do sklepu Julietty otworzyły się, a dziedziniec na chwilę rozjaśnił ciepłym światłem świec, padającym z wnętrza. Marc przystanął i schował się w cieniu bramy. Nie miał zamiaru narażać się na domysły klientów perfumerii. Wenecja żyła plotkami i żaden sekret nie utrzymywał się długo w tym niewielkim, otoczonym wodą mieście.

Poprawił maskę, włożył kaptur i zaczął obserwować dom Julietty. Po chwili ze sklepu wyszedł wysoki mężczyzna.

- Będę niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi - powiedział na odchodnym.

Ermano. Marc zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu, patrząc, jak hrabia kłania się i żartobliwie pstryka palcami w jeden z kędziorów okalających twarz służącej. Gdy

ruszył przed siebie z wysoko uniesioną głową, obojętny na zaciekawione spojrzenia gapiów, drzwi zatrzasnęły się i sklep pogрузił się w ciemności.

Co skłoniło Ermana do złożenia Julietcie wizyty o tak późnej porze? Jakiej odpowiedzi od niej oczekiwał? Zapewne przyszedł tu, by powiadomić ją o oskarżeniach i zaoferować swą „pomoc i ochronę”.

Mocno zacisnął szczęki, czując wzbierającą w nim złość. Nie był w stanie znieść myśli o tym, że Ermano dotykał Julietty swymi miękkimi dłońmi.

Miał ochotę pobiec za hrabią, chwycić go w jakimś ciemnym zaułku i przesyć mu gardło sztyletem. W ten sposób zemściłby się na Ermanie, choć inaczej, niż zaplanował, a Julietta nie byłaby już więcej narażona na jego zakusy.

Patrząc, jak do hrabiego dołącza Baltazar i dwaj uzbrojeni *bravos*, doszedł do wniosku, że to morderstwo nie zdałoby się na nic. Marc straciłby życie tuż po hrabim i nikt już nie poznałby prawdy o Grattianie, Julietta zaś byłaby dalej narażona na ataki wrogów.

Ruszył w stronę sklepu. Tłum ludzi w maskach gęstniał z każdą chwilą, rozbłyły pochodnie, wino lało się strumieniami, co chwila ktoś wybuchał głośnym śmiechem. Dom Julietty był ciemny, z wyjątkiem mdłego światła w sypialni.

Jestem strasznym głupcem, stokroć gorszym niż Arlekin grany przez Nicolaia w komedii dell'arte, snujący się za Kolombiną, która wiedzie go w wesoły, bezsensowny tan, pomyślał. Nie potrafił i nie chciał się wyrwać z błędnego koła, w którym się znalazł.

Dostrzegł sylwetkę ukochanej w oknie. Julietta stała z uniesionymi ramionami, czesząc włosy. Marc sięgnął po jajko zapachowe. Przypomnił sobie, jak Julietta śmiała się, krytykując podły gatunek perfum wypełniających jajko, żartobliwie ganiąc go za to, że nie napełnił jajka jaśminowym pachnidłem z jej sklepu. Nie zamierzał jednak wspinać się do jej okna bez zaproszenia ani stukać do drzwi, budząc powszechne zainteresowanie.

Rzucił jajkiem w szybę. Musiał użyć jeszcze pozostałych dwóch, zanim Julietta otworzyła okno, osłoniwszy się brokatowym peniuarem.

- Kto tam? - Zawołała ściszym głosem. - Proszę mi się pokazać!

- To ja, *querida* - odpowiedział cicho, stając w kręgu światła i zdejmując kaptur. - Nie chciałem cię wystraszyć.

- Marc! - Uśmiechnęła się. - Przyszędłeś...

- Czyżbyś w to wątpiła? Widzę, że nie masz do mnie ani krzty zaufania.

Cofnęła się i zamknęła okno. Rozejrzał się po placu, jednak nikt nie patrzył w ich stronę. Muzykanci grali *branle*, dookoła tańczono i wznoszono radosne okrzyki.

Po chwili usłyszał szcęk zasuw. Wśliznął się do środka i natychmiast znalazł się w ramionach Julietty.

- Marc - powiedziała szeptem, odwiązując mu maskę.

- Julietta - wydyszał, wsuwając dłonie pod jej peniuar. - Miałem wrażenie, że od naszego rozstania minęły całe wieki - powiedział, całując ją w szyję, pachnącą pięknie cytryną i lawendą.

Roześmiała się.

- Przecież rozstaliśmy się tego ranka.

- O świcie. To było tak dawno temu.

- Teraz mamy przed sobą całą wieczność, aż do następnego świtu. Jak spędzimy ten czas? - spytała.

Złączył się z nią w namiętym pocałunku.

- Chciałbym ci coś pokazać - powiedział.

Istniało tylko jedno miejsce, w którym był naprawdę sobą.

Jeszcze nigdy nie pokazał go żadnej kobiecie, teraz jednak za wszelką cenę pragnął zaprowadzić tam Juliettę.

- Brzmi bardzo obiecująco. Pokażesz mi to tutaj, czy pójdziemy do mojej sypialni?

Miał ochotę posiąść ją natychmiast, jednak opanował się i delikatnie położył dłonie na jej ramionach.

- To nie to, o czym myślisz - odpowiedział. - Ubierz się, moje Słońce.

Będziemy musieli wyjść z domu.

- Dokąd chcesz mnie zabrać? Może jednak tu zostaniemy? Bianca zaraz wyjdzie...

Pokręcił głową.

- To jest zbyt duże, żebym mógł tu przynieść. Uśmiechnęła się, wyraźnie zaintrygowana.

- Co powinnam włożyć na tę okazję, to znaczy, żeby zobaczyć... to coś?

- Coś ciepłego.

- Dobrze. Zaraz wrócę. - Owinęła się peniurem i ruszyła w stronę schodów. W pewnej chwili odwróciła się. - Czy będę żałować, że poszłam tam z tobą?

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedział szczerze. Zapewne niedługo oboje pożałują tego, że przybył do Wenecji, pomyślał. Miał jednak nadzieję, że nie stanie się to tego dnia.

Trzasnęły drzwi pokoju Julietty; został sam w sklepie, otoczony mgiełką jej zapachu. Podeszedł do wypolerowanej na połysk marmurowej ludy. Na kontuarze stało kilkanaście buteleczek, jednak misternie rżnięte, ozdobione klejnotami kolorowe flakoniki, które jego statek przywiózł do Wenecji, były najwyraźniej schowane gdzieś na zapleczu. Na górnych półkach lśniły słoiki z balsamami i tynkturami, niżej stały palniki olejowe. Wszystko było tu czyste, schludne. Podejrzenia, że w tej perfumerii mogą powstawać śmiertelne trucizny lub że. praktykuje się tu jakieś czary, wydały mu się absurdalne.

Z góry dobiegły go odgłosy jakiejś rozmowy i kobiece śmiechy. Miał ochotę dokładniej rozejrzeć się po sklepie, odkryć tajemnice Julietty...

Nie było jednak na to czasu. W tej właśnie chwili drzwi sypialni otworzyły się i ze schodów zeszła Julietta, ubrana w ciężki, czarny płaszcz.

- *Signor* - powiedziała. - Jestem gotowa wyjść na spotkanie przygody.

Chichocząca prostytutka wiła się w ramionach Baltazara. Znajdowali się pod murem domu Julietty Bassano, ukryci w cieniu.

Zapewne nie taką sytuację miał na myśli ojciec Baltazara, zlecając mu śledzenie tego domu, jednak młodzieniec uznał, że zasłużył sobie na odrobinę przyjemności. Julietta Bassano była dziwną, tajemniczą kobietą, lecz wszystko wskazywało na to, że prowadzi niezmiernie monotonne życie. Od wyjścia ojca dom był pogrążony w ciemności. „*Ach, signor*”. - wydyszała rudowłosa dziewczka, przyzwalając na śmiałe pieszczoty jego dłoni. Górna część jej twarzy była zasłonięta maską, dobrze było

jednak widać jej pełne, ukarminowane wargi i równe, białe zęby. Baltazar pomyślał, że dziewczyna nie jest zwykłą uliczną dziewczyną.

Gdy przycisnął ją do muru, oplótł ją nogami w pasie, wydając zduszone okrzyki rozkoszy. Zapewne została doskonale wyszkolona przez starsze przyjaciółki i umiała udawać podniecenie.

Zyskał pewność, że jednak do czegoś się nadaje, nawet jeśli miałyby to być tylko zaspokojenie prostytutki.

Zaczął rozsznurowywać spodnie, gdy wtem drzwi domu otworzyły się i usłyszał szmer głosów. W okrytej kapturem wysokiej kobiecie rozpoznał Julię Bassano. Nie mógł jej pomylić z turecką służącą. Towarzyszył jej mężczyzna w pelerynie i masce.

- *Merda* - zaklął Baltazar, cofając się gwałtownie. Dziewczyna opuściła nogi i miauknęła jak porzucony kociak.

Musiał przeoczyć nadejście tego mężczyzny. Ojciec kazałby go za to oćwiczyć! Baltazar szybko naciągnął kaptur na głowę i patrzył, jak ci dwoje idą przez plac, trzymając się za ręce. Gdy przystanęli przy fontannie, by napić się wina, mężczyzna odchylił kaptur. Miał na twarzy maskę, lecz Baltazar bez trudu rozpoznał charakterystyczne ciemne włosy i kolczyk z perłą.

Marc Velazquez. A więc wdowa, wybranka ojca, zainteresowała się Il Leone.

Los dał mu cenną wiadomość, którą postanowił wykorzystać dla własnych celów. Być może dzięki temu uda mu się zyskać szacunek ojca i szybciej wejść w posiadanie jego ogromnego majątku.

- *Signor* - jęknęła błagalnie dziewczyna.

- Muszę iść - warknął. Protesty ustały, gdy wręczył jej garść monet. - Być może jutro znów się spotkamy.

Ruszył za Julię Bassano i jej kochankiem. Nareszcie dopisało mu szczęście.

Rozdział piętnasty

Julietta nie wiedziała, czego ma się spodziewać, jednak w najśmielszych przypuszczeniach nie odgadłaby, że Marc przyprowadzi ją na solidną łódź, przeznaczoną do dalekich wypraw.

- Chodź, ukochana - zachęcił. - Nie bój się. Potrafię sterować wszystkim, co pływa.

- Dobrze o tym wiem - odpowiedziała. - W końcu jesteś Il Leone. Chciałabym tylko zapytać, dokąd popłyniemy.

- To ma być niespodzianka.

- No dobrze. Jak już powiedziałam, jestem gotowa na przeżycie przygody.

- Z uśmiechem przyjęła podaną jej dłoń i weszła na lekko kołyszącą się łódź.

Nie dostrzegła na niej aksamitnych poduch ani rzeźbień. Łódź miała prostą konstrukcję, została zbudowana z myślą o tym, by dzielnie stawiać czoło morskim falom. Marc podał Julietcie miękkie poduszki i podbity futrem płaszcz do okrycia nóg. Pomyślał także o koszu z winem i słodyczami. Gdy zajęła miejsce, zdjął pelerynę, rozpiął czarny aksamitny wams, spod którego wyłoniła się biała koszula, i chwycił wiosła.

Zafascynowana, patrzyła na jego skupioną twarz, pięknie rzeźbione mięśnie, rytmicznie napinające się przy wiosłowaniu. W obecności Marca zapomniała o Bożym świecie. O, jak doskonale rozumiała teraz pieśni bardów, słowa poetów opiewających miłość!

Oparła się o poduszki. Marc zręcznie wymijał niezliczone gondole wypełnione wesołymi gromadkami uczestników karnawału; przepływali obok doskonale jej znanych pałaców, kościołów, pomników.

- Dokąd płyniemy? - spytała znowu. Czyżby zamierzał zabrać ją na kolejne tajne zebranie przyjaciół Nicolaia, na którąś z wysp? A może chciał zakotwiczyć w jakimś ustronnym miejscu, by dać upust namiętności?

Spochmurniała, wspomniawszy wizytę Ermana, sposób, w jaki całował jej dłoń, z trudem skrywając pożądanie. Marc w niczym nie przypominał Ermana, mimo to ogarnął ją niepokój.

- Zamierzasz mnie porwać?

Roześmiał się. Wpłynęli do laguny; wiatr był tu silniejszy, chłostał ich twarze i mierzwił włosy.

- Tak - odpowiedział. - Zamierzam zażądać za ciebie okupu w postaci ogromnego pojemnika z najlepszą wodą różaną. I pełnej władzy nad twoim ciałem.

- Zawsze podejrzewałam, że jesteś okrutnym piratem.

- A ty, *madonna*? Kim naprawdę jesteś? Zadrzała i szczelniej otuliła się peleryną.

- Nie mam żadnych tajemnic - skłamała.

- Żadnych? Zawahała się.

- Nie skrywam niczego, co mogłoby cię zainteresować.

Milczał przez dłuższą chwilę. Zostawili gondole i rozbawiony tłum daleko w tyle. Słysząc było tylko pluskanie fal o łódź i skrzypienie wiosł. Widzieli teraz majaczące w ciemności chaty Murano i wysokie mury San Michele, wyspy, na której znajduje się cmentarz, jednak Julietta miała wrażenie, że wraz z Markiem jest teraz w innym, nierzeczywistym świecie.

- Interesuje mnie wszystko, co dotyczy ciebie, Julietto - powiedział cicho.

- Dobrze - odpowiedziała pozornie beztroskim tonem. W takim razie zdradzę ci moją tajemnicę.

- Zamieniam się w słuch, *querida*.

- Ale musisz mi obiecać, że w zamian za to zdradzisz mi swoją.

- Zgadzą się. Umowa stoi.

- Kiedy byłam mała, nie cierpiałam swojej figury. Szybko urosłam, nie wiedziałam, co mam zrobić ze swoimi długimi nogami i rękami, jak mam się poruszać. Wszystkie moje przyjaciółki były takie urocze, niewysokie i krągłe, a ja miałam sterczące zębra. Moja babka próbowała mi pomóc. Zamawiała dla mnie obszerne, fałdziste suknie z poduszkami, zmuszała mnie do picia śmietany, jedzenia

ciastek i cielejących wątróbek, aż robiło mi się niedobrze. Wszystko na nic. Zamiast przytyć, traciłam na wadze. Wyglądałam jak kij od gondoli, a nie jak kobieta.

Marc roześmiał się, a ona mu; zawtórowała. Miała wrażenie, że właśnie w tej chwili nocne niebo roziskrzyło się dla nich tysiącami gwiazd.

- I to jest twój sekret? To, że jesteś wysoka i szczupła? Wybacz mi, moje Słońce, ale zdażyłem już to zauważyć. Trudno jest pozostać obojętnym na takie piękno.

- Piękno? - Julietta spłonęła rumieńcem jak mała dziewczynka i wystawiła rozpaloną twarz na podmuchy wiatru. Wiedziała, że to nieprawda, jednak ten komplement Marca szczerze ją ucieszył. Miło było usłyszeć takie słowa z jego ust.

Na chwilę przestał wiosłować.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem tak pięknej kobiety, Julietto. Pokręciła głową. To on był piękny jak klasyczne rzeźby. Pożądały go niemal wszystkie kobiety w Wenecji, gotowe oddać wiele, byle tylko znaleźć się teraz na miejscu Julietty.

Powrócił do wiosłowania.

- Więc jaka jest twoja prawdziwa tajemnica? Roześmiała się. Nie przypominała sobie, jak zamierzała zakończyć swą opowieść.

- Hmm... W naszej okolicy mieszkał przystojny młodzieniec. Jego rodzina szukała dla niego żony. Mój ojciec wydał bal, byśmy mogli się poznać. Tak bardzo zależało mi na tym, by spodobać się temu młodzianowi, że z pomocą mojej służącej uknułam pewien sprytny plan.

- Zamierzałaś podać mu napój miłosny?

- Nie. To nigdy nie działa. Nasz plan był bardzo prosty. Zmięłyśmy pończochy w kule i służąca pomogła mi je włożyć za stanik sukni. *Et Voila...* nareszcie miałam okazały biust.

- Wykazałaś się niezwykłą pomysłowością.

- Tak mi się wtedy wydawało.

- Czy zrobiło to wrażenie na tym chłopcu? Domyślam się, że tak.

- Z początku rzeczywiście tak było. Poprosił, żebym zatańczyła z nim moreskę. Byłam szczęśliwa, czułam, że przyjaciółki mi zazdroszczą... aż doszło do tragedii.

- Nie powiesz mi chyba, że...

- Niestety. - Julietta wydała ciężkie westchnienie. - Podczas tańca, gdy podniosłam ręce, pończochy wysunęły się z za stanika i spadły na podłogę. Przeżyłam upokorzenie na oczach całego Mediolanu. Miałam wtedy czternaście lat.

Marc odchylił głowę i zaniósł się śmiechem. Julietta przypomniała sobie, jakie katusze przeżywała po tym, co się stało.

- Pobiegłam do mojego pokoju i nawet moja babcia nie zdołała mnie stamtąd wyciągnąć.

- A więc, *querida*, znam już tajemnicę twoich wspaniałych piersi.

- Od tego czasu trochę urosły, chociaż nie aż tak, jak bym sobie tego życzyła. Ale przynajmniej nie muszę już wypychać stanika.

- Zauważyłem to. Zapewniam cię, że widok twoich piersi sprawia mi niewysłowioną rozkosz.

Przysunęła się do niego.

- A teraz, Il Leone, chciałabym poznać twoją tajemnicę.

- Nie przychodzi mi do głowy żadna, która mogłaby się równać z twoją.

- Zawarliśmy układ. Czekam, aż wyznasz mi swój sekret. Tylko nie próbuj mnie naśladować. Wiem, że nie wypychasz swego mieszka.

Przepełnili obok postrzępionych brzegów niezamieszkaną wysepkę, obok której cumował wspaniały hiszpański statek ze zwiniętymi żaglami i masztem sięgającym wysoko w niebo. Na burcie widniał złożony napis „Elena Maria”.

- Nie ma teraz na to czasu, moje Słońce, bo właśnie dopłynęliśmy do celu - powiedział.

- To twój statek? - zapytała. Miała wrażenie, że ma przed sobą statek widmo, który lada chwila rozplynie się jak we mgle.

- To mój dom - poprawił ją, a zaraz potem krzyknął: - Ahoj! Mendoza, ty wstrętny leniu, zbudź się i natychmiast opuść drabinę!

W okamgnieniu na pokładzie pojawili się ludzie, zamigotały światła pochodni.

- Kapitan Velazquez? - zapytał tubalnym głosem jakiś mężczyzna.

- Tak, to ja. Przywiozłem ze sobą gościa, więc powiedz chłopakom, żeby wciągnęli portki i schowali prostytutki.

Usłyszeli rechotliwy śmiech.

- Kapitanie, dobrze, że tu jesteś panie. Zaczynaliśmy się już bać, bo nie dawałeś, panie, znaku życia.

- Byłem zajęty.

- Widzimy, widzimy.

Opuszczono sznurową drabinę, lekko kołyszącą się na wietrze. Juliette ogarnął strach. Nie wyobrażała sobie, jak można bezpiecznie wejść na pokład po czymś takim. Marc wskoczył na pierwszy szczebel i podał jej rękę.

- Nie bój się, Julietto. Jesteś przy mnie bezpieczna. Przecież obiecałem, że zawsze cię złapię, nie pozwolę ci upaść.

- Pamiętam, Il Leone.

- I czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

- Jak dotąd, nie.

Cmoknął ze zniecierpliwieniem.

- Ależ jesteś nieufna, *madonna*. Pozwól, że pomogę ci wejść na pokład. Zdradzę ci za to dwa sekrety.

Roześmiała się.

- Któż mógłby się oprzeć takiej pokusie? Dobrze, mój kapitanie, prowadź mnie na swój pokład.

Mocno trzymając go za rękę, stanęła na drabince.

- Tylko nie patrz w dół - ostrzegł Marc.

Zmusiła się do opanowania i podjęła wspinaczkę. Po niedługim czasie znalazła się na pokładzie, otoczona ludźmi z załogi. Brodaci, uśmiechnięci mężczyźni przyglądali się jej z nieskrywanym zaciekawieniem.

Marc wdał się w żarty i pogawędki ze swymi kompanami, jednocześnie przebiegając pokład badawczym wzrokiem. Przez cały czas jego ręka spoczywała na ramieniu ukochanej. Julietta z zafascynowaniem przyglądała się błyszczącym działom, belom żaglowego płótna i potężnym zwojom lin. Surowość i prostota, z jakimi zetknęła się na statku, szokująco kontrastowały z ostentacyjnym przepychem Wenecji.

W końcu Marc, najwyraźniej zadowolony z oględzin, powiedział:

- Mendoza, zostaniemy tu do świtu, więc jeśli chcesz, możesz zabrać ludzi i popłynąć do miasta. Dobrze się spisaliście i należy się wam trochę uciechy.

Czarnobrody Mendoza, jak przypuszczała Julietta, zastępca Marca, uśmiechnął się, ukazując dwa złote zęby.

- To prawda, *señor le capitán*, bardzo brakowało nam towarzystwa dam i smaku dobrego wina. Ale czego się nie robi dla Velazquezów. Sam pan wie.

Marc z powagą kiwnął głową.

- Wiem i jestem za to głęboko wdzięczny. Wkrótce otrzymacie za to należyłą zapłatę.

Wśród śmiechów i żartów opuszczono łodzie, którymi większość załogi udała się na zabawę. Marc poprowadził Juliettę przez nienagannie wyszorowany pokład. Mimo że statek nie należał do największych, znakomicie wykorzystano tu każdą piędź przestrzeni, wszędzie panował wzorowy porządek. Marc pieszczotliwie przesunął dłonią po relingu, podniósł wzrok na takielunek. Julietta zrozumiała, że ten statek jest jego domem i przeznaczeniem, tak jak dla niej Wenecja.

- Twój statek jest piękny - powiedziała cicho. Uśmiechnął się z nieskrywaną dumą.

- „Elena Maria” to prezent od ojca - powiedział. - Ma trzydzieści dwa działa i długość piętnastu *rumos*. Dzielnie mi służy tak w walce, jak i w czasie pokoju.

- To z tego pokładu walczyłeś z piratami? Kiwnął głową.

- Mieli więcej dział na swojej karace, ale okazali się mniej zwrotni, bo wcześniej splądrowali angielski galeon i wyładowali ją po brzegi. Poza tym wzięliśmy ich z zaskoczenia. Była mgła. Podpłynęliśmy do nich i otworzyliśmy ogień. Spali po nocnej hulance, nieprzygotowani na atak, i minęło sporo czasu, zanim podjęli walkę. - Pokazał jej rozległe, starannie naprawione uszkodzenie biegnące wzdłuż kadłuba od strony rufy. - Mimo wszystko trochę oberwaliśmy.

- Wygląda na to, że rana się wygoiła.

- Tak. Podczas gdy ja bawiłem się w Wenecji, moi ludzie ciężko tu pracowali. Żaden kapitan nie może pochwalić się tak doskonałą załogą jak moja.

Julietta poklepała reling, starając się sobie wyobrazić ogień z dział, kłęby dymu, przeraźliwe krzyki, szczęk broni, głuchy odgłos ciał padających na pokład śliski od krwi.

- Byli ranni?

- Chwała Bogu nie.

- Mogliście stracić życie. - Przeniknął ją dreszcz, gdy oczami wyobraźni ujrzała Marca ze szklanymi, martwymi oczami, z raną na piersi, leżącego wśród szczątków ukochanego statku.

Czy był to tylko lęk o ukochanego, czy też poważne ostrzeżenie? Przeczucie, przeklęty dar po matce?

- To prawda. - Marc otoczył ją ramieniem w pasie i przyciągnął do siebie, by złożyć pocałunek na jej włosach. Zamknęła oczy, starając się odegnać przerażające myśli o niebezpieczeństwie i śmierci. - Jesteśmy handlarzami, ale także korsarzami. Musimy być przygotowani na stawienie czoła niebezpieczeństwu. Na szczęście mój ojciec był doskonałym nauczycielem. Potrafię obronić siebie i moich ludzi. - Pocałował ją w skroń i pociągnął za sobą. - Chodźmy.

Sprowadził ją drewnianymi schodkami w dół, ku ciasnemu przejściu. Zapach drewna, smoły i morskiej wody był tu znacznie silniejszy niż na pokładzie. Marc otworzył drzwi i zaprosił Juliettę do małego pomieszczenia. Puścił na chwilę jej dłoń, by zapalić świece.

Gdy rozbłysło migotliwe światło, rozejrzała się po ciasnej kajucie. Nie tak wyobrażała sobie kabinę na statku. Nie było tam hamaka ani brudnej wody na podłodze. Przy drewnianej ścianie znajdowała się koja z podglówkiem, starannie zasłaną czarną aksamitną narzutą. Na biurku, stojącym pod przeciwległą ścianą, zobaczyła jakieś błyszczące przedmioty z brązu i zwoje map. Nad znajdującą się nieopodal niewielką toaletką wisiało owalne lustro. Obok dostrzegła bulaj.

To niezwykle schludne pomieszczenie nie mówiło jej nic o Marcu.

Oparła się o koję, patrząc, jak Marc zdejmuje maskę i rzuca pelerynę na oparcie krzesła przy biurku.

- Witaj w moim domu - powiedział z uśmiechem.

Dopiero teraz doszła do wniosku, że mimo wszystko dowiedziała się o nim czegoś niezmiernie istotnego. Tu, w swej kajucie, był wyraźnie odprężony, spokojny, nie musiał zachowywać czujności jak w Wenecji. To tu był jego dom, jego schronienie.

Nie pamiętała już, kiedy ostatnio towarzyszyło jej poczucie, że znajduje się w bezpiecznym miejscu, w swoim prawdziwym domu. Musiało to być bardzo dawno, jeszcze przed śmiercią matki. Od tamtej pory unosiła się jak korek na wodzie i starała się odnaleźć namiastkę stałego ładu, poświęcając się pracy.

- Jak widzisz, to nie jest Pałac Dożów - rzekł Marc. - Obawiam się, że zapomniałem o złoceniach i freskach, jednak mam tu wszystko, czego potrzebuję.

- To wspinały statek - powiedziała Julietta. - Jestem tego pewna, chociaż nie znam się na żeglarstwie.

- Jak widzisz, mój *nao* ma dwa pokłady. Jeden z nich ciągnie się od dziobu po rufę. Trzymamy tam ładunek, beczki z wodą, żagle, liny, amunicję. Drugi... - urwał i roześmiał się. - Ech, nie przyprowadziłem cię przecież tutaj, żeby zanudzić cię na śmierć, Julietto! Napijmy się wina.

Sięgnął do szafki pod biurkiem i wyjął z niej butelkę i dwa srebrne kielichy. Kiedy nalewał wino, Julietta podeszła do toaletki.

- Nigdy nie nudzę się w twoim towarzystwie, Marcu - powiedziała, patrząc w lustro. Przez chwilę doświadczyła wrażenia, że ma przed sobą jakąś nieznaną kobietę. Szybko zdjęła maskę i położyła ją na stole.

Podał jej kielich. Z rozkoszą wypila łyk reńskiego wina, przebiegając wzrokiem nieliczne przedmioty znajdujące się na toalecie: drewniany grzebień, zestaw do golenia, ceramiczną miskę i dwa niewielkie portrety kobiece w prostych, drewnianych ramkach.

Kobieta o okrągłej, śniadej twarzy i ciemnych włosach z przedziałkiem pośrodku spoglądała z portretu dużymi, brązowymi oczami. Na głowie miała haftowany czepek i ciemny woal, z szyi zwisał ciężki, wysadzany granatami krzyż na srebrnym łańcuchu. Była ubrana w wysoko zapinaną ozdobioną falbankami suknię i czarny atlasowy płaszcz.

Druga kobieta miała jasne, złociste włosy spięte po bokach ozdobnymi grzebykami i luźno puszczone z tyłu. Uśmiechała się zalotnie, a w jej niebieskich oczach migotały figlarne iskierki. Delikatna, szczupła twarz usiana była nielicznymi piegami w okolicach wąskiego nosa. Była ubrana w atlasową karminową suknię z głębokim dekoltem, uwydatniającym białe piersi. Przytrzymała ręką stanik sukni,

który zapewne ześlizgiwał się z jej ramienia. Na jej palcu błyszczał znajomy złoty pierścionek z rubinem.

- Widzę, że zdążyłaś już poznać moje matki - powiedział cicho Marc, stając za nią.

Julietta podskoczyła, przerażona. Zafascynowana portretami, zapomniała o obecności Marca. Jej ukochany poruszał się bezszelestnie, jak prawdziwy lew.

- Twoje matki? - Powtórzyła jak echo. Delikatnie dotknął ramki pierwszego portretu.

- To jest *señora* Elena Maria Velazquez, matka, która mnie wychowała. Doskonale dobrałaś dla niej perfumy, *querida*. rzeczywiście jest chodzącą słodyczą i dobrem.

- Fiołki i róże - powiedziała w zamyśleniu Julietta. - A kim jest ta druga kobieta?

- Dała mi życie tutaj, w Wenecji. Nazywała się Veronica Rinaldi.

- Rinaldi? - Julietta miała wrażenie, że gdzieś już słyszała to nazwisko. Wenecja była istną wylegarnią plotek, intryg romansów, o których rozprawiano potem przez lata. - Czy to możliwe, że była kurtyzaną? - Nagle przypomniała sobie wszystko i kurczowo zacisnęła palce wokół kielicha. - Została zamordowana przez bandę złodziei podczas karnawału. Tuż po uczcie w pałacu Ermana Grattiano.

- Tak - powiedział Marc. - Została zamordowana przez złodziei.

W jego głosie pobrzmiwały bezsilna wściekłość i ból. Julietta doskonale rozumiała stan jego ducha, jego gniew. Gwałtowna, przedwczesna śmierć matki na zawsze pozostawia blizny na duszy, sprawia, że wali się cały świat dziecka.

Dotknęła dłoni Marca, pragnąc go pocieszyć, on jednak cofnął się i zapatrzył w bulaj.

Julietta dopiła wino, patrząc na niebieskie oczy Veroniki Rinaldi. Nie była jednak w stanie niczego wyczytać z jej roześmianego spojrzenia.

- Musiała być bardzo młoda - powiedziała.

- Miałem wtedy sześć lat. - Marc głośno przełknął łyk wina.

- Czy Ermano był jej kochankiem?

- Oczywiście, choć tylko jednym z wielu. Moja matka była bardzo piękna, kulturalna, inteligentna i wesoła. Miała wielkie powodzenie. Ermano postanowił ją zdobyć za wszelką cenę.

Julietta nie przeżyła zaskoczenia. Ermano zawsze sięgał po to, na co tylko miał ochotę, nie licząc się z innymi.

- Co się z tobą stało po jej śmierci? Jak doszło do tego, że znalazłeś się w Hiszpanii?

- Widziałem, jak ją mordowali, ale mnie nie zauważyli. Schowałem się za parawan, a kiedy wybiegli, zabierając ze sobą klejnoty, uciekłem. Biegłem przez miasto w środku nocy, aż w końcu ukryłem się na łodzi w pobliżu Arsenалу.

Kiedy następnego dnia łódź wpłynęła do laguny, schowałem się na statku płynącym do Barcelony. To był statek Juana Velazqueza. Zrobiło mu się mnie żal i zabrał mnie do swego domu. Velazquezowie nie mieli dzieci i wychowali mnie jak własnego syna. Mimo to nigdy nie zapomniałem Veroniki...

Niespodziewanie walnął pięścią w ścianę, aż zatrzeszczały deski.

- Byłem tchórzem! Nie powinienem był tak tego zostawiać! Trzeba było wytropić jej mordercę.

- Nie! - zawołała Julietta, chwytając go za ramię. - Przecież byłeś wtedy dzieckiem. Co mogłeś zrobić?

Popatrzył na nią nieobecny wzrokiem, zatopiony we własnych myślach.

- Powinienem był ją pomścić. Potrząsnęła głową.

- Z pewnością by cię zabili i poświęcenie twojej matki na nic by się zdało. Postąpiłeś słusznie, uciekając. Dzięki temu stałeś się tym, kim jesteś.

- Czyli tchórzem?

- Nie. Człowiek, który potrafi pokonać piratów, dowodzi wspaniałym statkiem i cieszy się takim oddaniem swoich ludzi jak ty, musi być niezwykle silny i odważny. - Uśmiechnęła się. - Poza tym dowiodłeś swej odwagi, zadając się ze mną.

Odpowiedział jej bladym uśmiechem.

- Zasługiwała na to, żebym pomścił jej śmierć, Julietto, a tymczasem zostawiłem ją leżącą w kałuży krwi w sali pałacu Grattiana.

- Julietta zastanawiała się, gdzie był wtedy Ermano i dlaczego nie pomścił swej kochanki. Dlaczego Marc nigdy przedtem nie przyznał się, że zna Ermana? Nie zamierzała się teraz nad tym zastanawiać, za wszelką cenę pragnęła uwolnić Marca od poczucia winy.

- Twoja matka dobrze wie, czego dokonałeś, i jest z ciebie dumna - powiedziała. - Patrzy teraz na ciebie z góry i widzi, że jej miasto fetuje cię jako wielkiego bohatera. A jeśli chodzi o morderców, to z pewnością już dawno temu dosięgła ich sprawiedliwość. Tacy jak oni nie żyją długo i nie umierają w swoim łóżku.

Gwałtownie chwycił ją w ramiona, przyciągnął do siebie i złączył się z nią w długim pocałunku.

Nie można zmienić ani naprawić przeszłości, tak jak nie da się jej wymazać z pamięci, myślała Julietta. Upiory przeszłości dręczyły i ją, i Marca. Na szczęście w jego ramionach była w stanie na chwilę o tym zapomnieć.

Cofnęła się nieznacznie i zdjęła pelerynę, po czym zaczęła rozsznurowywać wełnianą suknię.

- Pozwól, że ci pomogę, kochanie - wyszeptał Marc. Ręce mu drżały, oddech stał się urywany, krótki. Gdy suknia spłynęła jej do stóp, odkopnęła ją, szybko zdarła z siebie koszulkę, po czym zarzuciła Marcowi ręce na szyję i wskoczyła na niego, oplatając go nogami w pasie. Marc roześmiał się, wtulając twarz w jej włosy.

- Myślę, że masz na sobie zbyt wiele ubrań, *signor capitano* - powiedziała szeptem, odchylając głowę, by mógł całować jej szyję, piersi, ramiona.

- To samo mogę powiedzieć o tobie.

- Przecież jestem naga. Uśmiechnął się.

- Obcasy twoich pantofelków boleśnie wpijają mi się w skórę, *querida*.

Wybuchnęła gardłowym śmiechem.

- W takim razie szybko zanieś mnie na łóżko, *signor*.

Natychmiast spełnił jej prośbę, odchylił narzutę i delikatnie położył Juliettę na pościeli. Potem szybko się rozebrał, rzucił ubranie na podłogę i przysiadł na koi.

Podparłszy się łokciem patrzyła, jak Marc zzuwa modne satynowe buty na wysokich obcasach, ozdobione srebrnymi klamrami.

Odrzucił je w róg kajuty. Opadły na podłogę z głuchym stukotem.

- Podobno niektórzy mężczyźni w Wenecji gotowi są słono płacić za to, żeby kobieta dała im kopniaka nogą obutą w pantofelek na wysokim obcasie - powiedziała Julietta. - Mówiła mi o tym pewna kurtyzana, moja stała klientka. Zawsze opowiada mi różne ciekawe historie...

- Niestety, nie podzielałam ich upodobań. Zadowalałam się prostymi przyjemnościami. - Ujął jej stopę, uniósł do warg i zaczął obwodzić językiem miejsce wokół kostki.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Na przykład takie jak pieszczenie kobiecej skóry - dodał. Przesunął wargami wzdłuż jej łydki i pocałował w czułe miejsce pod kolanem. - Twoja skóra pachnie jaśminem.

- A ty pachniesz morzem - powiedziała drżącym głosem, gdy powędrował wyżej. Zarzuciła mu nogi na ramiona, pozwalając całować wewnętrzną stronę ud. - I wolnością.

- Mogę dać ci wolność, Julietto - zapewnił, przykładając policzek do kępki włosów okrywających jej kobiecość. - Chciałbym dać ci wszystko, czego pragniesz.

- Pragnę tylko ciebie! - wykrzyknęła.

- Już mnie masz. Zawsze będę twój.

Wsunął język w jej wilgotne wnętrze. Julietta wygięła ciało w łuk.

- Marc, Marc, Marc - szeptała w uniesieniu.

- Jestem przy tobie - powiedział, wsparłszy się na łokciach, by całować jej ramiona, szyję, nabrzmiałe piersi wznoszące się prężnie ku górze.

Kocham cię! - miała ochotę wykrzyknąć. Kocham cię, Marc! Bała się jednak wypowiedzieć te słowa. Nie należało nimi szafować, tym bardziej że miłość to niebezpieczne uczucie.

- Jakaś ty piękna - wyszeptał Marc. - Moja Julietta...

- Pragnę cię, Marc - jęknęła. - Weź mnie.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - mruknął.

Uniosła biodra, by pełniej się z nim zespolić. Na przemian to pogrążał się w niej głęboko, to wynurzał, zmieniając tempo, nie pozwalając jej przyzwyczać się do

żadnego rytmu. Gdy jego podniecenie przybrało na sile, oblała ją gorąca fala ekstazy. Dygotała z rozkoszy, krew tętniła jej pod skórą.

- Julietta! - krzyknął Marc, osiagając spełnienie. - Julietta - wyszeptał po chwili, opadając obok niej na koję. Nadal pozostawali w ciasnym uścisku. Och, jak bardzo teraz pragnęła, by los połączył ich na zawsze.

Skrzypienie drewna i lin wyrwało Juliettę ze stanu odrętwienia. Otworzyła oczy. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Migotliwe płomyki dogasających świec tworzyły przedziwną grę światłocieni na ścianach. Na podłodze leżały porzucane ubrania i puste kielichy.

No tak. Była na statku Marca, leżała w jego ramionach.

W powietrzu unosił się pizmowy zapach ich miłości. Miała ochotę schwytać go i zamknąć w buteleczce, by móc rozkoszować się nim już zawsze.

Wciąż czuła cudowne mrowienie, słodką bezwolność po spełnieniu. Była już jednak pewna, że z Markiem łączy ją nie tylko miłosna pasja. Ich porozumienie miało inną, głębszą naturę. Znalazła w nim bratnią duszę, pełne wyzwolenie od udręek codziennego życia.

Delikatnie pogładziła go po ręce. Jego dłonie z długimi, smukłymi palcami potrafiły z równą zręcznością sterować statkiem, władać bronią co dawać rozkosz kobiecie.

Wciąż towarzyszyło jej poczucie, że niewiele o nim wie. Nie miała pojęcia, dlaczego przybył do Wenecji. Być może zdecydował się odszukać po latach morderców matki? Dlaczego zadawał się z ludźmi pokroju Ermana Grattiano albo z nią? Po raz pierwszy pomyślała, że ona i Marc są do siebie podobni, że oboje, zagubieni, szukają swego miejsca w świecie, pragnąc doświadczyć poczucia bezpieczeństwa.

To odkrycie wprawiło ją w stan oszołomienia. Zrobiło jej się duszno. Ostrożnie, tak by nie obudzić Marca, zsunęła się z koi i włożyła koszulkę.

Musiała zaczerpnąć świeżego powietrza, by ochłonąć i wszystko przemyśleć. Uświadomienie sobie tego, że łączy ją z Markiem tak wiele, że go potrzebuje, podziało na nią jak cios obuchem po rozkosznym, miłosnym odrętwieniu.

Weszła na stołek, by otworzyć iluminator. Do kajuty wdarło się rześkie powietrze o słonawym zapachu morskiej bryzy. Usłyszała jakieś głosy, świadczące o tym, że część załogi pozostała na statku.

Zapatrzyła się na czarne wody Adriatyku, skrzące się odbitym światłem gwiazd. Doskonale rozumiała teraz, dlaczego Marc tak kocha morze.

Nie przypuszczała, że aż tak bardzo będzie pragnąć tego tajemniczego mężczyzny zaślubionego morzu. Silne miłosne doznania nieodłącznie wiązały się ze smutkiem i bólem. Jakże trudno jest jednak uciszyć głos serca, rzucić wyzwanie przeznaczeniu.

Głęboko wciągnęła w nozdrza chłodne, morskie powietrze. Nie wiedziała, co przyniesie los, musiała cierpliwie czekać na rozwój wydarzeń. Czasami żałowała, że nie odziedziczyła w pełni matczynego daru jasnowidzenia.

Usłyszała za sobą jakiś szelest. Marc się obudził.

Podszedł do niej, objął ją od tyłu w pasie i pocałował w skroń.

- Dawno się obudziłaś?

- Nie - odpowiedziała. - Chciałam zobaczyć morze, linię horyzontu. Tu jest tak pięknie...

Wsparł podbródek o jej ramię.

- Ten widok jest prawie tak piękny jak ty. Pokręciła głową, czując, że zbiera się jej na płacz.

- Nie żartuj sobie ze mnie, Marc.

- Nie żartuję. Naprawdę jesteś piękna, Julietto. Najpiękniejsza.

- To dlatego mnie tu dziś przyprowadziłeś?

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Powiedziałeś, że nie przyprowadziłeś mnie tu po to, by zanudzić mnie na śmierć. Więc może po to, żeby obsypywać mnie pochlebstwami?

Roześmiali się, a potem przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. W końcu Marc szerzej otworzył bulaj i wskazał roztaczający się przed nimi widok.

- Przyprowadziłem cię tutaj, żebyś to zobaczyła.

- Morze?

- Tak. Wiesz, co to jest morze, Julietto?

- Fale, ryby... wodorosty. Roześmiał się.

- Tak, to prawda. Ale dla mnie morze to przede wszystkim wolność.

Popatrzyła na niego, zaintrygowana. Odkrył przed nią kolejne łączące ich podobieństwo. Od dawna marzyła o tym, by w pełni doświadczyć cudownego uczucia wolności.

Przyglądał się jej uważnie.

- Na tym statku wszyscy jesteśmy wolni. Możemy płynąć tam, gdzie tylko nam się zamarzy, świat stoi przed nami otworem. Nasze nazwiska, nasza przeszłość, nie mają żadnego znaczenia.

Julietta odniosła wrażenie, że Marc czyta w jej myślach. Tak właśnie postrzegała życie żeglarzy. Ona także pragnęła wolności, marzyła o tym, by zwiedzić świat. Złączyła się z Markiem w czułym uścisku, wystawiając twarz na podmuchy wiatru.

- Mogę ci to dać, Julietto - powiedział szeptem. - Nie mogę zaoferować ci pałaców ani tytułu, ale z pewnością jestem w stanie dać ci wolność. Jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie albo będziesz mnie potrzebować z jakiegokolwiek innego powodu, daj mi znać, wyślij mi ten pierścionek, a zawsze stawię się u twego boku. - Zdjął z palca złoty pierścionek z rubinem, ten sam, który został uwieczniony na portrecie matki i wsunął go w dłoń Julietty. - Jest twój.

- Marc... - powiedziała, oszołomiona.

Włożył pierścionek na jej palec. Pasował jak zrobiony na miarę. Złota obrączka wciąż była ciepła, ogrzana jego ciałem.

- Nic nie mów - wyszeptał. - Robi się późno. Musimy wracać do miasta.

W miarę zbliżania się do świateł Wenecji Marc coraz dotkliwiej odczuwał dobrze sobie znany ból mięśni znużonych wiosłowaniem. Konieczność zmagania się z tą słabością sprawiała, że miał mało czasu na rozpamiętywanie wydarzeń minionej nocy.

Julietta siedziała naprzeciw niego, szczelnie otulona peleryną. Znow miała na twarzy maskę. Podjął decyzję o tym, by zabrać ją na swój statek pod wpływem chwili, w momencie, gdy zobaczył opuszczającego jej sklep Ermana. Pragnął wziąć ją w miejsce, w którym mogli być sobą, pozwolić sobie na szczerość.

Nie wyznał Julietcie wszystkiego. Nie powiedział jej o tym, czego dowiedział się w Pałacu Dożów o grożącym jej niebezpieczeństwie. Julietta była rozsądna, jednak trudno było przewidzieć, jak się zachowa, uzmysłowiwszy sobie, że ma potężnych wrogów. Odkrywszy, jaką pułapkę zastawił na nią Ermano, gotowa była zrobić coś szalonego.

Mogłaby nawet udaremnić plany Marca, zmusić go do pochopnych działań. Wolał nie ryzykować.

Bardzo poważnie traktował swą obietnicę o zapewnieniu jej bezpieczeństwa. Zamierzał stać u jej boku w każdej potrzebie. Przybył do Wenecji, gotowy do zemsty na wrogach. Opracowywał swój plan przez wiele lat, a teraz miał wszystko na wyciągnięcie ręki. Już czuł słodki smak zwycięstwa. Jednak wszystko zmieniło się w chwili, gdy przestąpił próg sklepu Julietty.

Upojne noce, szalona namiętność... przeżywali cudowne chwile, lecz nie było to wszystko, o czym marzył. Pragnął nie tylko ciała Julietty, lecz także jej duszy i serca. Tymczasem nawet w chwilach słodkiej miłosnej kapitulacji nie zdradzała mu całej prawdy o sobie. Starał się ją zrozumieć, usprawiedliwić. Sam nie był jeszcze gotowy na wyznanie swych sekretów.

Spotkanie z Juliettą w Wenecji było dlań niespodziewanym darem niebios. Nie zmierzał go tracić. Im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym bardziej rósł jego apetyt. Nie miał jednak pomysłu, jak mógłby jeszcze bardziej się do niej zbliżyć.

Potrząsnął głową, starając się skupić na wiosłowaniu. Jego towarzyszka poruszyła się; owionął go jaśminowy zapach jej perfum, działający jak silny afrodyzjak.

Musiał chyba być szalony! Lubił wiersze hiszpańskiego poety Juana Boscana, jego wykwintny styl, przemyślenia na temat religii, sił natury, miłości i obowiązku. Zdał sobie wreszcie sprawę, że chyba nie rozumiał spotykanej w nich przerośni. Boscan porównywał miłość do gwałtownej choroby, do szaleństwa, które uleczyć mogła jedynie śmierć. Teraz Marc był pewien, że poeta wyraził w tych słowach głęboką życiową prawdę. Trudno było czymkolwiek wytłumaczyć miłość do Julietty, to uczucie po prostu istniało. Nie miał pojęcia, jak to wszystko się skończy. Czy

nadejście dzień, w którym wyznają sobie swe tajemnice, czy też zabiorą je ze sobą do grobu?

- Dziękuję ci, że pokazałeś mi swój statek - powiedziała cicho. - I za pierścionek.

- Pamiętaj, że moje słowa płynęły z głębi serca, Julietto - odpowiedział. - Jeśli kiedykolwiek będę ci potrzebny, wystarczy, że dasz mi znak.

Kiwnęła głową i w milczeniu popatrzyła na swe dłonie. Na palcu błyszczał złoty pierścionek matki Marca. Miał wrażenie, że pamiątka po matce znalazła się po latach na swoim miejscu.

- Mam nadzieję, że któregoś dnia będę ci mogła dać równie piękny prezent - powiedziała po dłuższej chwili.

Pokręcił głową.

- Nie jesteś mi nic winna. Najlepszym, najpiękniejszym darem jesteś ty.

Wypłynęli z laguny. Od pewnego czasu coraz częściej mijali najrozmaitsze łodzie, gondole czy barki z całymi grupami podochoconych uczestników karnawału. Dookoła rozbrzmiewała muzyka. „Elena Maria”, poczucie wolności na otwartym morzu, zostały daleko w tyle.

Wkrótce wpłynęli do przystani w pobliżu domu Julietty. Marc odłożył wiosła i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Kiedy znów się zobaczymy? - zapytał, wyciągając ku niej dłoń. Natychmiast przytuliła się do niego, delikatnie go pocałowała i pogładziła po twarzy.

- Nie dzisiaj - powiedziała cicho. - Mam mnóstwo pracy. Przyjdź do mnie jutro po zapadnięciu zmroku.

Kiwnął głową. Nie czekając na jego pomoc, Julietta wyszła na nabrzeże i zniknęła wśród pijanego tłumu, zostawiając za sobą jedynie zapach perfum.

Marc z całej siły uderzył pięścią w burtę łodzi, nie zauważając nawet, że drzazga wbiła mu się głęboko w skórę.

Do jutrzejszego wieczoru powinien znaleźć sposób wyjścia z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Musieli koniecznie wydostać się z kręgu intryg i kłamstw.

Rozdział szesnasty

Julietta nie była zadowolona z efektów swej pracy. Nowe perfumy, które przygotowała, nie spełniały jej oczekiwań.

Wymieszała kleistą substancję, z wielką pieczołowitością przygotowywaną od wielu tygodni, lecz nie na wiele się to zdało. Płyn wciąż był ciemnozielony, choć powinien był już przybrać jaśniejszą barwę, a część cięższych składników nie chciała oderwać się od dna naczynia.

Z ciężkim westchnieniem sięgnęła po pergamin pokryty niewyraźnym pismem matki. Zastosowała się do przepisu w najdrobniejszych szczegółach. Nowe perfumy miały stanowić zwieńczenie jej dotychczasowej pracy, stać się jej najwspanialszym dziełem. Gdzie popełniła błąd?

Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie. Być może wszystkiemu winien był jej brak skupienia. Nie była w stanie spokojnie myśleć od chwili, w której Marc Velazquez po raz pierwszy wszedł do jej sklepu. Stan radosnego uniesienia nie sprzyjał pracy.

Nakryła naczynie z płynem i odstawiała je na półkę. Postanowiła poczekać jeszcze parę dni, aż składniki się przemacerują, dodać więcej ruty. Miała nadzieję, że w końcu osiągnie pożądaną efekt.

Siedziała jak odcięta od świata w swej tajnej pracowni. Była niedziela i Wenecjanie wypoczywali po nocnych szaleństwach. Tylko bicie kościelnych dzwonów przerywało panującą wokół ciszę.

W głowie dzwoniły jej słowa Marca. „Kiedy znów się spotkamy?”

Odłożyła spotkanie do jutra w nadziei, że uda jej się poważnie zastanowić nad kilkoma nurtującymi ją pytaniami. Nie była w stanie spokojnie myśleć przy Marcu. Okazało się jednak, że jej rozsądne postanowienie zdało się na nic. Nie była w stanie zapomnieć o Marcu nawet na chwilę.

Miniona noc wiele zmieniła w ich znajomości. Zabierając ją na swój statek, Marc dał jej przystęp do swego świata, odsłonił przed nią część swych tajemnic, i przez to stał się jej jeszcze bliższy.

Był człowiekiem czynu, morze było dlań prawdziwą miłością, choć także i wrogiem. Cieszyło ją to, że zapragnął dzielić z nią niepowtarzalne uczucie wolności, jakie daje przebywanie na morzu.

Pragnęła ofiarować mu za to coś w zamian. Nie wiedziała jednak, co mogłoby się równać z jego darami. W jego ramionach odnajdywała dawno zapomniane rozkosze. Nie sądziła, że dane jej będzie jeszcze doświadczyć słodczych pocałunków, poczucia bezpieczeństwa w silnych męskich ramionach. Poza tym Marc miał już przecież bogactwo, sławę, szacunek.

Uniosła wzrok na cenne księgi, stojące na półce. Przywiozła je tu z Mediolanu. Otrzymane w spadku po matce i babce, zawierały odwieczne mądrości przekazywane z pokolenia na pokolenie. Teraz jej przypadła rola strażniczki rodzinnych dóbr.

Sięgnęła po cienki wolumin w zielonej skórce. Został oprawiony niedawno, lecz treść, spisana spłowiałym już teraz czarnym atramentem na pergaminie, pochodziła z dawnych wieków. Książka była jednym z ostatnich prezentów, jakie Julietta otrzymała od swej francuskiej babki tuż przed jej śmiercią.

- Zawarte tu przepisy są bardzo, bardzo stare, *petite* - wyszeptała ledwie dosłyszalnie babka. - I bardzo, bardzo niebezpieczne. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała z nich skorzystać, ale życie potrafi nas nieprzyjemnie zaskakiwać. Przyjmij tę książkę i dobrze jej strzeż.

Na szczęście Julietta nigdy nie musiała sięgnąć do daru babki, by skorzystać z przepisów. Nie była przecież wojownikiem, poradnik zaś zawierał tajemnice Grecji, Rzymu, Egiptu i Mezopotamii, opisywał podstępne, niezwykle skuteczne metody pozbywania się wrogów w Troi i pod Termopilami, podczas gdy śmiertelną trucizną najczęściej stosowaną w Wenecji była zawiść i plotka. Mimo to pieczołowicie przechowywała książkę, gdyż, jak mówiła babka, w życiu nigdy nic nie wiadomo.

Przypomniała sobie potężne uszkodzenie kadłuba „Eleny Marii”. Marc miał dużo szczęścia w ostatniej potyczce z piratami. Tego dnia najwyraźniej sprzyjały mu niebiosa, lecz następnym razem fortuna może nie okazać się tak łaskawa.

Zaczęła kartkować stronicę. Jej uwagę na chwilę przyciągnęły rysunki machin obłężniczych, bombard, rady, jak sporządzać trujące strzały. W końcu znalazła to, czego szukała. Tak, to powinno pomóc Marcowi w następnych bitwach.

Nie zamierzała sporządzać mieszaniny w swej pracowni.

Jej sklep znajdował się w zbyt ruchliwej części miasta. Gdyby coś się miało nie powieść...

Zadrzała na tę myśl, lecz zaraz pocieszyła się myślą, że nic złego nie może się wydarzyć. Potrafiła przecież zachować czujność i ostrożność. Postanowiła zabrać książkę do swej posiadłości na kontynencie, którą tak upodobał sobie Ermano Grattiano. Willa stała pusta, odkąd dozorca i jego żona postanowili zamieszkać w swej chacie na terenie majątku. Powinna znaleźć tam spokój, tak potrzebny do odpowiedniego przygotowania prezentu dla Marca.

Zajrzała jeszcze do dwóch innych książek, po czym przeszukała rozmaite szkatułki, naczynia i pudełka, wyjmując z nich niezbędne składniki. Starannie zawinęła je w płótno. Wolała nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby ktoś niepowołany znalazł ten pakunek.

Przewidując, że wróci do Wenecji nazajutrz wieczorem, by spotkać się z Markiem, postanowiła na jeden dzień powierzyć pieczę nad sklepem Biance.

Rozdział siedemnasty

- *Signor Velazquez!* - Marc usłyszał głośne, niecierpliwe pukanie do drzwi. - *Signor Velazquez, proszę natychmiast otworzyć!*

Marc usiadł na łóżku i odgarnął włosy, opadające mu na oczy. Zapadł w sen dopiero o wschodzie słońca. Wcześniej nie mógł zasnąć, myśląc o Julietcie. Co też mogło oznaczać to walenie do drzwi?

Zerknąwszy na okno, zobaczył, że słońce stoi już wysoko na niebie. Musiała już minąć dwunasta, jednak z ulicy nie dochodził go codzienny gwar rozmów, wykrzykiwanych powitań, nawoływali domokrażców. Wokół panowała cisza, przerywana donośnym łomotaniem w drzwi.

Przypomniał sobie, że jego pokój został ostatnio potajemnie przeszukany, z pewnością otwarto wtedy jego flakonik z pachnidłem. Wciąż miał żywo w pamięci Pałac Dozów, czujne spojrzenia, ostrożne pytania.

- Julietta - wyszeptał bezgłośnie. Przeszył go zimny dreszcz na myśl o tym, że jego ukochanej stało się coś złego. Szybko narzucił na siebie brokatową szatę i rzucił się ku drzwiom.

Nie miał pojęcia, co go czeka. Może zostanie mu pokazany nakaz aresztowania? Ujrzy głowę Julietty zatknietą na pal? Może opadnie go banda rzeźmieszków? Zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu, schowanego w fałdach rękawa.

Odryglowawszy zasuwę, ujrzał niskiego mężczyznę w aksamitnej purpurowej pelerynie i czepku tej samej barwy, ozdobionego złotą broszą, spod którego zwisały rzadkie, jasne kosmyki włosów. Potężne walenie do drzwi pozostawało w humorystycznej sprzeczności z gabarytami przybysza. Z tyłu stali dwaj wysocy strażnicy w biało-złoty barwach doży.

- O co chodzi? - warknął Marc.

Mężczyzna cofnął się o krok, jakby lekko zmieszany.

- *Signor Velazquez?* - zapytał, przybierając oficjalny ton.

- To ja.

- Wzywam pana do stawiennictwa w Pałacu Dożów na audiencję u Jego Ekscelencji. To sprawa najwyższej wagi.

Strażnicy stali nieruchomo z kamiennymi twarzami. Za nimi, na schodach prowadzących do mieszkania, Marc dostrzegł swą gospodynię w fartuchu i chustce na głowie. Zapewne wkrótce będzie musiał poszukać sobie nowej kwatery, o ile jego darmowym domem nie stanie się więzienie.

Zastanawiał się, o co mógł zostać oskarżony. Czyżby miłość do Julietty zaślepiła go do tego stopnia, że stracił poczucie rzeczywistości i zapomniał, w jakim celu przybył do Wenecji? A może zawiódł ją haniebnie, nie przewidziawszy tego, co mogło się wydarzyć?

- Kiedy mam się stawić w pałacu? - zapytał posłańca.

- Jak tylko się pan ubierze - odpowiedział niski człowieczek. - Jego Ekscelencja podkreśla, że sprawa jest pilna.

Marc ponownie popatrzył na strażników, trzymających ostre piki w okrytych rękawicami dłoniach.

- Będziemy eskortować pana do pałacu - obwieścił pojednawczo posłaniec.

Marc skinął głową, cofnął się w głąb mieszkania i zamknął za sobą drzwi tuż przed nosem wysłannika doży. Zdjął szatę i nalał zimnej wody do miski. Wspomniawszy minioną noc, poczuł bezpieczeństwo, jakiego doświadczył na statku, zew morza. Oczami wyobraźni ujrzał Juliette, nagą, w jego ramionach. Wciąż miał żywo w pamięci otaczający ją zapach jaśminu, jej dotyk, upojne chwile miłości.

Powinienem być ją tam zatrzymać, pomyślał, spryskując twarz zimną wodą. Mogli przecież odpłynąć o poranku, nie zważając na konsekwencje. Teraz jednak było już na to za późno.

Wezwanie do Pałacu Dożów w środku dnia nie wróżyło nic dobrego. Postanowił, że uczyni wszystko, by obronić Juliette.

Tym razem Marc nie został wprowadzony do komnaty audiencyjnej z marmurowymi posadzkami i okazałymi arrasami, tłumiącymi wszelkie dźwięki. W przedpokoju, w którym w czasie swej poprzedniej bytności w pałacu spotkał rozsierdzoną, ubraną na czarno *signorę* Landucci, minął nielicznych tego dnia suplikantów. Służący bezszelestnie przemierzali korytarze, zajęci wykonywaniem otrzymanych poleceń.

Ten dziwny spokój zaskoczył Marca. Poprawił połę swej krótkiej aksamitnej peleryny, dotykając przy tym rękójści sztyletu ukrytego w rękawie.

- Proszę tędy, *signor* - rzekł posłaniec, kierując się ku białym marmurowym schodom. Dwaj strażnicy zatrzymali się na dole i zastygli w bezruchu ze swymi pikami.

W korytarzu na piętrze nie było żywej duszy. Liczne świece w kandelabrach z brązu rzucały migotliwe światło na ozdobione freskami ściany. Ciszę przerywało jedynie stukanie butów o marmurową posadzkę.

Posłaniec otworzył drzwi na końcu korytarza i cofnął się.

- Proszę wejść, *signor* - powiedział.

Marc kiwnął głową. Towarzyszyło mu dziwne wrażenie, że to wszystko jest tylko senną marą. Dawniej, gdy rozmyślał na swej koi o tym, że porywa się na niebezpieczne zadanie, był gotów przyłacić swą misję w Wenecji życiem.

Teraz, mając żywo w pamięci obraz Julietty, jej czarujący uśmiech, czuł, że nie jest już sam na tym świecie. Miał dla kogo żyć. Nie mógł zginąć, musiał jej bronić.

Drzwi zamknęły się za nim; jego wzrok pomału przyzwyczajał się do ciemności. Jedyne okno w mrocznej sali było zasłonięte ciężką brokatową kotarą, w kominku dogasał ogień, wypełniając powietrze zapachem tłących się drew.

Zamrugął powiekami. Co spodziewał się tu zobaczyć? Narzędzia do miażdżenia kości? Koło tortur, czekające na kolejną ofiarę?

Gdy był już w stanie rozróżnić kształty przedmiotów, znajdujących się w pokoju, zobaczył krzesła, długi stół, wyściełane fotele. U szczytu stołu siedział jakiś mężczyzna. Marc czekał w milczeniu, gotów w każdej chwili wyciągnąć sztylet. Mężczyzna wstał i podszedł do kominka.

W świetle ognia Marc ujrzał twarz Ermana Grattiano.

Spokojnie popatrzył na hrabiego. Nie nadeszła jeszcze odpowiednia pora na danie upustu swej od tylu lat tłumionej nienawiści. Będzie na to czas później. Teraz musiał wykazać się opanowaniem, zachować rozsądek.

Ermano, zazwyczaj obnoszący się ze swym bogactwem, odziany często w zdobione klejnotami atlasowe okrycia o wyszukanym kroju, tego dnia miał na sobie tylko skromną czarną szatę.

- Widzę, że nie spodziewał się pan mnie tu ujrzyć, *signor* Velazquez - powiedział.

- Oznajmiono mi, że wzywa mnie doża.

- Występuję dziś w roli wysłannika doży. - Ermano uniósł Wąski zwój pergaminu, opatrzony ciężkimi pieczęciami na kolorowych wstążkach. - Mam jego pełnomocnictwo.

- Czego ono dotyczy?

- Republika pragnie powierzyć panu pewną misję, Il Leone. To niezwykle ważne, poufne zlecenie. Jeśli pan je wypełni, zyska pan naszą wdzięczność, nie wspominając o godziwym wynagrodzeniu.

Marc oparł się o drzwi, nie spuszczać wzroku z Ermana.

- A jeśli mi się nie powiedzie?

Ermano zbył jego wątpliwości machnięciem ręki.

- Pan nigdy nie zawodzi.

- To prawda.

- Cieszy mnie to. Proszę, niech pan usiądzie. Czeka nas długa rozmowa. -
Ermano wskazał fotel przy kominku. - Może napije się pan wina?

- Nie, *grazie*. - Marc powoli podszedł do fotela. Nigdy nie ufał pozornie
beztroskiej bezpośredniości Ermana; jego dzisiejsza pewność siebie budziła tym
większą podejrzliwość.

Ermano uśmiechnął się nieznacznie i nalał sobie wina.

- Rozumiem. Jest pan hardym wojownikiem, nawykłym do ostrożności. Nie
zamierza się pan naginać do dworskiego protokołu. Mimo wszystko radzę panu
skosztować wina. Jest doprawdy wyborne. I smakuje przednio.

Usiadł w fotelu, niedbale trzymając w palcach kielich. Przez dłuższą chwilę w
milczeniu mierzyli się wzrokiem.

- Bez wątpienia chciałby pan jak najszybciej usłyszeć, na czym ma polegać
pańskie zadanie - powiedział w końcu Ermano.

Marc uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie przeczę, że chciałbym powrócić do swego łóżka, z którego zostałem tak
brutalnie wyrwany.

W oczach Ermana pojawił się stalowy błysk.

- To zrozumiałe. Jednak chodzi o sprawę najwyższej wagi.

- Dla kogo?

- Dla całego miasta. - Ermano opadł na oparcie fotela i odstawił kielich, by
ponownie ująć zwój pergaminu. - Czy zna pan *signorę* Bassano?

A więc chodziło o Juliettę. Marc spokojnie złożył dłonie, choć serce
gwałtownie zakolało mu w piersi.

- Dobrze pan wie, że ją znam.

- To prawda. I wie pan, że nie urodziła się w Wenecji, że nie jest członkinią
żadnego z tutejszych rodów?

- Ni pies, ni wydra?

Ermano zgromił Marca wzrokiem.

- *Signora* Bassano jest osobą szlachetnie urodzoną, a jednak woli trudnić się
prowadzeniem sklepu. Jej rodzina wywodzi się z Mediolanu. Przyznaliśmy jej prawo
pobytu w naszym mieście, wyświadczając uprzejmość rodzinie jej świętej pamięci

męża, a także dlatego, że jej sklep jest niezwykle popularny wśród Wenecjan.

Niestety, ostatnio wyszły na jaw pewne fakty...

Marc położył ręce na rzeźbionych poręczach fotela.

- Jakże? Jeśli można wiedzieć.

Ermano kilkakrotnie uderzył zwojem pergaminu o dłoń.

- Rodzice *signory* Bassano mieli wielkie wpływy w Mediolanie. Od lat wiernie służyli Sforzom. Jednak babka ze strony matki była Francuzką. Pochodziła z pomniejszej gałęzi królewskiego rodu. Ojciec zmarł niedługo po tym, jak *signora* wyszła za mąż za Giovanniego Bassano. Jej matka, pół-Francuzka, zmarła znacznie wcześniej. Podobno naturalną śmiercią.

Marc uniósł brwi.

- Podobno? To znaczy, że było inaczej?

- Niestety, zapewne tak. Niedawno wyszedł na jaw fakt starannie skrywany przez rodzinę *signory* Bassano. Jej matka została zatrzymana pod zarzutem praktykowania czarów. Chociaż wypuszczono ją po kilku dniach, wkrótce potem zmarła w jednej z wiejskich posiadłości. Mówiono, że diabeł upomniał się o swoje.

Marcowi zjeżyły się włosy na karku. Wiedział, że Julietta jest inna niż większość kobiet, lecz nigdy nie podejrzewały jej o pakt z diabłem. Był pewien, że to nieprawda, tak jak nie miał złudzeń, że najmniejsze podejrzenie o magiczne praktyki może oznaczać koniec ich obojga.

- Jakie są zarzuty przeciwko *signorze* Bassano? - zapytał rzeczowo.

Ermano zacisnął wargi w wąską kreskę.

- Wie pan o tym, że w ostatnim czasie wielu doradców doży zostało otrutych?

- Tak.

- Prowadzone przez nas dochodzenie wykazało, że istnieje ogniwo łączące wszystkie te zgony. Żony i kochanki mężczyzn, którzy zostali otruci, są stałymi klientkami perfumerii *signory* Bassano.

Marc zaczerpnął tchu.

- Czy jednak fakt, że zmarli byli zaufanymi ludźmi doży i zajmowali wysokie stanowiska we władzach Republiki, nie każe domyślać się zabójstwa z przyczyn

politycznych? To znacznie bardziej prawdopodobne. Należałoby chyba podążyć tym tropem, zamiast badać upodobania ich dam.

- Matka *signora* Landucciego jest innego zdania.

- Matka?

- Mam wrażenie, że spotkał ją pan w czasie swej poprzedniej wizyty w pałacu. Nieustannie wypytuje nas o postępy w śledztwie, a jest osobą o potężnych wpływach. Jej świętej pamięci mąż był oficerem Quaranta Criminale. *Signora* Landucci twierdzi, że jest syn został otruty przez swą żonę za pomocą perfum od *signory* Bassano.

- A co mówi żona? - zapytał Marc.

- Młoda *signora* Landucci również ma niemałe koneksje. Jej ojciec wysłał ją na kontynent, by doszła do siebie po śmierci męża. Podobno aranżuje już dla niej małżeństwo z członkiem jednego z najbogatszych rodów rzymskich. Nie mogliśmy jej przesłuchać.

Marc prychnął i wygodniej rozsiadł się w fotelu, jakby cała ta sprawa niewiele go obchodziła.

- Podejrzenia pogrążonej w żałobie matki dają wątpliwą podstawę do oskarżenia o trucicielstwo i czary. W Hiszpanii...

- Nie jesteśmy w Hiszpanii - przerwał mu Ermanno. - To jest Wenecja i mamy tu swoje sposoby rozwiązywania problemów, jak bez wątpienia zdołałeś się już, panie, o tym przekonać. Sklep *signory* Bassano zostanie przeszukany, a jeśli zostanie tam znaleziona trucizna, będziemy zmuszeni zająć się *signorą*.

Marc mocno zacisnął dłonie na poręczach fotela. Musiał opanowywać się z najwyższym trudem, by nie zagłębić ostrza sztyletu w skamieniałym sercu hrabiego. Syciłby się potem widokiem jego krwi plamiącej kamienną posadzkę. W niczym jednak nie pomogłoby to Julietcie. Mógł ich uratować jedynie starannie obmyślony plan.

- Zająć się? - powtórzył jak echo Marc.

- Tak. Mniemam, że nawet w Hiszpanii są ludzie, którzy nagle stają się ciężarem, przeszkodą dla władz. *Signora* Bassano wciąż ma w Mediolanie wpływowych krewnych, którzy mogliby skutecznie protestować, gdyby została aresztowana, mogliby się domagać, by wróciła pod ich opiekę do Mediolanu, a w

takim przypadku nie moglibyśmy uczynić zadość sprawiedliwości. Dlatego na scenę musisz wkroczyć ty, panie, Il Leone.

Marc zmrużył powieki. - Ja?

- A któż by inny? Pomoże nam pan pomścić zmarłych. Zabije pan *signore* Bassano. - Ermano uniósł zwój pergaminu.

- Z rozkazu doży. A jeśli nie spełnisz, panie, naszej prośby, proszę pamiętać, że trzymamy twój statek pod strażą, a twój pierwszy oficer jest naszym gościem w więzieniu.

Opuściwszy Pałac Dożów, Marc wszedł na zatłoczony plac. Ostre światło słoneczne boleśnie kłuło go w oczy, tak że musiał mrużyć powieki. Nasunął czapkę głęboko na czoło.

Nawoływania kupców, jęk żebraków, dziecięcy śmiech i dźwięki lutni - codzienne odgłosy miasta tego dnia niemile raniły jego uszy.

Miał zabić Juliette.

Słowa Ermana rozchodziły się po jego głowie echem, pochodzącym z najdalszych kręgów dantejskiego piekła.

Julietta stała się „ciężarem” dla Republiki i musiała zostać wyeliminowana cicho, skrycie; tak, by jej śmierć nie wzbudziła niepożądanego zainteresowania krewnych z Mediolanu. To haniebne zadanie przypadło Marcowi. Paradoksalnie miał udowodnić swą lojalność wobec miasta, w którym tak go wielbiono i obsypywano wszelkimi dobrami. Musiał wykonać rozkaz, by ocalić swój statek, swych ludzi i samego siebie.

Przez pewien czas błąkał się w okolicach Wielkiego Kanału, po czym skręcił w ciasny zaułek. Miejski gwar odbijał się tu jedynie słabym echem, a wiszące nad uliczką, blisko siebie położone balkony, stanowiły osłonę przed jaskrawym słońcem. Jedynie jakiś kot spacerujący po belce przypominał, że także i tutaj toczy się życie. Ciemna, pusta przestrzeń stanowiła odzwierciedlenie czarnej rozpacz w sercu Marca.

Usłyszawszy jakiś szmer przy wejściu do zaułka, szybko schował się za potężną beczkę wina. Wychyliwszy się zza niej ostrożnie, zobaczył dwóch mężczyzn w ciemnych pelerynach narzuconych na biało-złoty strój. Rozpoznał strażników, eskortujących go wcześniej do pałacu.

Mężczyźni przystanęli na chwilę, starając się przeniknąć wzrokiem panujący w zaułku mrok. Marc wstrzymał oddech i dotknął sztyletu przywiązanego do przedramienia. Na szczęście nie doszło do rozlewu krwi. Strażnicy bezradnie pokręcili głowami i wycofali się, by podjąć poszukiwania gdzie indziej. Marc podejrzewał, że nie tylko im zlecono obserwowanie jego poczynąń. W Wenecji roiło się od szpiegów. Któryś z nich musiał donieść Ermanowi o związku Marca i Julietty.

Oczywiście Ermano nie powiedział na ten temat ani słowa. Nie wspomniał też o „uprzejmości”, o wyświadczenie której prosił kiedyś Marca, o swym zleceniu zaprzyjaźnienia się z Juliettą. Jak szybko zmieniały się pragnienia i nastroje hrabiego! Jeszcze tak niedawno zabiegał o względy Julietty, a teraz z chłodną obojętnością powiadomił Marca o ciężących na niej zarzutach i wydał mu rozkaz. Jedyne zimne błyski w oczach Ermana zdradzały prawdę. Hrabia musiał wiedzieć, że Marc i Julietta zostali kochankami, i czując się wzgardzonym pragnął ich ukarać, zlecając Marcowi zabójstwo kobiety, która ich podzieliła. Z pewnością w swych planach Ermano przewidywał także rychłą śmierć Marca.

Marc musiał przyznać, że hrabiemu udało się wymyślić najgorszą z możliwych kar.

Oparł się o nierówny mur. Cały ten świat wydał mu się nagle wynaturzony, zniekształcony, jak pod wodą lub we śnie. Nieskazitelnie błękitne niebo wydawało się z niego szydzić przypominając o wolności. Zaledwie wczoraj obiecał Julietcie, że będzie ją chronił, zapewnił, że w każdej chwili jest gotów wywieźć ją na pełne morze, ku wolności. Teraz statek znalazł się pod strażą, przysły marzenia. .

Czyżby mieli zostać schwytani w złotą sieć, zastawioną przez Ermana i bezradnie się w niej szamotać przez tę chwilę jaka im pozostała?

Zaśmiał się gorzko i zganił się w myślach za defetyzm. Zachowywał się tak, jakby nie pobrał cennych nauk od swego ojca, najbardziej doświadczonego i najdzielniejszego z żeglarzy, jakby tylekroć nie wydostawał się z najgorszych tarapatów, poczynając od chwili, gdy jako mały chłopiec był świadkiem okrutnej śmierci matki. Udało mu się wtedy uciec, a potem osiągnąć tak wiele.

Zdał sobie sprawę, że przez całe swoje życie staczał walkę z upiorami przeszłości. Teraz jednak, gdy poznał swą czarnowłosą czarodziejkę, czuł się o niebo silniejszy. Musiał ją chronić. Miał też swą tajną broń.

Jak to się stało, że jego życiowa misja, plan, który opracowywał przez lata, wydał mu się nagle mało istotny z powodu pięknej, tajemniczej Julietty? Musiała chyba rzucić na niego jakiś urok. Chęć zemsty przestała się liczyć w obliczu niebezpieczeństwa grożącego ukochanej.

Nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, kiedy zawładnęła nim miłość. Czyżby już w chwili, w której po raz pierwszy zobaczył Juliettę w sklepie? A może wtedy, gdy całował ją na przyjęciu u Nicolaia lub kiedy kochali się w jej pokoju? Gdy stała w jego kajucie i z zachwytem patrzyła na morze? Nie wiedział. Był jedynie pewien tego, że ją naprawdę kocha.

Jak mogli wydostać się z sieci intryg?

Popatrzył w stronę wejścia do zaułka. Nie dostrzegł tam strażników, lecz mógł być pewien, że odtąd będzie pilnie śledzony. Nie mógł pójść teraz do sklepu Julietty, by zaproponować jej wspólną ucieczkę.

Musiał istnieć jakiś inny sposób poradzenia sobie z grożącym im niebezpieczeństwem. Sięgnął po czyjś wełniany płaszcz, wiszący na sznurze na bieliznę, zarzucając na to miejsce swą aksamitną pelerynę. Włożył płaszcz i ostrożnie wyrzwał zza węgła. W pobliżu wejścia na plac stało niewiele osób. Minał je, kierując się w stronę wąskich, mało uczęszczanych uliczek.

Mógł mu teraz pomóc tylko jeden człowiek - Nicolai.

I właśnie jego zamierzał poprosić o przysługę.

Rozdział osiemnasty

Julietta otworzyła okiennice i szybko pomachała ręką, by odgonić kłęby kurzu. Drobinki tańczyły w promieniach słonecznego światła, mieniając się srebrzyście, po czym dołączały do szarej warstwy zalegającej podłogę. Do dusznego wnętrza wdarło się świeże wiejskie powietrze, niosące zapach trawy.

Dozorca Paolo i jego żona Rosa, mieszkający w swej chacie na terenie posiadłości, mieli dbać o willę, jednak najwyraźniej nie zwracali sobie głowy porządkami w pokojach. W słonecznym saloniku na piętrze znajdował się stół, kilka krzeseł i szafka; wszystko pokryte teraz grubą warstwą kurzu. Niebieskie zasłony spłówiały, poduchy na parapetach okiennych były brudne i przetarte. W kominku dawno już nie płonął ogień, a na pobielanych ścianach nie było żadnych obrazów. Mimo wszystko Julietta uznała pokój za przytulny i doskonale nadający się dla jej celów.

Pomyślała, że ponosi odpowiedzialność za stan willi w równym stopniu co zarządca. Zaniebdała swą wiejską posiadłość spędzając cały czas w sklepie w Wenecji. Urodzona w mieście, nie miała pojęcia o uprawie jęczmienia czy winnej latorośli, o darach ziemi i spokojnych dniach przebiegających zgodnie z dobowym rytmem. Otrzymała ten niewielki majątek w spadku po mężu. Rodzinie Giovanniego bardzo zależało na tym, by wyjechała z Mediolanu i nigdy tam nie wracała.

Oparła się o parapet, nie zważając na brud, i popatrzyła na leżące odłogiem pola i brązową, skarłałą winorośl na zboczu wzgórza. Wokół panowała błoga cisza, a powietrze było czyste, nieskażone wyziewami z kanałów jak w Wenecji.

Kochała Wenecję. Można tam było skryć się jak pod maską, nie ujawniając swej prawdziwej natury nawet przed sobą. Jednak z upływem lat miała coraz mniejszą ochotę na balansowanie na akrobatycznej linii, by ominąć czyhające na nią pułapki. Tu, na wsi, odnalazła miejsce, w którym nareszcie mogła zdjąć maskę i odetchnąć pełną piersią, choćby przez krótką chwilę.

A może to miłość odmieniła jej serce?

Zaśmiała się na tę myśl. Marc Velazquez bez reszty zawładnął jej myślami i uczuciami. Czasami czuła się przy nim jak wesoła, psotna dziewczynka. Jeszcze niedawno byłaby przerażona tym, że ktoś tak głęboko wkradł się w jej życie. Wszystko inne, nawet praca, straciło dla niej swe dawne znaczenie. Wciąż jeszcze trochę się bała swego uczucia, jednak była pewna, że ono istnieje, prawdziwe i głębokie.

Otworzyła kolejne okno. Pod przeciwległą ścianą stało szerokie żelazne łóżko. Julietta bez trudu wyobraziła je sobie zaścielone miękką pościelą. Marzyła o tym, by położyć się na nim z Markiem i kochać się z nim do utraty tchu.

Nawet tutaj towarzyszyły jej wspomnienia wspólnie przeżytych upojnych chwil. Wiedziała jednak, że Marc nigdy tu nie przyjedzie. Kiedy następnym razem Julietta odwiedzi swą willę w głębi łądu, Marc będzie już daleko stąd, na swym ukochanym morzu. Może to nawet dobrze, że przynajmniej tutaj będzie wolna od wspomnień z nim związanych, że w tych ścianach nie pozostanie echo jęków rozkoszy, miłosnych okrzyków i westchnień.

Podeszła do stołu, na którym umieściła swe torby podróżne. Otworzywszy je, zaczęła ostrożnie wyjmować z nich misy, rozmaite naczynka, moździerz i tłuczek, flakoniki i łyżki, paczki ziół.

Kiedy Marc odpłynie z Wenecji, nigdy już nie będzie sam. Będzie miał ze sobą jej prezent, który ochroni go przed niebezpieczeństwami.

- *Signora! Signora*, jesteś tam, pani?

Pukanie do drzwi wyrwało Juliettę ze snu. Gwałtownie się wyprostowała i zaczęła rozcierać obolałą szyję. Musiała zasnąć, złożony głowę na skrzyżowanych ramionach opartych o stół.

Popatrzyła na stojące na blacie naczynia i składniki przygotowywanej mieszanki, na otwartą książkę. Niebo za oknem przybrało szaroróżową barwę, nadchodził zmierzch.

Szybko zamknęła książkę i wrzuciła ją do torby. Gdyby ktoś zobaczył ten tomik, mógłby się domyślić jej planów. Flakoniki i zioła nie powinny budzić niczych podejrzeń. Mogła przecież pracować nad kompozycją nowych perfum.

- *Signora!* - Pukanie do drzwi powtórzyło się. - Jest tam pani?

- *Si*, jestem. - Julietta wstała, wygładziła spódnicę i spokojnie otworzyła drzwi.

W progu stała żona dozorczy, Rosa. Jej fartuch nosił ślady przygotowywanej kolacji, kilka kosmyków brązowych włosów wymknęło się spod chustki. Rosa ciekawie zajrzała do wnętrza, jakby chcąc się zorientować, co się tutaj dzieje. Julietta nie wpuściła jej do środka.

- O co chodzi, Roso? - zapytała.

- Ma pani gości.

- Gości? - Julietta zmarszczyła czoło. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali daleko stąd, poza tym prawie w ogóle ich nie знаła, a przecież nikt nie mógł przyjechać za nią aż z Wenecji. Z przerażeniem pomyślała o Ermanie.

Przyłożyła ręce do pulsujących skroni. To właśnie tę posiadłość pragnął nabyć hrabia, choć być może sprawa poszerzenia dóbr stanowiła jedynie pretekst do zawarcia z nią bliższej znajomości. Nie widziała jednak powodu, dla którego właśnie teraz Ermano miałby ją śledzić.

- Co to za goście? - spytała. Rosa wzruszyła ramionami.

- Jacyś wędrowni aktorzy. Mam poprosić Paola, żeby ich odesłał?

Wędrowni aktorzy? Jedynym aktorem, jakiego znała, był Nicolai Ostrovsky, który z pewnością nie wędrował po wsiach podczas karnawału. Julietta podeszła do okna i ostrożnie wyjrzała zza framugi. Szeroki podjazd dla powozów, wyłożony kruszonymi muszlami i żwirem, był teraz haniebnie zarośnięty chwastami. Stały tam dwa gniade konie, sprawiające wrażenie zmęczonych po przebyciu długiej podróży. Jeźdźcy w ciemnych pelerynach z kapturami przystanęli na marmurowych schodach. Na szczęście żaden z nich nie przypominał sylwetką Ermana.

Kimkolwiek byli owi przybysze, z pewnością nie zamierzali szybko odjechać po przebyciu długiej drogi. Zapewne nie interesowała ich też sama Julietta.

Najprawdopodobniej złądzili, albo chcieli się posilić i odpocząć przed dalszą jazdą.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

Zamknęła okno.

- Dobrze, Roso. Zejdę na dół i dowiem się, czego chcą.

Po wyjściu Rosy Julietta sięgnęła do ukrytej kieszeni peleryny i wyjęła sztylet, po czym wsunęła go do rękawa sukni. Nawet tu, na wsi, czuła się pewniej mając przy sobie broń.

Rosa zostawiła drzwi wejściowe uchylone; dobiegał zza nich świst wiatru i szmer rozmowy. Julietta natychmiast rozpoznała słowiański akcent jednego z przybyłych.

Szeroko otworzyła drzwi.

- Nicolai! - zawołała, stając twarzą w twarz z jasnowłosym aktorem.

Uśmiechnął się do niej szeroko. W tej samej chwili drugi mężczyzna obrócił się w jej stronę.

- Marc - wyszeptała, mając ochotę natychmiast rzucić mu się w ramiona i poczuć smak jego pocałunków na swych wargach. Wydawało się jej, że minęła całą wieczność, odkąd się rozstali na przystani. Nie podbiegła jednak do niego, tylko kurczowo chwyciła się framugi drzwi. Zauważyła, że jest dziwnie poważny, wręcz zasepiony.

Marc i Nicolai mieli na sobie nogawice w jaskrawe pasy i ozdobione wstążkami wamsy pod pelerynami. Złoczone maski, którymi wcześniej okrywali twarze, zwisały teraz na sznurkach jak naszyjniki. Musiała przyznać, że wyglądają w każdym calu jak wędrowni komedianty.

- Co wy tu robicie? - zapytała cicho. Z pewnością Marc nie przyjechał tu na romantyczną randkę.

- Przywozimy ważne wiadomości - rzekł Nicolai.

Uśmiechnął się do niej, lecz jego głos był niezwykle poważny, a on sam w niczym nie przypominał dziś beztroskiego Arlekina.

- Jak mnie tu znaleźliście? - zapytała.

- Twoja służąca, Bianca, powiedziała nam, dokąd się udałaś - odpowiedział Nicolai. Marc jedynie jej się przyglądał.

Julietta poczuła, że przenika ją dreszcz.

- Miała nikomu tego nie mówić.

- Nie możesz mieć do niej pretensji - powiedział Nicolai. - Nie powiedziała nam tego od razu.

- Ale wykazaliście się nieustępliwością. No cóż... - Julietta cofnęła się. - Wejdźcie i opowiedzcie mi o wszystkim.

Poprowadziła ich cichymi, pustymi korytarzami do niewielkiego pokoju na tyłach domu. Paolo i Rosa czasami korzystali z tego pomieszczenia, więc było tu więcej mebli, w tym dwa wyściełane fotele i krzesła, a podłoga została starannie zamieciona. Na stole pod oknem stał dzbanek z winem i kielichy. Julietta zaczęła nalewać wino drżącą ręką. Była pewna, że za chwilę usłyszy złe wiadomości. Nikt nie zadawał sobie tyle trudu, nie przebywał takiego szmatu drogi w przebraniu, by przekazać dobre wieści.

- Przepraszam, ale jeszcze nie mam kolacji - powiedziała cicho. - Na początek proponuję, żebyście pokrzepili się winem.

Marc delikatnie dotknął jej ramienia. Zdążyła go już poznać w różnych sytuacjach, widziała go w chwilach smutku i gniewu, jednak nigdy dotąd nie był tak dziwnie, wręcz niepokojąco czuły i milczący. Przypominał jej teraz szkocką niańkę, która próbowała ją pocieszyć po tym, jak na jej oczach wyprowadzono matkę.

To przypomnienie najbardziej ją przerażało.

- Pozwól, że to ja naleję wina - powiedział cicho Marc. - Usiądź przy kominku. Mamy chłodny wieczór.

Zagryzła wargę. Nicolai wysunął dla niej fotel. Przez chwilę czuła się bezpieczna przy tych dwóch śmiałkach. Nie mógł jej teraz zagrozić żaden pogromca czarownic. Nie byli tacy jak jej słaby ojciec. A ona sama odziedziczyła przecież po matce silny, buntowniczy charakter.

Rozprostowała ramiona i uniosła podbródek.

- Dziękuję, Marc - powiedziała, zajmując miejsce w fotelu. Gdy Nicolai usiadł naprzeciwko, Marc podał im kielichy z aromatycznym winem.

Julietta upiła łyk.

- No dobrze. A teraz powiedzcie mi, co was tu sprowadza. Jakież to wiadomości nie mogły poczekać na mój powrót do miasta?

Marc i Nicolai wymienili spojrzenia. Julietta poczuła, że ogarnia ją złość. Odstawiła kielich na stół z taką siłą, że wylało się z niego trochę wina.

- Nie jestem przecież dzieckiem! - krzyknęła. - Powiedzcie mi, o co chodzi, żebym mogła jakoś się przed tym bronić. Co się stało? Mój sklep spłonął? Ktoś go okradł?

- Nie, Julietto - odpowiedział Marc. - Ale obawiam się, że grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

Julietta opadła na oparcie fotela. Dobrze знаła smak niebezpieczeństwa. Zagrażało jej od dnia narodzin, a wszystko przez to, że jej matkę podejrzewano o czary. Swego czasu myślała jednak, że w Wenecji będzie mogła prowadzić spokojne życie.

Potem poznała Marca i uświadomiła sobie, że to tylko niemądre złudzenie.

- Powiedzcie mi - rzekła rozkazującym tonem.

- Poproszono mnie... a raczej otrzymałem rozkaz, by cię zgładzić. Dla dobra Republiki - odpowiedział Marc gładko, jakby pytał o to, co zostanie podane na kolację albo oznajmiał, że niebo jest niebieskie lub deszcz pada. Patrzył na nią uważnie, lecz nie wyciągnął ku niej ręki.

Julietta miała wrażenie, że zmienia się w bryłę lodu. Złożyła ręce na piersiach, czując ucisk sztyletu.

- Więc przyjechałeś, żeby mnie zabić? Marc gwałtownie uniósł brwi.

- Oczywiście, że nie, Julietto! Że też coś takiego w ogóle przyszło ci do głowy! Przyjechaliśmy, żeby obmyślić plan, jak ci pomóc. Mój statek jest pod strażą, a pierwszy oficer został wtrącony do więzienia i jest przetrzymywany jako zakładnik. Nie możemy więc tak po prostu uciec. Musimy zrobić tak, żeby Ermano i cała Wenecja myśleli, że nie żyjesz.

- Coś w rodzaju przedstawienia - dodał Nicolai - w którym wszyscy będziemy aktorami.

Julietta popatrzyła na nich ze znużeniem. Nie wiedziała, o czym mówią, dlatego zacieśnia się wokół niej kolejna sieć. Machinalnie sięgnęła po kielich i duszkiem wypłała wino. Poczawszy lekkie oszołomienie, wyprostowała się.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli dokładnie mi o wszystkim opowiecie.

Była to długa opowieść. Noc objęła świat w swe władanie, w pokoju zrobiło się ciemno. Rosa przyszła, żeby zapalić świece, lecz Julietta szybko ją odprawiła, zapewniając, że wszystkim zajmie się sama. Chwilami miała wrażenie, że za moment obudzi się w swym pokoju w Wenecji i okaże się, że to wszystko było tylko złym snem.

Nawet Marc wydał się jej senną zjawą. W migotliwym świetle świec wyglądał jak anioł zagłady, przynoszący straszliwe wieści.

- Dzisiaj w południe zostałem wezwany do Pałacu Dożów. Czekał tam już na mnie Ermanno Grattiano - ciągnął swą opowieść. - Osobiście zlecił mi... to zadanie.

- Ermanno?! - wykrzyknęła Julietta. No tak. Powinna się była tego domyślić. Dla mężczyzny obnoszącego się ze swym bogactwem, chełpiącego się licznymi wpływami, nawet tak doskonale radząca sobie w życiu kobieta jak ona, była tylko owadem, którego mógł bez trudu zdeptać swym wysadzonym klejnotami obcasem. Szybka, bezsensowna śmierć. Niemniej jednak bolesna dla owada.

- To groźny wróg - podsumował Marc. Julietta prychnęła.

- Oczywiście. Cała Wenecja o tym wie. A ja myślałam, że jesteś jego przyjacielem, Il Leone.

Zacisnął wargi.

- Nigdy nie byłem jego przyjacielem.

- W takim razie prowadziłeś z nim niebezpieczną grę.

- Tak. W dodatku od dawna.

- Myślisz, że możesz zwyciężyć w tej grze? Marc uśmiechnął się blado.

- W tej chwili wszystko wskazuje na to, że nie. Znaleźliśmy się w potrzasku.

- Na to wygląda - powiedziała, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Marc stanowił dla niej nie lada zagadkę, przypominał jej cebulę z niezliczonymi łuskami, o ile Julietta mogła sobie pozwolić na tak mało romantyczne porównanie. Kilka razy udało jej się dostrzec jego prawdziwe oblicze, zwłaszcza na pokładzie „Eleny Marii”, lecz przez większość czasu pozostawał nieprzenikniony. Teraz miała szansę poznać prawdę.

Nie była jednak jeszcze gotowa odkryć przed nim tajemnic swego serca.

- Dlaczego stał się twoim wrogiem? - zapytał Marc. Wzruszyła ramionami.

- Jak wiesz, chciał nabyć tę posiadłość. W ubiegłym roku zwrócił się do mnie z propozycją kupna. Proponował dobrą cenę, jednak nie miałam ochoty pozbywać się swej willi. Lubię tu przyjeżdżać od czasu do czasu. Odmówiłam, myśląc, że to zakończyło sprawę. Niestety, Ermanno ciągle do mnie powracał.

Marc pochylił się nad nią; zadźwięczały dzwoneczki na jego wamsie. Nicolai w milczeniu przyglądał się przyjaciółom.

- W sprawie posiadłości?

- Wiem, że moja posiadłość nie jest w tej chwili wiele warta. Wszystko porosło tu chwastami, ale dobry zarządca potrafiłby szybko zaprowadzić porządek i sprawić, by majątek przynosił godziwy dochód. Ziemie na kontynencie zawsze kusily bogatych Wenecjan - odpowiedziała. - Często miałam wrażenie, że za jego propozycją kryje się coś jeszcze. Tak to już jest z mężczyznami pokroju Ermana. Nie wiedziałam jednak, o co naprawdę mu chodzi. Wszystko wyjaśniło się parę dni temu. Tego wieczoru, kiedy pokazałeś mi swój statek.

- Chciał, żebyś została jego kochanką? - spytał cicho Marc.

- Zaproponował mi małżeństwo. Prawdę mówiąc, bardzo nalegał, bym za niego wyszła. Nie był zadowolony z odmowy. - Urwała, ogarnięta wspomnieniami. Kręciło jej się w głowie. - I oto mam jego odpowiedź. Nie chciałam zastosować się do jego życzenia, więc muszę zginąć. Nie rozumiem tylko, dlaczego zlecił to zadanie tobie, Marc. Dlaczego zwyczajnie nie oskarżył mnie o praktykowanie czarów i nie doprowadził do tego, żebym spłonęła na stosie, tak jak... - Nie była w stanie dokończyć zdania.

- Jak twoja matka? - dopowiedział Marc. Mocno zacisnęła powieki.

- A więc już wiesz?

- Domyśliłem się po tym, co powiedział mi Ermano, kiedy dawał mi to... zlecenie.

Julietta pokiwała głową. Wciąż prześladowało ją wspomnienie tamtych chwil, pamiętała swój własny krzyk, gdy odrywano ją od matki. Kiedyś opowie Marcowi o tej strasznej nocy, o skwierczących pochodniach, rechoczących żołnierzach i niewzruszonej postawie białej jak kreda matki. Teraz jednak czas nie był po temu.

Ciszę przerwał Nicolai.

- To uraziłoby poczucie estetyki naszego znamienitego hrabi. Dramatyczny proces, spalenie na stosie, sensacyjne plotki. Nie. Myślę, że on wie, że się kochacie i chce się pozbyć was obojga. To ma być jego zemsta.

- Zemsta - powtórzył dobitnie Marc, zamyślając się głęboko.

- Nicolai ma rację - powiedziała Julietta. - Ermano zatrudnia całą armię szpiegów. Powinnam być ostrożniejsza, ale... - urwała. Nie mogła przecież powiedzieć, że marząc o dotyku, o pocałunkach Marca, zapomniała o wszelkiej ostrożności.

- Oboje powinniśmy być ostrożniejsi - rzekł Marc. - Ale nie byliśmy, więc teraz musimy obmyślić przeciwnatarcie.

Julietta zabębniła palcami w poręcz fotela. Uważnie przyjrzała się Marcowi. Tak musiał wyglądać, obserwując piracki okręt wylaniający się z mgły, szacując siły wroga. Ermano dysponował groźną bronią, mógł liczyć na wsparcie doży, miał przecież ogromne bogactwa i władzę.

Jednak Julietta nie była całkiem bezbronna. Była przecież nieodrodną córką swej matki, wnuczką swej babki. Nie mogła przynieść im wstydu, splamić ich dziedzictwa.

- Gdzie mam zostać zamordowana? - spytała.

Marc sięgnął za pazuchę wamsa i wyjął niewielki zwój pergaminu, opatrzony pieczęcią doży.

- Na balu u doży. Mamy się pokłócić w tańcu, a ja mam cię zasztyletować. - Popatrzył na nią, żartobliwie unosząc brew. - Intrygująca gra, nieprawdaż, *querida*?

Rozdział dziewiętnasty

Opowieść Marca przerwało nadejście Rosy z kolacją. Ku swemu zdumieniu Julietta stwierdziła, że jest głodna jak wilk. Spiskowanie musiało pobudzić jej apetyt. Po posiłku składającym się z wiejskiego chleba, sera, oliwek i kawałków kielbasy duszonych z jarzynami, zaprowadziła Marca i Nicolaia do ogrodu, gdzie mogli rozmawiać, nie obawiając się o to, że zostaną podsłuchani.

Ogród zarósł chwastami, lecz wysypane żwirem ścieżki, teraz skąpane w blasku księżyca, wiodły ich wokół grządek i krzaczastych labiryntów, obok przechylonych, splekanych wazonów, marmurowych amorków i pustej, martwej fontanny. Nagie gałęzie drzew nad ich głowami przypominały ramiona szkieletów, grzechoczące na lodowatym wietrze.

Juliettę przeniknął dreszcz. Natychmiast szczelniej otuliła się peleryną.. Popatrzyła na popiersie rzymskiej bogini, pozbawione ramion i głowy. Pozostał tylko krągły biust. Oparła się o chłodny marmur, zdjeta nagłym strachem. Wyobraziła sobie, że czeka ją podobny los.

Jednak nieszczęsna bogini nie mogła liczyć na wsparcie dwóch silnych wojowników, którzy stali teraz u boku Julietty.

- A więc - powiedziała, podejmując przerwany temat - masz mnie zabić na wielkim balu u doży?

Marc przytaknął, przesuując dłonią po okaleczonym ramieniu bogini.

- Tak. W porywie zazdrości.

- Ale co stanie się z tobą, kiedy padnę martwa na pałacową posadzkę?

Marc zaśmiał się gorzko.

- Oczywiście zostanę pojmany. Przejdę przez Most Westchnień, łączący Pałac Dożów z nowym więzieniem. Potem wszelki słuch po mnie zaginie.

- To marna nagroda za uwolnienie miasta od piratów.

- Jeśli wierzyć temu, co jest napisane na tym pergaminie, nie trafię do więzienia. Zostanę przewieziony na swój statek wraz z pierwszym oficerem, który ma zostać uwolniony. Będziemy mogli odpłynąć, ale nigdy już nie będzie nam wolno

pokazać się w portach Wenecji. W zamian za przysługę otrzymam wynagrodzenie w złocie.

- Oboje dobrze wiemy, że Ermano nie ma zwyczaju dotrzymywania obietnic - powiedziała Julietta, podchodząc do Marca. Żałowała, że traciła czas na alchemię, komponowanie perfum i rozmaitych pachnidła dla próżnych kobiet. Powinna zająć się poznawaniem tajemnych sił, stać się prawdziwą czarownicą. Wtedy mogłaby użyć jakiegoś zaklęcia, dzięki któremu zyskaliby wolność, zostawiając za sobą Ermana Grattiano i tego podłego szczeniaka Baltazara, płonących na stosie.

Niestety, nie miała takiej mocy.

- Wiadomo, że zawsze może zdarzyć się wypadek - dodał ironicznie Marc. - Zwłaszcza w drodze do więzienia.

- Więc jak wydostaniemy się z tej matni?

- A to już moja sprawa - odezwał się niespodziewanie Nicolai.

Julietta odwróciła się w jego stronę. W świetle księżyca padającym na jego jasne włosy wyglądał jak elf, który przed chwilą wyłonił się z zaczarowanego lasu, by im pomóc. Albo zaszkodzić, co nader często zdarzało się tym psotnym duszkom.

- Co planujesz? Uniósł rękę.

- Jak by nie było, jestem przywódcą trupy komediantów, *signora*. To będzie nasza wielka chwila, a prawdę będziemy znać tylko my.

- Jak to sobie wyobrażasz? - spytała, zaintrygowana. Bała się, że ten elf może wywieść ich na manowce.

- Ermano Grattiano chce, żeby na wielkim balu odegrano maskę, przedstawienie łączące pantomimę, taniec i pieśń. Więc będzie je miał, tyle że wszystko przebiegnie trochę inaczej niż to sobie zaplanował. Pozwólcie, że przedstawię wam mój plan...

Wiejska cisza, wprawiająca zazwyczaj Juliettę w błogostan, tego dnia dziwnie ją niepokoiła.

Gdy chmury przesłoniły księżyc szarym welonem i zapanowała jeszcze większa ciemność, Julietta wychyliła się z okna swej sypialni, by popatrzeć na spowity w mroku ogród w dole. Odgłosy miasta nie milkły prawie nigdy. Zawsze gdzieś rozmawiano, śmiano się, krzyczano, rozlegało się skrzypienie drewna i turkot kół na

kamieniach, szumiały fontanny i biły kościelne dzwony. Tutaj nie było słycać żadnego dźwięku. Ustał nawet świst wiatru.

Odwróciła się w stronę ciepłego pokoju i stojącego przy jej łóżku Marca. Jego kolorowy wams leżał na komodzie, rozsznurowana biała koszula odsłaniała opalony tors. Wcześniej, gdy spryskiwał twarz wodą, zmoczył sobie włosy. Wydawał się spokojny, jednak czuła, że towarzyszy mu napięcie.

Zwinęła dłoń w pięść, czując ucisk pierścionka z rubinem. Dając jej ten pierścień, zapewnił ją, że stawi się u jej boku w każdej potrzebie. Och, jak bardzo go teraz potrzebowała, i nie chodziło jej tylko o siłę męskiego ramienia. Do tej pory bała się komukolwiek zaufać, wiedząc, że wiąże się to z niebezpieczeństwem odtrącenia.

Stali się sobie niezwykle bliscy, mimo że wciąż dzieliły ich nieujawnione tajemnice. Wiedział już o tym, co przydarzyło się jej matce, nie znał jednak całej prawdy.

Marc przysiadł na łóżku i wyciągnął przed siebie długie nogi w czarnych spodniach. Miała wrażenie, że jest niezwykle czujny, że przygląda się jej tak, jakby przenikał wzrokiem mgłę, starając się rozpoznać banderę zbliżającego się statku, nie wiedząc jeszcze, czy ma przed sobą przyjaciela czy wroga.

Nie mogli pozwolić sobie na wrogość. Jeśli nie będą działać razem, czeka ich zguba. Mieli teraz tylko siebie.

Zamknęła okiennice i przysiadła obok Marca na łóżku.

- Czy Nicolai naprawdę jest wędrownym komediantem? - zapytała.

Skrzyżował nogi. Odniosła wrażenie, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- Między innymi - powiedział w końcu.

- A jakie są jego inne zajęcia?

- To jest jego tajemnica. Zresztą nie znam całej prawdy o Nicolaiu Ostrowskim.

- Ale myślisz, że nam pomoże?

- Ręczę za to głową.

- Aż tak bardzo mu ufasz? - spytała z powątpiewaniem. Pokiwał głową; włosy na chwilę przesłoniły mu oblicze.

Julietta miała ochotę je odgarnąć, objąć dłońmi jego twarz, chłonąc jego ciepło. Nie poruszyła się jednak. Odpowiedzi na dręczące ją pytania były jej teraz o wiele bardziej potrzebne niż pieszczoty.

- Tak - odpowiedział zdecydowanym tonem. - Nicolai wiele razy uratował mi życie.

- Twierdzi, że odwdzieczyłeś mu się tym samym.

- To prawda.

- Dlaczego?

- Przecież po to ma się przyjaciół, żeby pomagali nam w biedzie. - W głosie Marca wyczuła lekkie rozbawienie.

Julietta gwałtownie przycisnęła dłoń do piersi, czując ostry ból przeszywający jej serce. Czy kiedykolwiek miała takiego przyjaciela? Matka i babka kochały ją, były jej nauczycielkami, opiekunkami, lecz nie zwierzała się im ze swych tajemnic. Być może jej prawdziwą przyjaciółką była Bianca, lecz Julietta nigdy nie powierzyłaby jej wszystkich swych sekretów, a to oznaczało, że nie były sobie naprawdę bliskie. Miała też wrażenie, że wierna służąca coś przed nią ukrywa.

Popatrzyła na Marca, zwróconego teraz twarzą w jej stronę. Był jej kochankiem, ale czy mogła uznać go za przyjaciela? Może on także miał sekrety, które pewnego dnia uniemożliwią im prawdziwe porozumienie? Nie wierzyła w przyjaźń. A jednak Marc był przy niej teraz, gdy najbardziej go potrzebowała.

- Tak więc jesteś pewien, że Nicolai nam pomoże, ale nie chcesz mi zdradzić jego tajemnic? - zapytała cicho.

- To nie są moje tajemnice - odpowiedział Marc. - Sama go o nie zapytaj.

Kokieteryjnie przechyliła głowę.

- A jakie są twoje tajemnice, Marcu Velazquezie?

Przez jego twarz przemknął cień. Popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

- Mam ich wiele, *querida*, podobnie jak ty. Którą z nich chcesz usłyszeć najpierw?

Pomyślała o kobiecie stawiającej tarota. „Musisz pozbyć się lęków, wkroczyć w przyszłość wolną od łańcuchów”. Czy naprawdę chciała poznać sekrety Marca? Nie

była to tylko kwestia jej ciekawości. Po prostu musiała wiedzieć o nim wszystko co istotne.

- Kim naprawdę jesteś? Dlaczego przyjechałeś do Wenecji? Podejrzewam, że nie z powodu piratów.

Marc wybuchnął gorzkim śmiechem.

- Piraci szczęśliwie nawinęli mi się pod rękę. A kim jestem... Już wiesz, że nie urodziłem się jako Marc Antonio Velazquez. Przez pierwsze sześć lat swego życia byłem Markiem Rinaldim, synem Veroniki Rinaldi... i Ermana Grattiano.

Rozdział dwudziesty

Julietta popatrzyła na Marca z niedowierzaniem. Czyżby się przesłyszała?

- Jesteś synem Ermana? - Próbowała się upewnić, była przerażona.

Marc spokojnie pokiwał głową. Nie dostrzegając w jego pięknie wyrzeźbionej twarzy i turkusowych oczach żadnego podobieństwa do hrabiego. Widać odziedziczył urodę po matce. Przy głębszym zastanowieniu mogła jednak odnaleźć niektóre cechy ojca w jego charakterze, jak choćby upór i zdecydowanie.

- Już od dawna chciałem wrócić do swego rodzinnego miasta i odnaleźć ojca - powiedział.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Miałeś przecież wspaniałą rodzinę w Hiszpanii, prowadziłeś tam godne życie. Dlaczego zateksniłeś za Ermanem? Czyżbyś nie znał wcześniej jego prawdziwej natury?

W oczach Marca pojawiły się zimne błyski.

- Znałem... aż nazbyt dobrze.

- W takim razie... - Julietta urwała, doznawszy olśnienia. Powinna była domyślić się tego wcześniej, kiedy mówił o swej matce, o jej śmierci w Palazzo Grattiano. - Wróciłeś tu, żeby się na nim zemścić.

- Tak - odpowiedział Marc. - To on zamordował moją matkę.

Julietta przełknęła z trudem. Oczami wyobraźni ujrzała salę pałacową, małego chłopca kulącego się ze strachu. Błysk ostrza... Rozlega się kobiecy krzyk... Miała

ochotę przytulić Marca i ukoić jego ból, jednak była marną pocieszycielką, zazwyczaj tylko pogarszała sytuację. Poza tym Marc siedział sztywno, ze ściągniętą twarzą, przyzwyczajony do przeżywania cierpienia w samotności.

- A ty wszystko widziałeś - powiedziała cicho.

- Tak. Kłócili się przez cały wieczór, nie pamiętam już o co. Z pewnością chodziło o któregoś z adoratorów matki. Ermano był zawsze bardzo zazdrosny o swoje kobiety. Jak dobrze wiemy, ta cecha została mu do dzisiaj. Tamtej nocy w pałacu odbywała się uczta. Mieliśmy po niej zostać w Palazzo Grattiano. Ojciec lubił mieć matkę przy sobie, a że nie ożenił się jeszcze wtedy z matką Baltazara, w pałacu nie było pani domu, która mogłaby się temu sprzeciwić. Pozwolono mi wejść na salę na początek uczy, żebym mógł posłuchać muzyki i zjeść jakieś łakocie. Potem niania położyła mnie do łóżka.

- Ale w nim nie zostałeś.

- Nie wytrzymałem. Miałem wtedy zaledwie sześć lat, a biesiada bardzo mi się spodobała. Najpierw jednak zasnąłem, na szczęście tylko na krótko.

- Na szczęście?

- Gdybym się w porę nie obudził i nie zobaczył tego, co zobaczyłem, nie byłoby mnie teraz tutaj. Dawno bym już nie żył albo, co gorsza, byłbym jednym ze sługusów Ermana, krążących po mieście i załatwiających jego brudne sprawy, tak jak robi to Baltazar.

- Może byłeś dziedzicem wielkiej fortuny. - Julietcie aż ścierpła skóra na tę myśl. Marc nie pasował do zimnych, ponurych pokojów w pałacu; nie wyobrażała go sobie siedzącego na honorowym miejscu przy suto zastawionym stole Ermana. Jego domem był statek, jego bogactwem fale i wiatr, a przede wszystkim wolność.

Czasami niebiosa okazują swe miłosierdzie w zaskakujący sposób.

Marc roześmiał się gorzko.

- Zostawię ją nieszczęsnemu Baltazarowi. Pragnę tylko jednej rzeczy Ermana.

- Jego krwi.

- Jesteś bardzo domyślna, Julietto. Gdybyś знаła moją matkę, i widziała, co zdarzyło się tamtej nocy...

Nie mogła tego widzieć, jednak życzyła Ermanowi wszystkiego najgorszego. Zaplanował dla niej taki sam los, jaki spotkał jej matkę i matkę Marca, a w dodatku wyznaczył jej ukochanemu rolę mordercy. Miała zapłacić najwyższą cenę tylko dlatego, że nie przystała na jego zuchwałę propozycję. Wyciągnęła rękę do Marca.

- Opowiedz mi o tym, co się wydarzyło - poprosiła.

Dopiero po dłuższej chwili przyjął oferowaną mu dłoń, mocno uściśnął i przyciągnął Juliettę ku sobie. Siedzieli teraz ramię w ramię, stykając się udami, jednak czuła, że Marc przebywa myślami w innym świecie, odtwarzając w pamięci chwile sprzed wielu lat.

- Coś mnie musiało obudzić... jakieś poruszenie za drzwiami, a może tylko rozmowa służby. Nie mogłem potem zasnąć - powiedział, patrząc na ich złączone dłonie. - Wyszedłem z łóżka i wysliznąłem się z pokoju na korytarz. Moja sypialnia była blisko salonu, w którym znalazłem cię podczas uczty u Ermana.

- Tego salonu, z którego uciekliśmy - dodała, przypominając sobie, jak Marc wyniósł ją przez okno i sprowadził z wąskich kamiennych schodków, wybawiając od towarzystwa Ermana i nieznośnej, dusznej atmosfery bankietu.

- Tak. Było bardzo późno, wszyscy goście poszli już do domu. W pałacu było cicho i ciemno. Nagle usłyszałem podniesione głosy dochodzące z salonu. To kłócili się moi rodzice. Wiedziałem, że jeśli mnie zobaczą, wpadną w jeszcze większą wściekłość... już jako mały chłopiec nauczyłem się, że nie należy przeszkadzać matce, kiedy jest z mężczyzną, a zwłaszcza z moim ojcem. Chciałem szybko wrócić do sypialni, ale wtedy usłyszałem krzyk... - Głos mu się załamał.

- I wszedłeś do salonu. - Julietta bez trudu mogła sobie wyobrazić tę sytuację. Już jako sześciolatek chłopiec jej rycerski lew nie zostawiał kobiet w potrzebie. Teraz próbował uratować Juliettę, choć już dawno temu mógł wyjechać z Wenecji.

- Drzwi były uchylone, więc wśliznąłem się do środka i schowałem za rzeźbionym parawanem, którego już tam nie ma. Zazwyczaj stał obok kominka. Teraz nie miałbym już się gdzie ukryć. Oczywiście moi rodzice wiele razy kłócili się już wcześniej, rozstawali się w gniewie, by po niedługim czasie znów się połączyć. Jednak tym razem ich kłótnia poważnie mnie zaniepokoiła. Było wtedy gorąco, parno, krew się burzyła. Nie rozumiałem, o co im chodzi. Jak dziecko może zrozumieć

oskarżenia o zdradę? Nie bardzo rozumie, co to znaczy. Dobrze jednak wiedziałem, po co mój ojciec wyciąga sztylet.

Julietta czuła bolesny ucisk w piersiach, niezdolna zaczerpnąć tchu. Mocno ścisnęła Marca za rękę, gotowa w każdej chwili przywrócić go do rzeczywistości. Postanowiła jednak pozwolić mu dokończyć tę straszną opowieść.

- Zabił ją.

- Poderznął jej gardło. Potem rzucił nią o posadzkę i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi. - Marc powiedział to beznamiętnym tonem, jednak Julietta dobrze wiedziała, czym jest dla bezbronnego dziecka nagła utrata ukochanej osoby. Sama próbowała uciec wtedy w zubożenie, które z latami doprowadziło do zbudowania muru wokół serca.

- Podbiegłem do niej - ciągnął Marc - i wyszeptalem „mamo”, ale już nie żyła. Jej krew płynęła po zimnej posadzce. Usłyszałem, jak ojciec krzyczy w korytarzu do służki, żeby przyprowadził Claude'a Gonzago. Mówił, że doszło do kradzieży i morderstwa. Wiedziałem, że mam mało czasu. Zdjąłem pierścionek z palca matki i włożyłem na swój palec. - Ujął dłoń Julietty tak, by popatrzeć na krwistoczerwony rubin. - Potem szybko wybiegłem z tego samego salonu, z którego niedawno uciekliśmy. Byłem pewien, że gdyby mój ojciec dowiedział się co widziałem, zabiłby także i mnie.

Julietta popatrzyła na pierścionek. Już nigdy go nie zdejmie. Był symbolem odwagi zamordowanej matki Marca. Tę odwagę, prawdziwie lwie serce, odziedziczył po niej syn.

- Nie próbował cię odszukać? - Zapytała, nakrywając jego dłoń swoją.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Zanim przypomniał sobie o moim istnieniu byłem już pewnie w połowie drogi do Hiszpanii.

- I do nowego życia.

- Tak. Kocham Velazquezów całym sercem, Julietto. Są moimi prawdziwymi rodzicami i zawdzięczam im życie. Ale klęcząc przy ciele matki, przysiągłem, że ją pomszczę, niezależnie od tego, co będę musiał zrobić i kim się posłużyć.

Spojrzał Julietcie prosto w oczy. Wiedziała, co pragnie jej przekazać. Chciał posłużyć się nią. To dlatego przyszedł do jej sklepu. A teraz los spletał mu okrutnego figła.

- Myślisz, że jestem potworem? - zapytał niespodziewanie.

- Myślisz, że jestem czarownicą? - odpowiedziała natychmiast.

Wykrzywił wargi w słabym uśmiechu i dotknął jej zimnego policzka.

- Wiem tylko, że rzuciłaś na mnie czar.

- A ty na mnie, Il Leone. Dobrana z nas para, nie sądzisz? Czarownica, która nie ma mocy rzucania uroków, i rycerski potwór. Co mamy począć?

- Musimy zastosować się do rad Nicolaia. To nasza jedyna nadzieja. Jesteśmy śledzeni, mój statek jest obserwowany, nie możemy uciec. Już raz uciekłem, tym razem nie mam takiego zamiaru.

- A twoja zemsta? Jeśli nasz plan się powiedzie, nie zdołasz jej dopełnić.

Marc milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie uważasz, że najgorszą karą jest już sam fakt bycia Ermanem? - powiedział w końcu.

Julietta zaśmiała się.

- Nikomu bym tego nie życzyła, nawet bezpańskiemu kotu. Jednak Ermano ma bogactwo i władzę.

- I co mu to dało? Przybyłem do Wenecji jak do jaskini lwa, tymczasem nie znalazłem tego, czego szukałem. Owszem, Ermano ma bogactwo i władzę, wszyscy patrycjusze kłaniają mu się w pas, jednak nie daje mu to szczęścia. Jest jak nabiegły krwią pająk zaplątany w swą własną sieć, dławiący się swą złością. Pomyśl tylko o tym, jak cię nachodził, jak traktuje swego własnego syna i dziedzica.

- Masz rację - powiedziała cicho, przypomniawszy sobie jak usilnie Ermano zabiegał o jej względy, opętany swą wizją.

Mogła to zrozumieć. Czyż ona sama nie goniła za ułudnymi wyobrażeniami szczęścia mimo rozlicznych przeszkód? Poczwała jednak zimne ciarki na wspomnienie dotyku hrabiego.

- Musimy stąd jak najszybciej wyjechać - rzekł Marc. - Ale nie sądzę, by Ermanowi wszystko uszło płazem. Młody Baltazar jeszcze nie zdaje sobie sprawy z

drzemiących w nim możliwości. Pewnego dnia upomni się o swoje, okazując bezwzględność, przy której zbledną moce jego ojca. W jego oczach dostrzegam błysk, jaki mają piraci przed bitwą.

- Jest twoim bratem - powiedziała Julietta.

Marc sprawiał wrażenie zaskoczonego. Nie myślał dotąd o Baltazarze jako o członku swej rodziny.

- No tak.

- Może jednak pewnego dnia zechce po prostu ci dorównać i wykorzysta swe talenty, zapominając o nagromadzonej w nim złości i goryczy.

- Wenecja tylko by na tym skorzystała. Ale najwyraźniej przeceniasz moje możliwości.

- Jesteś najdzielniejszym człowiekiem, jakiego znam - po wiedziała, delikatnie obwodząc palcem jego podbródek. - Chciałabym...

- Co ci się marzy? - nakrył jej dłoń swoją.

Pokręciła głową, w oszołomieniu zapominając, co miała na myśli. Dowiedziała się dzisiaj tak wiele... Nie rozumiała, dlaczego Ermano pragnął się z nią ożenić. Była ogromnie zmęczona intrygami, a przecież Wenecja na zawsze pozostanie ich wylegarnią. Pragnęła chwili spokoju, snu w ramionach Marca. Czekwała ich podróż i pełen niebezpieczeństw pobyt w mieście, jednak dzisiejsza noc należała do nich.

Pocałowała go w usta, chłonąc jego smak i zapach. Pragnęła go. Bardzo.

Na chwilę ogarnął ją strach, jednak udało jej się szybko go stłumić. Marc nie był Giovannim ani Ermanem, był jedyny, niepowtarzalny. Mogła sobie przy nim pozwolić na chwilę słabości, otworzyć przed nim serce. Był jej piratem, jej lwem, był jedyną miłością jej życia.

Przyciągnął ją do siebie i spróbował unieść suknię, by pieścić jej uda, po czym położył ją na plecach, zdjął spodnie i czule się do niej przytulił, opierając głowę na jej piersiach. Po chwili uniósł się na łokciach, by spojrzeć jej w twarz.

- Nie czujesz do mnie obrzydzenia? - zapytał chrapliwym szeptem. - Teraz, kiedy już wiesz, kim jestem?

Jak coś takiego mogło mu przyjść do głowy? - pomyślała. Był dla niej najpiękniejszym darem niebios. Nie potrafiła znaleźć słów, którymi mogłaby opisać głębię swych uczuć. Czy w ogóle istniały takie słowa?

- A czy ja nie budzę w tobie wstrętu? - zapytała przekornie. - Teraz, kiedy już wiesz, że pochodzę z rodziny francuskich czarownic, że rodzina męża się mnie wyrzekła? Czy chcesz poszukać diabelskiego piętna na moim ciele?

Prychnął gniewnie.

- Julietto! Nawet gdyby twoja matka była czarownicą, w co trudno mi uwierzyć, nawet gdyby była kochanką diabła, ty nią nie jesteś. Jesteś tylko sobą i odpowiadasz jedynie za swoje czyny.

- Podobnie jak ty - powiedziała to nieomal z krzykiem. Nie jesteś swoim ojcem ani ucieleśnieniem jego grzechów. Jesteś ich ofiarą, podobnie jak twoja matka. Jesteś Markiem, tylko Markiem.

Złączyli się w miłosnym uścisku.

- Dobrze. Dzisiaj jestem tylko Markiem, mężczyzną, który kocha Juliette.

Zamruczała rozkosznie i zamknęła oczy. Marc wyznał, że ją kocha! Tylko to się teraz liczyło.

- A ja jestem tylko Juliettą. Ale... - odepchnęła go delikatnie, gdy zaczął rozsznurowywać stanik jej sukni, by uwolnić piersi. - Czy jesteś pewien, że nie chcesz poszukać diabelskiego znaku na moim ciele? Musi gdzieś być.

Marc objął wargami brodawkę jej piersi.

- Kochasz mnie Julietto? - zapytał po chwili. - Dzisiaj?

- Zawsze będę cię kochać - odpowiedziała, czując, że nareszcie zostawia za sobą przeszłość, nieudane małżeństwo, okres wdowieństwa. - Zawsze.

Wszedł w nią, ledwie położyła się na poduszkach, i przyciągnęła go do siebie..

- Julietta - westchnął. - Julietta, *querida*.

- Marc. Mój wspaniały piracie - wyszeptła w odpowiedzi wsuwając palce w jego włosy i pieszcząc jego szyję i barki. Ta noc należała do nich i tylko do nich.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Po powrocie z willi Julietta ku swemu zdziwieniu zastała perfumerię zamkniętą, mimo że dochodziło południe. Inni właściciele sklepów przy placu dawno już otworzyli okiennice, wywiesili szyldy, co chwila otwierały się jakieś drzwi, a klienci wchodzili i wychodzili z koszami pełnymi sprawunków. Przychodzący po wodę do fontanny przystawali tam na chwilę, by pośmiać się i poplotkować.

W osłupieniu patrzyła na niebieskie drzwi swej perfumerii. Jak dotąd Bianca nigdy nie zawiodła Julietty, doskonale radząc sobie z prowadzeniem sklepu pod jej nieobecność. Czyżby zachorowała? A może Ermano znudził się już swą zabawą w kotka i myszkę i porwał służącą zamiast jej pani?

Ogarnięta trwogą, sięgnęła po klucz i otworzyła drzwi.

W sklepie panował wzorowy ład i porządek. Kontuar był wypolerowany do połysku, flakoniki i misy schludnie poustawiane na swych miejscach. Nie dostrzegła żadnych śladów włamania czy zniszczenia.

- Bianca? - zawołała, lecz nikt jej nie odpowiedział. Postawiła torbę podróżną na ladzie i wstąpiła na schody. W swej sypialni zastała schludnie zaścielone łóżko i suknię przewieszoną przez oparcie fotela, tak jak ją zostawiła przed wyjazdem. Łóżko polowe Bianki na korytarzu również było nienagannie zasłane.

Rozejrzała się dookoła, mając nadzieję, że znajdzie coś, co pozwoli jej domyślić się przyczyny nieobecności służącej. Bianca zawsze była lojalna wobec swej pani, pracowała tu od dawna, Julietta uważała ją niemal za przyjaciółkę. Coś się musiało stać.

Powróciła do sypialni, ostrożnie uchyliła okiennicę i zerknęła na plac. Nigdzie nie było widać Bianki. Dostrzegła jednak wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę w brązowym skórzanym kaftanie i wełnianym czepku naciągniętym na czoło, wyglądającego dziwnie na tle barwnego ludzkiego tłumu, zapelniającego plac. Stał w pobliżu łukowato sklepionej bramy, pozornie zajęty obcinaniem paznokci za pomocą ostrza sztyletu, jednak było aż nadto oczywiste, że obserwuje sklep Julietty.

Nawet urodziwa, roześmiana służąca w wiśniowej spódnicy, przechodząca obok, ani na chwilę nie przyciągnęła jego uwagi.

Ech, Ermano, nie mogłeś to wybrać lepszego szpiega - pomyślała Julietta w przychylnym wisielczego humoru. Zazwyczaj hrabia starannie dobierał sobie pomocników, jednak być może ten brak wyrafinowania był celowy, a Ermano chciał pokazać Julietcie, że jest osaczona.

Dumnie uniosła podbródek. Hrabiemu nie uda się jej pokonać. Miała swój własny plan. Postanowiła dać znudzonemu osiłkowi zajęcie, otwierając sklep. W obecnej sytuacji beczynność doprowadzała ją do szaleństwa.

Zdjęła płaszcz podróżny i sięgnęła po fartuch. Była ubrana w prostą wełnianą suknię, lecz nie miała teraz czasu, by się przebrać w swój czarno-biały strój. Klienci będą musieli się z tym jakoś pogodzić. Poza tym, jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, wkrótce nie będzie już musiała martwić się o swe interesy w Wenecji.

Otwierając sklepowe okiennice, usłyszała cichy brzęk szkła, dobiegający z zaplecza.

Kurczowo zacisnęła palce na zasuwie, ganiąc się w myślach za to, że nie przeszukała składziku. Popatrzywszy na zamknięte drzwi wiodące na zaplecze, w szczelinie nad progiem dostrzegła migocące światełko.

- Kto tam? - zawołała, chwytając sztylet.

W odpowiedzi rozległo się ciche szuranie. Julietta bezszelestnie podeszła do drzwi. Być może miała przywidzenia, jednak gotowa była przysiąc, że słyszy czyjś przyspieszony oddech. Przeniknął ją dreszcz.

Gwałtownie otworzyła drzwi i uniósłszy sztylet, zawołała:

- Wychodź, łotrze!

Bianca zasłoniła się ramieniem, wypuszczając przy tym z ręki torbę, która z brzękiem spadła na kamienną posadzkę.

- *Madonna*, to ja, Bianca!

Julietta opuściła rękę, jednak wciąż mocno ścisnęła rękojeść sztyletu. Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Bianca? co ty tu robisz, dlaczego nie odpowiadałaś na moje wołania?

Bianca zaszlochała, przykładając dłoń do warg. Nie miała na głowie czepka; czarne kędziory opadały spienioną kaskadą na jej ramiona. Ciężka brązowa peleryna okrywała suknię z różowym stanikiem i pasiastą spódnicą.

- N-nie słyszałam cię, pani - wybełkotała. - Myślałam, że jeszcze nie wróciłaś, że jesteś, pani, na wsi.

Julietta uznała, że to niemożliwe, by Bianca nie słyszała jej nadejścia. Drzwi oddzielające sklep od zaplecza nie były masywne i nie sposób było zza nich nie usłyszeć wchodzących do sklepu klientów. W pomieszczeniu panował nieopisany bałagan. Za jedną z półek z olejkami i tynkturami, odciągniętą teraz od ściany, leżał otwarty, pusty słoje. Na dnie znajdowało się jedynie kilka ziarenek jakiegoś proszku. Julietta nigdy dotąd nie widziała tego pojemnika.

- Co to jest? - zapytała cicho.

Bianca krzyknęła i rzuciła się do drzwi, lecz Julietta w porę mocno chwyciła ją za ramię. W porywie złości kopnęła leżącą na podłodze torbę, z której wypadły złote i srebrne monety i odłamki szkła z rozbitych buteleczek; wysypał się biały proszek. Julietta aż nazbyt dobrze знаła jego ostry, trawiasty zapach.

Wyczuła go we flakoniku po perfumach Cosimy Landucci w dniu śmierci jej męża.

Mocno trzymała szamoczącą się Biancę, by przejrzeć zawartość torby. Znajdowały się tam spękane buteleczki i flakony, kilka kartek papieru zapisanych dziecięcymi kulfonami, a także klejnoty, wśród których Julietta dostrzegła znajomą broszę z okazałym diamentem. Ostatnio widziała ją na kapeluszu Ermana Grattiano w dniu zaślubin z morzem.

A więc przedwcześnie posadziła Ermana o brak wyrafinowania. Okazał się także zdumiewająco cierpliwy. Starannie opracował swój szatański plan, posługując się Biancą, by osaczyć Juliettę i uwikłać ją w oskarżenia o truciicielstwo.

Dławiona złością, dźgnęła sztyletem jedną z leżących kartek i uniosła ją do oczu. Z trudem przedzierała się wzrokiem przez płatanię liter. Bianca czyniła powolne postępy w nauce czytania i pisania, choć jej nauczycielka, Julietta, nie szczędziła swego trudu. Kartka zawierała przepisy na wodę różaną i balsam lawendowo-

rozmarynowy. Na pozostałych kartkach były zapewne inne recepty, przekazane Julietcie przez babkę.

- Ty Zdrajczyń... - syknęła.

- Nie miałam zamiaru, pani, skrzywdzić, cię! - krzyknęła Bianca. - Chciałam tylko pomóc...

Służąca zaczęła się wić, starając się wyrwać z uścisku. Była krzepka, lecz wściekłość dodała Julietcie sił. Wyprostowawszy się, mocno potrząsnęła Bianką.

- Komu chciałaś pomóc? Naszym klientkom, które pragnęły pozbyć się swych mężów czy sobie?

- Nic nie rozumiesz, pani!

- W takim razie, proszę, wszystko mi wyjaśnij. Powiedz mi, jak doszło do tego, że korzystając z mojej dobroci i przyjaźni, sprzedałaś mnie Ermanowi Grattiano - powiedziała spokojnie Julietta. Biała jak ściana, patrząca na nią przerażonym wzrokiem, Bianca w niczym nie przypominała teraz Julietcie wesołej dziewczyny, z którą dzieliła dom. Choć od tak dawna pracowały codziennie ramię w ramię, służka wydała się jej nagle całkiem obcą osobą.

- Chodzi o mojego brata - załkała Bianca. - Został zwolniony z więzienia, ale jest słabego zdrowia. Ermano zmusił go do podjęcia pracy służącego w Palazzo Grattiano. Brat myśli o ucieczce i chciałby, żebym wróciła z nim do Konstantynopola. Pomyślałam, że mogłabym tam zarabiać na utrzymanie, otwierając perfumerię. To dlatego potrzebne mi były te recepty.

- Przecież bym ci je dała, gdybyś tylko mnie o to poprosiła - powiedziała Julietta, czując łzy napływające jej do oczu.

- Naprawdę, *madonna*? - spytała z powątpiewaniem Bianca.

- Oczywiście. - Pomyślała w tej chwili, że nie przekazałaby jednak Biance wszystkich swoich przepisów.

- I dałabyś nam, pani, pieniądze na powrót do domu, na jedzenie i wynajem pomieszczenia? - Błyszczący wzrok Bianki przygasł, okrągła twarzyczka była ściągnięta w wyrazie smutku. Służąca stała teraz spokojnie, jakby uleciały z niej wszystkie siły.

- Dałabym ci, co tylko bym mogła - powiedziała Julietta.

- Potrzebowałam dużo więcej. Pieniądzy na doktora dla brata i na taki sklep, który odwiedzaliby najzamożniejsi mieszkańcy miasta. - Dotknęła torby stopą. - Hrabia zaoferował mi wielkie bogactwa! Mogłabym rozpocząć nowe, wspaniałe życie, pomóc rodzinie. Proponował mi tak wiele jedynie za to, żebym mówiła mu, co pani robi. Prowadziłaś, pani takie spokojne życie, *madonna*, że wydawało mi się, iż nigdy nie będzie w stanie użyć otrzymanych ode mnie wiadomości przeciwko pani.

- Zlecał ci śledzenie mnie... i morderstwa. Czy to on przysłał do ciebie Cosimę Landucci i te inne kobiety?

Bianca potrząsnęła głową.

- Nie wiem, dlaczego do mnie przychodziły. Po prostu pytały mnie o różne rzeczy po tym, jak pomagałaś im, pani, leczyć obrażenia zadane im przez... niezadowolonych mężów. Ci mężowie byli naprawdę okrutni. Chciałam tylko biedaczkom pomóc! Myślałam, że na moim miejscu zrobiłaby pani to samo, po tym... po tym, jak nagle umarł twój mąż, pani.

Julietta nie była już teraz niczego pewna. Kręciło jej się w głowie.

- Cieszyłaś się z tego, że hojnie cię wynagradzają, a przy tym Ermano był zadowolony...

- To nie tak - powiedziała Bianca, zanosząc się szlochem.

- W takim razie dlaczego próbowałaś uciec?

- Miałam już dość hrabiego i tego wstrętnego, cuchnącego miasta. Czuję, że lada dzień wydarzy się coś strasznego. Widziałam dziś rano mężczyznę obserwującego sklep... często przychodził tu po moje wiadomości. Mój brat jest już w stanie odbyć podróż, więc musimy uciekać. - Bianca uniosła ku Julietcie swą zalaną łzami twarz. - Ty też powinnaś uciec, *madonna*.

- Już za późno, Bianco! Wprowadziłaś w ruch maszynę, której nie da się zatrzymać. Twarz Bianki stężała.

- Zapewne nie uwierzysz mi, pani, ale jest mi z tego powodu naprawdę przykro. Jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, *madonna*. Chętnie bym ci, pani, pomogła, ale nie mam takiej możliwości. - Niespodziewanie z całej siły kopnęła Juliettę w kolano swą obutą nogą, wyrwała się z uścisku i wybiegła ze sklepu.

Julietta mogła puścić się w pogoń za służącą i bez trudu ją złapać. Była jednak na to zbyt przygnębiona, a poza tym nie chciała wciągać Bianki w ponury dramat, który wkrótce miał się rozegrać. Jej służka robiła to, co uważała za najlepsze dla siebie i dla swojej rodziny.

Miała nawet nadzieję, że Biance uda się uciec i otworzyć swój wymarzony sklep przy jakimś tętniącym życiem suku w Konstantynopolu.

Nie była w stanie dłużej się nad tym zastanawiać. Miała zbyt ważne sprawy na głowie i niewiele czasu.

Rozdział dwudziesty drugi

Złocistopomarańczowy blask zachodzącego słońca stanowił piękną oprawę przygotowań do zbliżającego się balu u doży.

Julietta stała w swej sypialni, ubrana w kostium Cyganki; czerwoną, ozdobioną piętami fałdzistych wstążek spódnicę i obcisły czarny gorset na białej koszuli z rękawami, pod którą wsunęła niewielki woreczek. Bez trudu włożyła ten strój bez pomocy służącej. Czuła się w nim nieco dziwnie, przyzwyczajona do swego czarno-białego ubrania. Rozpuściła włosy i przystroiła je różnobarwnymi wstążkami. Pozostało już tylko włożyć czerwoną maskę i udać się do Pałacu Dożów.

Musiała jednak poczekać z tym do zmroku. Marc miał po nią przyjść dopiero po zapadnięciu ciemności. Teraz była sama ze swymi myślami i lękami.

Przysiadła na krawędzi łóżka i oparła stopy w czerwonych pantofelkach o kufer, który starannie spakowała tego ranka. Znajdowały się w nim wszystkie książki matki, owinięte w płócienne koszulki, parę sukien i kilka flakoników z ulubionymi perfumami. Mogła ze sobą zabrać tylko tak niewielką część swego życia w Wenecji.

Nie wiedziała, co przyniosą jej najbliższe dni.

Nie starała się nawet sobie tego wyobrazić. Cokolwiek by się miało zdarzyć, ten rozdział jej życia był już zamknięty. Jej czas w Wenecji dobiegał kresu wraz z pięknym zachodem słońca.

Wyciągnęła rękę, patrząc, jak promienie słońca odbijają się w rubinowym oczku pierścionka. Ten pierścionek związał ją z Markiem silniej niż ślub, ich losy splotły się z sobą na zawsze. Obok lśnił drugi, niedawno kupiony szmaragdowy pierścień z grubą złotą obrączką i ukrytym schowkiem na truciznę. O takich pierścieniach dowiedziała się kiedyś od swej babki.

- Och, mam - wyszeptała - jeśli mam w sobie choć cząstkę twojej mocy, pomóż mi ją teraz odnaleźć. Chwytam się każdego skrawka nadziei.

Jednak matka nie dała jej żadnego znaku. Julietta zrozumiała, że jest sama. Wspierała głowę o stos starannie ułożonych poduszek. Zamknęła oczy i zapadła w niespokojny sen.

- Julietta? Julietta, *querida*, obudź się.

- Mmm - mruknęła, próbując odtrącić rękę trzymającą ją za ramię.

- Robi się późno. *Andiamo!* Idziemy!

Ktoś pociągnął ją za rękę i otoczył ramionami.

Niechętnie otworzyła oczy, by zaraz zmrużyć powieki oślepione światłem świec. Miała wrażenie, że wciąż śpi. Nagle przypomniała sobie o balu.

Natychmiast się wyprostowała i popatrzyła na tulącego ją mężczyznę. Marc! Serce radośnie podskoczyło jej w piersi. Miała wrażenie, że nie widzieli się całe lata.

Marc również miał na sobie cygański kostium - czarne obcisłe spodnie, haftowaną kamizelkę na ozdobionej koronką białej koszuli i czerwoną szarfę. Włosy luźno opadały mu na ramiona; zamiast kolczyka z perłą w uchu lśniło małe złote kółko. Jedyne jego poważny, zatroskany wzrok nie pasował do tego wesołego stroju.

Chwyciła ukochanego za ramiona.

- Która godzina? Spóźnimy się...

- Nie, nie - zapewnił. - Przyszedłem wcześniej. Mamy dużo czasu.

- *Va bene*, to dobrze. - Julietta dotknęła włosów, z przerażeniem stwierdzając, że wstążki się splątały. Zajęła się poprawianiem uczesania. Ta prosta czynność przynosiła jej ulgę, pomagała wrócić do rzeczywistości. - Jak widzisz, wszystko już przygotowałam. - Wskazała zapakowany kufer i uprzątnięty pokój.

- Czy ty w ogóle spałaś w nocy, Julietto? - zapytał łagodnie. Odsunął jej dłonie i zajął się zawiązywaniem wstążek. Wykazywał się przy tym dużą zręcznością, jednak

dotyk jego palców wcale nie działał na Juliettę kojąco. Przeniknął ją rozkoszny dreszcz, pochyliła się ku Marcowi jak słońce ku słońcu. Od tak wielu godzin nie słyszała jego głosu, nie mogła rozkoszować się jego dotykiem i smakiem. Starła się prowadzić sklep, jakby nic się nie wydarzyło, jednak nieustannie myślała o Marcu, zastanawiała się, co teraz robi jej ukochany, marzyła o jego pieszczotach i czułych słówkach.

- Pytasz, czy spałam? Nie mogłam zasnąć po ucieczce Bianki.

- Twoja służąca uciekła? Dlaczego?

Uświadomiła sobie, że Marc nic o tym nie wie. Przez ostatnie dwa dni porozumiewali się jedynie za pomocą krótkich liścików przekazywanych przez Kolombinę Nicolaia. Trudno było w nich opisać wyznania Bianki.

Przytuliła się do Marca i opowiedziała mu o wszystkim.

- A więc twoja służąca była szpiegiem Ermana.

- Tak - ucieła Julietta. Nie chciała powracać już do tej sprawy, wstydząc się swej naiwności.

- Myślisz, że Ermano płacił jej, żeby sprzedawała truciznę? Mówił, komu ma ją dać? - nie ustępował Marc.

Ściągnęła brwi. Nie zastanawiała się dotąd nad takimi szczegółami.

- To możliwe. Na pewno płacił jej za wiadomości na mój temat, tak jak zamierzał płacić tobie, a jej, hmm, klientki bez wątpienia sownie wynagradzały ją za pomoc. Ale to wszystko nie ma teraz żadnego znaczenia. Bianca uciekła; Nie będzie już miała żadnych wiadomości o mnie i z pewnością nie dostanie też żadnych pieniędzy od Ermana.

- Będzie miała szczęście, jeśli nie zostanie pchnięta sztyletem na jego polecenie

- mruknął Marc. - Przykro mi, że musiałaś tyle wycierpieć, *querida*.

- Mniejsza o to. Było, minęło. Teraz musimy myśleć o przyszłości. - Julietta zarzuciła Marcowi ręce na szyję i popatrzyła na niego, przepelniona miłością, zapominając o zdradzie Bianki i swych lękach.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Wszystko gotowe? - zapytała. Kiwnął głową.

- Nicolai i jego aktorzy już na nas czekają. Przygryzła wargę.

- Czy czujesz się teraz tak, jak przed walką z piratami? Uśmiechnął się krzywo.

- To, co nas czeka, jest gorsze, *querida*. Piraci ucziwie napadają cię na morzu.

Widzisz ich działa, ich szable. Tutaj mamy do czynienia z ludźmi chowającymi swą broń za jedwabiami i nienagannymi manierami. - Uniósł swą czarną maskę z czerwonymi tasiemkami. - I za tym. Julietta pocałowała go w usta.

- Nie martw się, mój lwie. Z pewnością zobaczymy ich broń, zanim ta noc dobiegnie końca... i odpowiemy im naszą.

Rzęsiście oświetlony Pałac Dożów wyłaniał się z nocnej mgły okrywającej miasto, gotowy na przyjęcie fantazyjnie ubranych gości.

Julietta i Marc przystanęli nieopodal Bazyliki Świętego Marka. Z wnętrza pałacu dobiegały tęskne dźwięki muzyki, mieszające się z pobrzękiwaniem dzwoneczków na kostiumach, szmerem rozmów i wybuchami śmiechu.

Uczepiona ramienia Marca Julietta uniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy, błyszczące w otworach maski. Uśmiechnął się do niej, jakby na przekór myślom, skupionym wokół walki, którą mieli stoczyć tej nocy, najważniejszej bitwy w ich życiu.

- Może już tam wejdziemy? - zaproponował.

Julietta kiwnęła głową. Marc pociągnął ją za sobą w gęsty tłum podążających ku wejściu do pałacu. Owionął ją zapach drogich pachnideł, otoczyła feeria barw: czerwieni, błękitu, zieleni, złota i srebra, zmieszanych jak w witrażu.

Pomału wstąpili na marmurowe schody, minęli ogromne posągi Marsa i Neptuna oraz zastygłych w bezruchu uzbrojonych strażników w błyszczących białych strojach.

Dotarli do wielkiej sali balowej. Słynna komnata była teraz wypełniona kolorowym ludzkim tłumem, lecz w zwykły dzień przytłaczała swym ogromem, zdawała się nie mieć końca. Wysokie, łukowato sklepione sufity i ściany sali ozdobione były freskami, przedstawiającymi sceny z Olimpu.

Zwiewne nimfy krążące wśród fontann i kolumn wydawały się tańczyć w takt melodii granych przez ziemskich muzyków, skrytych za złożonym parawanem. Salę obficie udekorowano zielenią i srebrzystymi wstążkami. Można było odnieść wrażenie, że bal odbywa się w zaczarowanym lesie.

Wysoko nad głowami zebranych akrobaci wykonywali niezwykle wymyślne skoki i figury na linach. Kobieta w krótkiej, ozdobionej cekinami sukience, z błyszczącymi skrzydełkami, kołysała się na trapezie, podobna do barwnego motyla.

Tańczono powolną, majestatyczną pawanę. Mimo że noc była chłodna, w sali było duszno i gorąco. Julietta i Marc postanowili przedostać się w pobliże wejścia, by trochę ochłonać, jednak trudno im było przedrzeć się przez ludzką gęstwiny.

Julietta wyciągała szyję, starając się wypatrzeć znajomych. Nie dostrzegła wysokiej, szczupłej sylwetki Nicolaia ani jego uroczej Kolombiny. W odległym końcu sali, na umieszczonym na podwyższeniu fotelu, przypominającym tron, siedział doża w okazałej biało-złotej szacie. Towarzyszyli mu ubrani na czarno doradcy. Dla patrzących z oddali wyraziste rysy twarzy doży i jego biała broda zlewały się w jedno, wszyscy mogli jednak podziwiać blask jego czapki ze złotego brokatu. Doża trzymał w dłoniach prostą drewnianą szkatułkę.

Marc wziął dwa kielichy wina od przechodzącego sługi. Julietta wypła łyk. Słodki płyn podziałał na nią kojąco.

- Kiedy to nastąpi? - zapytała szeptem.

- Musisz uzbroić się w cierpliwość, *querida*... musimy czekać na znak Nicolaia. Chodź, zatańczymy.

- Masz ochotę na tańce? - Miała wrażenie, że w zdenerwowaniu nie będzie w stanie przypomnieć sobie kroków.

Marc dopił wino.

- Musimy znaleźć się bliżej podwyższenia, żeby doża i jego doradcy wszystko dobrze widzieli.

Odpowiedziała mu uśmiechem bez wesołości i oddała swój pusty kielich słudze.

- Masz rację. Na co tyle starań, jeżeli pozostaniemy niezauważeni?

Mijali roześmianych uczestników balu, zachowujących się coraz głośniejszo i swobodniej. Wino i muzyka działały cuda. Po pawanie przyszła kolej na żywą galiardę.

- Nie widzę Ermana - wyszeptała Julietta.

- Jestem pewien, że czai się gdzieś niedaleko - odpowiedział Marc. - Z pewnością czeka na swoje wielkie wejście.

Objął ją w pasie i rozpoczął taniec. Julietta ze zdumieniem stwierdziła, że doskonale pamięta kroki. Podskakiwała i obracała się w rytm muzyki, chwytając się ramienia Marca przy wysokich podnoszeniach. Dlaczego jednak nigdzie nie było widać Ermana? Czyżby nie chciał być świadkiem dramatu, którego role rozpiisał sam? Wiedziała, że to niemożliwe.

Gdy znaleźli się w pobliżu podium, u boku doży pojawił się Ermano, ubrany w czarną szatę, spod której wylaniał się biały atlasowy wams, bogato zdobiony klejnotami i srebrnymi naszyciami. Kiedy wyszeptał coś do ucha doży, Andrea Gritti pogładził sękatą dłonią swą szkatułkę. Co może się w niej znajdować, zastanawiała się Julietta. Szkatułka wydawała się dziwnie nie pasować do pałacowego przepychu. Co miało się za chwilę wydarzyć? Julietta czuła narastające w niej napięcie.

Marc okręcił ją tak, że znaleźli się jeszcze bliżej podwyższenia. W pewnej chwili spadł na nich deszcz błyszczącego konfetti, rozrzuconego przez kobietę na trapezie. Julietta uniosła wzrok i rozpoznała sercowatą twarzyczkę Kolombiny Nicolaia, osłoniętą różowo-niebieską maską w kształcie motyla.

- Teraz! - powiedział Marc, potrząsając rękawem. Szybko przycisnęła dłoń do woreczka ukrytego pod koszulą. Czy ten woreczek ją uratuje?

- Krzycz - wyszeptał gniewnie, potrząsając nią i chwytając ją za włosy.

Julietta krzyknęła przeraźliwie i z całej siły uderzyła Marca w twarz.

- *Bastardo!* - Zawołała. - Nie znam tego mężczyzny i nigdy go nie całowałam!

- Wstrętna kłamczucha! Widziałem cię z nim w gondoli! Jak mogłaś mi zrobić coś takiego po tym wszystkim, co ci dałem?! Niewdzięczna *puta!*

Julietta usiłowała go kopnąć, jednak zaplątała się w fałdy spódnicy. Marc mocno szarpnął ją za włosy, z jego rękawa wysunął się sztylet. Stojący w pobliżu zamilkli i z rosnącym podnieceniem śledzili rozgrywającą się na ich oczach scenę.

Julietta pomyślała, że powinna zapomnieć o prowadzeniu perfumerii, a Marc - o swych statkach. Okazali się urodzonymi aktorami.

- Nienawidzę cię - zaszlochała.

Marc chwycił sztylet. Przygotowała się na cios, który miał przeszyć sakiewkę z krwią świni. Potem upadnie na podłogę, a Nicolai i jego aktorzy w przebraniu żałobników wyniosą ją z pałacu, a jeszcze potem... Czy ich plan ma szansę powodzenia?

Sztylet wbił się w woreczek z krwią. Julietta nie musiała udawać krzyku; widok krwi zaszokował ją i wzbudził jej głębokie obrzydzenie, a pchnięcie sztyletem było tak silne, że z pewnością będzie miała siniak na brzuchu. Osunęła się na posadzkę. Wokół niej rozpętało się istne pandemonium. Rozległy się krzyki, piski. Uczestnicy zabawy rzucili się do wyjścia. Wspaniały bal okazał się krwawą łaźnią.

Julietta zamknęła oczy, starając się oddychać niemal niedostrzegalnie, tak jak nauczył ją tego Nicolai.

- Morderca! - Usłyszała krzyk Ermana. - Podły zdrajca! Łapcie go!

Rozległ się szcęk broni. Strażnicy rzucili się w stronę Marca. Poruszenie panujące na podium kazało jej się domyślić, że doża i jego doradcy nie pozostali obojętni na to, co się stało. Za chwilę Nicolai i jego aktorzy pojawią się na sali, by wynieść ją w trumnie. Cała Wenecja uzna ją za zmarłą. Następnie, posługując się akrobatycznymi linami, komedianci uwolnią Marca i pierwszego oficera, a potem wszyscy uciekną z Wenecji. Już za chwilę...

Miała ochotę zerwać się na nogi i czmychnąć z sali, a przynajmniej otworzyć oczy, by zobaczyć, co się dzieje.

Usłyszała, jak Ermano zeskakuje z podium i wymierza potężny cios w brzuch Marca. Marc gwałtownie zaczerpnął tchu i wpadł w objęcia strażników. Ermano krzyknął:

- Za to wszystko, co dała ci Wenecja, odpłacasz się nam morderstwem w Pałacu Dożów? Straż! Zaprowadźcie go do więzienia!

Julietta stężała, gotowa rzucić się Marcowi na pomoc, użyć pierścienia z trucizną. Szybciej, Nicolai, szybciej, myślała. Nie mogąc znieść przedłużających się chwil niepewności, nieznacznie uniosła powieki.

Marc rzucił się w przód, próbując się wyrwać z uścisku strażnika, lecz jego trud był daremny. Ermano zdążył już zauważyć uniesione powieki Julietty. Rozdziawił usta, a w jego zielonych oczach pojawił się strach.

- Jesteś czarownicą - powiedział, ogarnięty zabobonnym lękiem. - Potrafisz powstać z martwych.

- Nie... - jęknęła Julietta.

Ermano chwycił ją za ramię i mocno szarpnął, zmuszając do wstania. Krzyknęła, czując swą bezsilność. Wykonawszy gwałtowny obrót, zadrapała dłoń Ermana szmaragdowym pierścieniem z trucizną.

Hrabia ze zdziwieniem popatrzył na skaleczenie i drobinki białego proszku.

- Wkrótce cały świat dowie się o twoich ciemnych sprawkach, Ermano - powiedziała złowróżbnym szeptem Julietta. - Ale obawiam się, że nie będzie cię już wtedy na świecie. Zrobiłeś ze mnie morderczynię.

Ermano wykręcił jej rękę i zobaczył pierścień z dziwnie przesuniętym szmaragdem; znajdujący się pod nim niewielki pojemnik był pusty.

- Trucizna - wyszeptał. Krew w jednej chwili całkiem odpłynęła mu z twarzy.

- Umieram... Nie! Ocaliłaś siebie, czarownico, więc teraz uratujesz mnie. Dasz mi antidotum - powiedział chrapliwie, potrząsając nią tak silnie, że aż krzyknęła z bólu.

Zaczęła się szamotać, jednak nie była w stanie wyrwać się z żelaznego uścisku jego ręki. Powłókł ją za sobą przez pustą salę w stronę sekretnych, uchylonych teraz drzwi w pokrytej freskami ścianie.

- Zatrzymajcie tę kobietę! - krzyknął doza, jednak Ermano zdążył już zaryglować drzwi przed strażnikami. Sala całkiem opustoszała. Na marmurowej posadzce widniała tylko krwawa smuga.

- Puść mnie! - Krzyczała Julietta, szarpiąc hrabiego za włosy i kopiąc go w nogi. Gotowa była na wszystko, byle tylko uwolnić się od tego szaleńca, wiodącego ją ku zatraceniu. Pomyślawszy o Marcu, o tym, ile dla niej wycierpiał, walczyła z jeszcze większą zaciekłością.

- Dość! - ryknął Ermano. - Nie mogę spokojnie myśleć. Rozległo się głucho uderzenie, poczuła ostry ból z tyłu głowy i zapadła się w czarną otchłań.

- Musimy ich ścigać! - krzyknął Marc, usiłując się wyrwać strażnikom, lecz odpowiedzią był jedynie mocniejszy uścisk ich rąk. Trzeba ich było aż czterech, by sobie z nim poradzić.

Po ucieczce Ermana z Juliettą doża i doradcy przeszli do niewielkiej sali bez okien. Doża rozkazał, by wprowadzono Marca. Nicolai i jego aktorzy chcieli mu towarzyszyć, jednak zatrzaśnięto im okute żelazem drzwi przed nosem.

Marc chciał natychmiast rzucić się w pogoń za Ermanem, ratować Juliettę. Liczyła się każda chwila, tymczasem otaczający go mężczyźni zachowywali spokój i obojętność. Doża przyglądał się Marcowi z chłodnym, ironicznym uśmiechem, jakby w swym długim życiu widział wiele scen dużo okrutniejszych niż ta, która rozegrała się przed nim w sali przed kilkoma minutami.

- Proszę się uspokoić, *signor* Velazquez - powiedział, zajmując miejsce w fotelu. Wciąż trzymał w dłoniach niewielką drewnianą szkatułkę. - Wkrótce odnajdziemy *signorę* Bassano.

- Wasza Ekscelencjo, błagam... - wydyszał Marc. - Zanim zostanę wtrącony do więzienia, proszę pozwolić mi ją odszukać. Jeśli Wasza Ekscelencja pozwoli mi uratować Juliettę, z radością dam się wtrącić do najciemniejszego lochu... Doża roześmiał się.

- *Signor* Velazquez! Kto powiedział, że masz, panie, trafić do więzienia? Marc w zdumieniu uniósł brwi.

- Wasza Ekscelencja. Przecież tak właśnie miała się zakończyć ta noc.

Andrea Gritti pokręcił głową; rozbłysła jego czapka z długimi brzegami, zakończona z tyłu rogiem, oznaka władzy.

- Od kilku lat jestem dożą, naczelnikiem Republiki Weneckiej. Wcześniej byłem żołnierzem i znam się na broni i sposobach prowadzenia wojen. Niestety, nie znam się na ludziach tak, jak należałoby tego wymagać od doży. - Poklepał swą szkatułkę. - Zdarzało mi się słuchać rad, które okazywały się... błędne, a czasami nawet niebezpieczne.

Marc z trudem ukrywał zniecierpliwienie. Na cóż mogła zdać się ta rozmowa? Ważne było tylko to, że Julietta znalazła się w szponach Ermana i przepadła jak kamień w wodę.

- Wasza Ekscelencjo...

- Rozumiem twoje zniecierpliwienie, panie, niemniej jednak proszę mnie wysłuchać. Niedawno przybył tu Baltazar Grattiano, nalegając na audiencję. Przekazał

mi niezmiernie ważne wiadomości. - Doża uniósł wieko szkatułki, zawierającej, jak się okazało, plik listów opatrzonych ciemnozieloną pieczęcią Grattiana. - Baltazar przekazał mi te listy, wymieniane między jego ojcem a innym doradcą, niegodnym swego urzędu. Młody Grattiano oddał mi nieocenioną przysługę - ciągnął doża. - Powiedział mi również o rozmowie, którą podsłuchał w domu. Jego ojciec i ów doradca zamierzali oskarżyć *signorę* Bassano o trucicielstwo i doprowadzić przy tym do zguby również i ciebie, *signor* Velazquez. Żądza zysku skłoniła ich do działań na szkodę Republiki. To godne ubolewania.

Dotknął podbródka złączonymi palcami i uważnie przyjrzał się Marcowi.

- Rozkazałem bezzwłocznie wysłać do ciebie, panie, wiadomość, unieważniającą poprzednie pismo ze zleceniem. Jestem teraz pewien, że go nie otrzymałeś.

Marc pokręcił głową.

- Nie, Wasza Ekscelencjo. To dlatego postanowiliśmy upozorować morderstwo.

- No tak. - Andrea Gritti nie wydawał się tym zaskoczony. Bez wątpienia jako doża niemal codziennie stykał się z trudniejszymi problemami.

- To, że list do ciebie, panie, nie dotarł, jest bez wątpienia sprawką Ermana. Ma swoich szpiegów wszędzie... a raczej miał. *Signor* Velazquez jest wolny. W imieniu Republiki przekazuję ci, panie, wyrazy ubolewania. Mam nadzieję, że odnajdziesz wybrankę swego serca całą i zdrową. My zajmiemy się Grattiana. Uzurpował sobie prawo do władzy, jaką ma jedynie doża. Jego los jest przesądzony.

Marc szybko skłonił się przed dożą i niemal wybiegł z sali. Miał serdecznie dość spraw możliwych tego świata, labiryntu kłamstw, zdrad, zemsty. Był tak pochłonięty myślami o Julietcie, że nie zauważył idących za nim Nicolaia i Baltazara Grattiano.

Musi ją odnaleźć, zanim będzie za późno.

Rozdział dwudziesty trzeci

Julietta powoli odzyskiwała przytomność. Miała wrażenie, że wynurza się z głębi ciemnego oceanu. Marzyła o tym, by znów zapaść się w niebyt, jednak coś, jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że musi walczyć.

Przypomniała sobie twarz Marca i jego błyszczące, niebieskie oczy. Musiała przeżyć ze względu na niego, dla niego!

Jęknęła. Bolały ją wszystkie mięśnie, czuła szum w głowie. Rozpaczliwie starała przypomnieć sobie, co się stało.

Ostrożnie przewróciła się na bok. Leżała na łóżku, na wytartej aksamitnej kapie. Naprzeciw niej znajdowało się okno z uchyloną okiennicą. Mdłe słoneczne światło dowodziło, że jest już popołudnie. Jednak jaki to był dzień?

Przyłożyła dłoń do czoła, głęboko wciągając powietrze. Powoli usiadła i oparła się o rzeźbione wezłowie łoża. Popatrzyła na fotel stojący przy kominku, komodę...

No tak! Znajdowała się w swej wiejskiej posiadłości, w swej sypialni. Była jednak w pokoju sama, choć jeszcze tak niedawno całowała się na tym łóżku z Markiem.

Powróciły do niej bolesne obrazy z przeszłości, sceny z balu, gdzie początkowo wszystko układało się po ich myśli, a potem w jednej chwili ponieśli klęskę. Oczami wyobraźni zobaczyła gości, biegnących ku drzwiom sali. Miała wrażenie, że wciąż słyszy ich krzyki, szloch. Następna scena: pierścień, krew na dłoni Ermana. I Marc trzymany przez strażników.

Przyłożyła dłoń do warg, by stłumić krzyk. Zdała sobie sprawę ze swego położenia. Pamiętała nieludzką siłę uścisku Ermana, jego szalony wzrok. Wyprowadził ją z pałacu sekretnym wyjściem, kneblując jej dla pewności usta jedwabną szarfą. Zresztą i tak nikt nie usłyszałby jej krzyku wśród kakofonii dźwięków panującej na placu.

Dotknęła potężnego guza z tyłu głowy. Przypomniała sobie swe zmagania z Ermanem i cios w głowę zadany pięścią.

Okazało się, że po tym, jak straciła przytomność, przywiózł ją do jej willi, położonej z dala od miasta.

Z trudem uniosła się na łokciach. Nie mogła biernie czekać na to, co zrobi Ermano. Musiała działać.

Zwiesiła nogi i dotknęła podłogi stopami. Jej buty gdzieś zniknęły, miała na nogach tylko brudne pończochy. Jej kostium znajdował się w pożałowania godnym stanie, był pognieciony, rozdarty w kilku miejscach, spódnicę szpeciła wyschnięta plama świńskiej krwi. Mimo wszystko cieszyło ją, że w ogóle ma na sobie ubranie, nie też nie wskazywało na to, by Ermano usiłował ją posiąść, gdy była nieprzytomna.

Chwyciła się wezglowia łóżka i powoli wstała, chwiejąc się jak trzcina na wietrze. Pokój tańczył jej przed oczami. Nie przypuszczała, że cios Ermana odbierze jej aż tak wiele sił. Przydałby jej się teraz uzdrawiający napój przyrządzany przez babkę.

Gdy uczucie wirowania ustało, postąpiła parę kroków. W pokoju było zimno, lecz chłód działał orzeźwiająco.

Powoli podeszła do okna i szerzej uchyliła okiennicę. Nie chciała, by Ermano, albo któryś z jego sługusów zobaczył, że odzyskała przytomność. W ogrodzie nie było jednak nikogo. Wokół panowała cisza, nie śpiewał nawet żaden ptak. Ogromna bladoróżowa kula słońca wisiała tuż nad linią horyzontu. Niedługo zapadnie zmierzch.

Gdzie podziewali się Paolo i Rosa? Julietta miała nadzieję, że Ermano zmusił ich jedynie do opuszczenia domu, że nie spotkał ich smutny koniec, jaki zapewne był jej pisany.

Poczuła silny skurcz żołądka. W porę dokuśtykała do miski, by zwymiotować. Gdy ustały mdłości, przygaśł ból i uczucie rozdrażnienia. Zobaczyła, że na komodzie wciąż stoi dzban z winem, które pili z Markiem. Pociągnęła kilka łyków dla przepłukania gardła. Odczuwała głód, jednak nigdzie nie dostrzegła jedzenia. Żałowała, że nie miała zwyczaju trzymania w komodzie chleba ani jabłek.

Zaśmiała się w duchu. Skąd mogła wiedzieć, że zostanie tu osaczona przez szaleńca? Nawet w tej chwili cała sytuacja wydawała jej się absurdalna. Od dawna wiedziała, że Ermano jest skupiony wyłącznie na zaspokajaniu własnych potrzeb,

zepsuty władzą, że nie znosi sprzeciwu. Któż by jednak przypuszczał, że posunie się aż tak daleko?

Dopłała wino i otworzyła komodę. Nie było w niej niczego, w co mogłaby się przebrać; znalazła jednak pogryzioną przez mole chustę, którą natychmiast zarzuciła sobie na ramiona, i znoszone skórzane pantofelki. Cieszyło ją, że nie będzie musiała paradować po domu niemal boso. Związała włosy wstążką oddartą od spódnicy i poczuła, że nareszcie zaczyna wyglądać jak człowiek. Czy jednak znajdzie w sobie dość sił, żeby się stąd wyrwać? Podeszła do drzwi i chciała je otworzyć.

Tak jak się tego spodziewała, drzwi były zamknięte na klucz. Nie ustąpiły, mimo że kilka razy poruszyła gałką. Podeszła do okna. Było stanowczo zbyt wysoko, by mogła z niego skoczyć, pomyślała jednak, że mogłaby sporządzić prowizoryczną linę i opuścić się na ziemię.

Popatrzyła na znajdujące się w dole ścieżki. Nawet jeśli uda jej się wydostać z domu, Ermano zacznie jej szukać. Ile czasu może minąć, zanim zorientuje się, że Julietta uciekła? A jak dawno temu wyszli z sali w Pałacu Dożów? Zapewne leżała zamknięta w tym pokoju od dobrych kilku godzin.

Postanowiła spróbować. Nie wyobrażała sobie pozostawania pod jednym dachem z szaleńcem. Była pewna, że jeśli Marc żyje i przebywa na wolności, poruszy niebo i ziemię, by ją odnaleźć, jednak ustalenie miejsca jej pobytu zajmie mu wiele dni. Najprawdopodobniej jednak przebywał obecnie w więzieniu, a może nawet...

Wolała o tym nie myśleć. Szybko uczyniła znak krzyża. Marc z pewnością żyje. Byli sobie zbyt bliscy, by nie wyczuła, że przytrafiło mu się coś złego.

- Przyjdzie tu po mnie - powiedziała szeptem. Była tego tak pewna jak i tego, że za chwilę zapadnie ciemność. Nie mogła jednak czekać na Marca jak księżniczka zamknięta w zamkowej wieży. Musiała się stąd wydostać, odnaleźć ukochanego, może nawet pomóc mu i potem uciec razem z nim.

Należało działać szybko.

Podeszła do łóżka i zaczęła rozdzierać prześcieradła o ostry róg komody. Potem skręcała je w linę. Pracowała wytrwale, mimo że ze zmęczenia drżały jej ręce. Ściemniało się; miała niewiele czasu.

Gdy kończyła wiązać linę, dobiegł ją dźwięk, którego najbardziej się obawiała - zgrzytanie klucza w zamku. Była tak pochłonięta swą pracą, że nie usłyszała kroków w korytarzu. Szybko schowała linę i kawałki prześcieradeł do komody i opadła na łóżko.

Może to tylko Rosa z jedzeniem, myślała. A może...

Niestety, w progu stanął Ermano ze świecznikiem w ręku. W migotliwym świetle wyglądał jak potępieniec z dantejskiego piekła. Jego szpakowate włosy były rozczochrane, szarą skórę perlił pot. Ozdobiony klejnotami atlasowy wams był poplamiony i rozdarty, podobnie jak jej kostium Cyganki. Ermano po raz pierwszy wyglądał na swój wiek, przywodził na myśl starego lwa.

Dostrzegła pokryte zakrzepłą krwią śmiertelne skaleczenie na jego dłoni.

- A więc już się obudziłaś - powiedział kpiąco. Nie postąpił ani kroku w jej stronę, przyglądał się jej płonącym wzrokiem. Niespodziewanie się zachwiał i musiał się chwycić framugi.

Trudno było uwierzyć w to, że ten odrażający człowiek jest ojcem Marca.

- Owszem, i jestem bardzo głodna - powiedziała Julietta, siląc się na spokój. Nie zmierzała dać się onieśmielić. - Gdzie są moi służący?

- Jesteśmy tu sami, *bella* Julietta - odpowiedział. Powoli wszedł do wnętrza i postawił świecznik na kominku. Blask płonących świec mieszał się z promieniami zachodzącego słońca, wypełniając sypialnię pomarańczowym światłem. Pokój wydawał się teraz Julietcie zupełnie inny niż podczas nocy spędzonej z Markiem. Miała wrażenie, że wszystko jest sennym koszmarem.

Ermano przeczesał palcami włosy.

- Och, Julietto - powiedział. - Dlaczego mnie do tego zmusiłaś? Czemu doprowadziłaś nas do tego stanu? Pragnąłem dać ci wszystko... bogactwo, klejnoty, pozycję należną matce moich dzieci. Kobieta stawiająca mi tarota powiedziała, że takie jest nasze przeznaczenie. Dlaczego wszystko zepsułaś?

Julietta zacisnęła zęby. Niejednokrotnie i zawsze niezmiernie stanowczo odmawiała Ermanowi swej posiadłości, nie dawała mu żadnych nadziei na małżeństwo.

- Kocham innego - odpowiedziała z prostotą. Ermano spurpurowiał.

- Marca Velazqueza? - prychnął. - On jest nikim. To mój człowiek, mój szpieg!
Nie ma ci nic do zaoferowania.

- Marc nie należy do nikogo - powiedziała spokojnie. Jej opanowanie jeszcze bardziej rozsierdziło Ermana. Miała wrażenie, że zamierza rzucić się na nią i udusić.

Nie czuła strachu, nie litowała się nad sobą. Ogarnęło ją dziwne odrętwienie.

- Marc po prostu cię wykorzystał - dodała. - Choć to ty próbowałeś go wykorzystać.

- Kłamstwo! - ryknął Ermano. - Jak mógłby mnie wykorzystać?! Jest tylko zwykłym kapitanem statku!

Julietta odwróciła głowę, nip mogąc znieść widoku Ermana. Pragnął mieć dzielnych, urodziwych synów, inteligentnych i bystrych. Nie wiedział, że los dał mu więcej, niż mógł się spodziewać.

- Marc Velazquez jest stokroć lepszy niż ty. - Popatrzyła wymownie na mieszek hrabiego. - Pod każdym względem.

Ryknął jak ranny zwierzę, dopadł łóżka i mocno chwycił Juliettę za ramiona, zmuszając do wstania.

- Łzesz, suko - syknął, owiewając ją cuchnącym oddechem. - Jesteś moja. Moja! Obiecały mi to karty tarota!

- Karty mogą kłamać - odpowiedziała Julietta, starając się wyrwać z jego uścisku. - Może też kłamać osoba, która je stawia. Nie należę do nikogo, a już na pewno nie do ciebie, Ermanie Grattiano! Jesteś odrażającą, nędzną kreaturą, w dodatku mordercą niewinnych kobiet...

- Zamknij się, ty dziwko! - Z całej siły uderzył ją w twarz, aż odskoczyła jej głowa. Z pewnością by upadła, gdyby nie trzymał jej w kleszczowym uścisku.

W oszołomieniu spojrzała na jego twarz. W kącikach ust pojawiła mu się ślina, czoło perlily krople potu. Zrozumiała, że trucizna zaczyna działać.

Ermano zmrużył oczy i kurczowo zacisnął palce na jej ramieniu.

- Widzisz teraz, co zrobiłaś.

- Jesteś skończony, Ermano - powiedziała spokojnym tonem. - Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

- Uratujesz mnie - wydyszał. Pokręciła głową.

- Tak ci powiedziały karty? Twój wygląd świadczy o tym, że trucizna zdążyła się już rozejść po całym ciele.

- Jesteś czarownicą! Zmartwychpowstałaś! - krzyknął przeraźliwie. Gdzieś ulotniła się jego gładka uprzejmość, otaczająca go aura władzy. Był teraz tylko zrozpaczonym człowiekiem stojącym w obliczu śmierci, którą sam zadał tak wielu. - Skoro znasz się na truciznach, z pewnością znasz się także na odtrutkach. Zwyciężyłaś przecież śmierć!

Istotnie знаła się na truciznach, a także na antidotach, czytała o nich wiele w książkach swej matki.

- Nie wiem, jaka trucizna była ukryta w pierścieniu, więc nie mogę cię wyleczyć.

Ermano pociągnął ją w stronę drzwi. Jak na człowieka, w którego żyłach krążyła trucizna, miał jeszcze zdumiewająco dużo siły.

Oczami wyobraźni ujrzała piękną matkę Marca z poderżniętym gardłem, małego chłopca, będącego świadkiem jej śmierci. Szarpnęła się gwałtownie.

- Nawet gdybym знаła odtrutkę, nigdy bym ci nie pomogła!

- Zrobisz to! - Ermano wyciągnął sztylet zza pasa i przyłożył jej do szyi. Znieruchomiała, poczuwszy ukłucie i ciepłą strużkę krwi. - Pomożesz mi, bo inaczej nigdy już nie ujrzysz swego kochanka - wyszeptał jej do ucha. - Jeśli mi nie pomożesz, tej nocy razem znajdziemy się w piekle. Zadbam o to, żebyś mnie nie przeżyła.

Julietta przełknęła z trudem. Wyraz oczu Ermana mówił jej, że gotów jest ją zabić, tak jak zabił Veronicę Rinaldi. Musiała teraz podjąć grę i wykazać się przebiegłością Nicolaia Ostrovsky'ego.

Czas działał na jej korzyść. Trucizna zaczęła działać; wierzyła też, że Nicolaiowi udało się uciec i zacznie jej szukać. Musiała żyć, by uratować Marca. Teraz jednak należało przekonać Ermana.

Gdyby tak zgodził się przejść do pokoju słonecznego, w którym pracowała nad swym prezentem dla Marca...

- No cóż - powiedziała jak do krnąbrnego dziecka. - Pomogę ci, Ermano, ale musimy udać się do mojej pracowni. Są tam wszystkie potrzebne substancje.

Przyjrzał się jej uważnie, wietrząc podstęp. Po dłuższej chwili pokiwał jednak głową, zrezygnowany.

- Pójdziemy do tej twojej pracowni - powiedział. - Ale pamiętaj, że mój sztylet i szabla czekają w gotowości. Będziesz też musiała skosztować przygotowanego leku, zanim podasz go mnie. Będę cię uważnie obserwował.

- Dobrze - zgodziła się, nie mając innego wyjścia.

Marc stał na zboczu wzgórza w pobliżu willi Julietty, starając się przeniknąć wzrokiem ciemność. Słońce zaszło zanim wyruszyli z miasta i drogę oświetlał im jedynie mleczny blask księżyca. Dom, widoczny zza splątanych krzewów winorośli, sprawiał wrażenie opuszczonego. Tylko w jednym oknie migotało światło świec.

Wokół panowała cisza. Umilkły ptaki, powietrze było nieruchome. Marc miał wrażenie, że w pobliżu czyha śmierć.

Obejrzał się przez ramię na stojących nieopodal Nicolaia i Baltazara. Mimo iż wyczerpani po szybkiej, wielogodzinnej jeździe, podobnie jak on gotowi byli w każdej chwili rzucić się do walki.

- Jesteś pewien, że tam są? - spytał cicho Marc. Baltazar kiwnął głową. W blasku księżyca wydawał się starszy niż w rzeczywistości. Brat Marca stał się tej nocy dorosłym mężczyzną, gotowym stawić czoło bolesnej prawdzie. Marc miał nadzieję, że Baltazar znajdzie swą Juliettę, która pomoże mu ukoić rany.

- Ojciec często mówił o tej posiadłości - rzekł Baltazar, nieznacznie przesuając swój pięknie rzeźbiony łuk, zawieszony na ramieniu. - Nie znam innego miejsca, w którym mógłby szukać schronienia.

- Zostańcie tu - polecił Marc, wyciągając szablę. Stalowe ostrze zalśniło w świetle księżyca.

- Nie możesz iść sam, Marc - zaprotestował Nicolai. Marc potrząsnął głową.

- Jeśli są tam tylko Ermano i Julietta, łatwiej mi będzie zaskoczyć go w pojedynkę. Jego ostatnie poczynania dowodzą, że opanowało nim szaleństwo. Nie możemy go przestraszyć, bo gotów zabić Juliettę.

Nicolai zrozumiał przyjaciela. Stoczyli wiele bitew, stojąc ramię w ramię, jednak niektóre walki należało staczać w pojedynkę. Kiwnął głową i naciągnął kaptur na swe jasne włosy.

- Zabijesz go, *signor* Velazquez? - zapytał Baltazar, patrząc na Marca swymi smutnymi, zielonymi oczami.

Signor Velazquez. Dziwna forma zwracania się do brata, jednak Baltazar dopiero tej nocy poznał prawdę, z którą Marc żył przez wiele lat. Łączyły ich więzy krwi, nie byli jednak braćmi w pełnym tego słowa znaczeniu. Być może tej nocy staną się sobie naprawdę bliscy?

Marc kiwnął głową.

- Jeśli będę musiał. Zrobię wszystko, by ocalić Juliette.

- Dobrze - powiedział tylko Baltazar i się cofnął. Marc został sam.

Dobiegł go jakiś szelest w rosnącym nieopodal gaju oliwnym. Mocniej ścisnąwszy rękojeść szabli, ruszył w stronę rachitycznych drzewek. Może kryją się wśród nich bandyci albo owładnięty szaleństwem Ermano? Zobaczył jednak tylko służącą, Rosę, i jej męża pełniącego funkcję dozorca, Paola. Siedzieli pod drzewem, otuleni w stary koc. Rosa płakała, mąż szeptał jej coś do ucha, starając się ją pocieszyć.

Jakaś gałązka trzasnęła pod obutą stopą Marca. Rosa gwałtownie zaczerpnęła tchu. Paolo zasłonił ją swym ciałem i chwycił tępy, kuchenny nóż. Jedyne narzędzie do obrony.

- Kto tam? - zawołał chrapliwie.

- Marc Velazquez - odpowiedział Marc, podchodząc bliżej. - Spotkaliśmy się kilka dni temu, gościłem tu u *signory* Bassano.

Paolo nieznacznie opuścił nóż, lecz czekał w napięciu, w każdej chwili gotów rzucić się do walki.

- Pamiętamy. Przyjechał pan po *signorę*?

- Czy to znaczy, że tu jest? W willi?

- Wniósł ją tam! - Krzyknęła nagle Rosa. - A potem...

- Kazał nam się wynosić - dokończył Paolo. - Są teraz w domu sami.

- Jesteście ranni? - zapytał Marc. Paolo pokręcił siwą głową.

- Rosa płacze, bo ciężko to przeżywa, *signor*.

- *Signora* była nieprzytomna! - wybuchnęła Rosa. - Była taka nieruchoma...

Marc zeszczywniał.

- Nie żyje?

- Myślę, że żyje - odpowiedziała Rosa. - Niósł ją, ale jej dłoń się poruszyła.

Trzeba działać szybko, *signor!*

- Właśnie tam idę.

- Jest tu podziemny korytarz, wiodący do piwnicy pod kuchnią - rzekł Paolo. - Wejście, zakryte klapą, znajduje się obok fontanny w ogrodzie. Można w ten sposób dostać się do domu.

Marc podziękował i szybko zbiegł ze wzgórza ku ogrodowi. W willi panowała cisza, lecz w jednym z okien wciąż paliło się światło.

Pozostawało mieć nadzieję, że Julietta żyje.

Rozdział dwudziesty czwarty

Julietta pochyliła się nad stołem i zamieszała łyżką w kociołku. Podgrzewany gęsty płyn bulgotał, lecz nie był jeszcze gotowy.

Przyłożyła do nosa kawałek płótna oddarty od koszulki. Ermano nie pozwolił otworzyć okna, a pokój nie należał do największych. Hrabia zdawał się jednak nie czuć słodkawego zapachu, nie słyszeć cichego bulgotu dochodzącego z kociołka. Siedział w rogu salonu, z szablą w ręku, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Julietty. Skóra wokół skaleczenia na jego dłoni przybrała żyworóżową barwę.

- Gotowe? - wydyszał.

- Jeszcze nie - odpowiedziała, siląc się na spokój. - Musi nabrać mocy. Gdybyś wypił to teraz, nie zadziała, a jedynie przyspieszy śmierć.

Niespodziewanie się roześmiał, lecz jego śmiech był tylko słabym echem dawnych wybuchów wesołości, którymi zniewalał weneckich dostojników.

- A więc znów doszło do tego, że mój los jest w twoich rękach, Julietto Bassano. Nigdy bym się nie spodziewał, że ja, Grattiano, znajdę się w takiej sytuacji!

Julietta oparła się o stół, lekko odurzona oparami unoszącymi się z kociołka.

- Mówisz tak, jakbyś kiedykolwiek był ode mnie zależny. Przecież jestem nikim.

- Potrzebowałem cię. Byłaś moją nadzieją. Tak mi powiedziały karty. Mogłem ci dać w zamian tak wiele...

- W zamian za co? - popatrzyła na kociołek. Bulgocący płyn przybrał odcień mdłej zieleni.

- Za synów! - warknął, jakby to było oczywiste. - Za dzielnych synów, którzy rozślawiliby w przyszłości moje imię.

- Masz już przecież syna, Baltazara. Ermano splunął z pogardą.

- Baltazar! Jest słaby, do niczego się nie nadaje. W jego żyłach płynie zbyt wiele matczynej krwi. Chciałby tylko wydawać moje pieniądze. Trwoni mój majątek na dziwki i uczone księgi. Nie ma w sobie ognia ani stali. Kiedy zejść z tego świata, moje królestwo się rozpadnie. Mówiłem ci już o tym, a ty wciąż zachowujesz się tak, jakbyś nic nie rozumiała!

- Hmmm - mruknęła Julietta, mieszając w kociołku dużą łyżką. - Przyznaję, że Baltazar jest trochę zepsuty, ale taka jest większość bogatych młodych Wenecjan. Jestem pewna, że niedługo dojrzeje.

- Nie wiesz, co mówisz! Baltazar jest pętkiem w porównaniu z tym, jacy mogliby być nasi synowie.

Julietta ze smutkiem popatrzyła na hrabiego. Był ruiną człowieka i starał się doprowadzić do tego stanu innych z powodu karcianej przepowiedni. Jak mógł w nie wierzyć? W milczeniu pokręciła głową. Miała ochotę uciec od niego jak najdalej, odciąć się od jego szaleństwa.

Przedłużające się milczenie podsyciło gniew Ermana.

Wstał i rzucił się w stronę Julietty jak ranny niedźwiedź. Uchyliła się, lecz złapał ją za rękaw, rozdzierając cienką tkaninę.

- Kiedy wreszcie to będzie gotowe?!

- Co ty robisz? - krzyknęła, gdy Ermano wymierzył szablę w jej pierś. Chciała unieść kociołek, lecz błysnęło złowrogie ostrze i odcięty kawałek wstążki zdobiącej spódnice opadł na podłogę. Ermano zawył, zniecierpliwiony, żądny krwi.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę. Ermano natychmiast skierował swój dziki wzrok w stronę nieproszonego gościa. Julietta chwyciła się nadstawy kominka, starając się złapać oddech.

Na progu stał Marc z szablą w dłoni, w przeciwieństwie do Ermana gotowy do walki. Miał na sobie jedynie czarne spodnie i białą płócienną koszulę. Jego włosy związane były w węzeł z tyłu głowy. Popatrzył swymi turkusowymi oczami na Juliettę, dając do zrozumienia, że nie pozwoli, by stała się jej krzywdą, po czym skupił swą uwagę na Ermanie.

- Velazquez? - wychrypiał Ermano, z niedowierzaniem patrząc na Marca.

- Co ty...

- Chcesz ją zabić?! - wybuchnął Marc. - Tak jak zabiłeś Veronicę Rinaldi?!

Ermano w osłupieniu gapił się na Marca, zapominając o istnieniu Julietty.

- Skąd wiesz o Veronice? - zapytał szeptem.

Julietcie przypomniały się sceny z dramatów, w których grzesznik umierał na skutek szoku, widząc ducha swej ofiary. Ermano drżał na całym ciele i toczył dokoła dzikim wzrokiem, jakby Veronica Rinaldi wstała z grobu.

Julietta bez trudu wydostała się z jego uścisku.

- Skąd wiesz o Veronice - powtórzył Ermano, postępując krok w stronę Marca, lecz zaraz potknął się i znieruchomiał.

- Czyżbyś mnie nie znał - powiedział ironicznie Marc. - No tak, minęło dużo czasu i zapewne bardzo się zmieniłem, ale ty jesteś wciąż taki sam. Pozostałeś nędznym łajdakiem, biczem na słabych i bezbronnych. Ale już nigdy nie zdołasz wyrządzić nikomu krzywdy. - Podszedł do Ermana z uniesioną szablą. - Nie zamierzasz mnie zaatakować?

Ermano w oszołomieniu kręcił głową.

- Powiedz mi, kim jesteś!

- Kiedyś, dawno temu, byłem znany jako Marco Rinaldi. - Dotknął torsu Ermana końcem szabli. - Tak więc znów się spotykamy... ojczy.

- Nie... - powiedział ledwie dosłyszalnie Ermano, gdy dotarł do niego sens wypowiedzi Marca. Patrzył na niego, rozdarty pomiędzy strachem, gniewem i radością. Nareszcie miał syna, z którego mógł być dumny.

Marc nie powinien go teraz zabijać, pomyślała Julietta.

- Nie! - Krzyknął Ermano. - Marco umarł.

- Czy wyglądam na trupa? Tak ci powiedzieli twoi *bravos*, kiedy kazałeś im mnie odszukać? Udało mi się wtedy uciec i znalazłem prawdziwego ojca, człowieka niezwykle prawego i wiedzącego co to honor, o czym ty nie masz pojęcia. To był dla mnie bardzo szczęśliwy dzień.

- Jak możesz tak mówić, Marco? Szukałem cię wszędzie! Byłeś moim synem, silnym, urodziwym dzieckiem. Wiedziałem, że daleko zajdziesz, co, jak widać, się potwierdziło. Zrobiłbym z ciebie najpotężniejszego dziedzica w Wenecji, oddałbym ci wszystkie moje bogactwa. Byłem pewien, że utraciłem cię na zawsze. Uwierz mi, szukałem cię!

- Nad ciałem mojej matki przyrzekłem jej i sobie, że któregoś dnia wrócę do Wenecji, by ją pomścić. Doprowadzę cię do upadku, a na końcu zabiję. - Marc mocniej przycisnął koniec szabli do piersi Ermana, przecinając zakurzony atlas wamsu.

- Nie wszystko potoczyło się tak, jak to sobie zaplanowałem, unikniesz publicznego upokorzenia, konieczności wyznania światu swych win. Zgubiła cię twoja nienasycona chciwość, chociaż to ty chciałeś mnie zniszczyć, posługując się kobietą, którą kocham. No cóż... los sprawił, że zginiesz honorową śmiercią.

- Marco, jak możesz tak mówić - jęknął Ermano. - Gdybym wiedział, że jesteś moim synem...

Marc cofnął się i unióś szablę.

- *En garde.*

Ermano patrzył na Marca rozszerzonymi ze strachu oczami. Zrozumiał, że syn nie żartuje. Oto rozgrywał się ostatni akt dramatu, w którym to nie hrabia przydzielał rolę.

- A więc jesteś taki jak twoja matka. Odrzucasz wszystko, co ci proponuję.

Julietta drżała, śledząc tę pełną napięcia scenę. Czowała narastające w niej emocje, lecz musiała pozostać widzem. Nie powinna się wtrącać w sprawy pomiędzy ojcem i synem. Czekwała, choć obca jej była cnota cierpliwości.

Ermano doskonale zdawał sobie teraz sprawę ze swego rozpaczliwego położenia. Miał wreszcie syna, o którym marzył, dzielnego wojownika, lecz zginie z jego ręki... o ile nie zdoła zadać Marcowi śmiertelnego ciosu.

Uniósł swą szablę i ruszył do ataku. Rozległ się szcęk stali. Marc był szybki i zwinny, lecz świadomość, że walczy o życie dodała Ermanowi sił. Masywniejszy i bardziej doświadczony od Marca, podobny do rannego niedźwiedzia, nie ustępował przed wrogiem, którym był jego syn.

W pewnej chwili, odparowawszy natarcie Ermana, Marc ciął go w ramię. Hrabia zawył z bólu, lecz zaraz potem rzucił się naprzód z dziką furją. Julietta zauważyła, że ruchy Marca stają się powolniejsze, nie tak zręczne. Musiał czuć zmęczenie po ciężkim dniu. Nie kończył swych ataków, a przy kolejnym natarciu hrabiego otrzymał cios w udo; na spodniach pojawiła się krew. Julietta musiała się pośpieszyć.

Zrób coś, napominała się w myślach. Nie mogła dłużej chować się w kącie jak przerażona panienka, nie teraz, gdy ci dwaj mężczyźni wyraźnie zatracali się w walce.

Potrząsnęła głową, zmuszając się do opanowania. W pokoju było ciemno, świece dogasały. Szcęk broni, stękanie, krzyki wypełniały niewielką przestrzeń, przesyconą zapachem potu i krwi... i wonią tajemnej substancji.

Błyskawicznie przeniosła wzrok na stół. Płyn kipiał, wylewał się z kociołka. Wystarczyło unieść naczynie...

Trzymając się ściany, by nie wejść w drogę walczącym, podeszła do stołu i sięgnęła po dopalającą się na kominku świecę. Nie miała wyboru. Jeśli będzie ostrożna, powinna odciągnąć uwagę Ermana i uciec z Markiem. Jeśli zrobi fałszywy ruch, zginą wszyscy.

- Dziwka - usłyszała ryk Ermana. Musiał zauważyć, że uniosła świecę. Potem wszystko przetoczyło się przed jej oczami jak w zwolnionym tempie. Hrabia rzucił się w jej stronę z uniesioną szablą, Marc ciął go w ramię, hrabia przewrócił stół, zawartość kociołka wylała się na podłogę, a Julietta upuściła świecę.

Buchnęły płomienie. Krztusząc się gryzącym dymem, Julietta pobiegła do drzwi. Dobrze choć, że udało jej się odciągnąć uwagę Ermana od Marca. Patrząc na rosnącą ścianę ognia, chwyciła Marca za ramię i pociągnęła ku wyjściu.

- Szybciej! To nie jest zwykły ogień.

Marc nie zadawał żadnych pytań, nie protestował, gdy zbiegali ze schodów, ścigani falą gorąca. Jedną ręką trzymając szablę, drugą chwycił Juliettę w tali i niemal

wyniósł ją z domu. Ledwie znaleźli się w ogrodzie, rozległ się huk pękających szyb i z okien buchnął ogień.

- Co się tu dzieje? - spytał ktoś. Julietta rozpoznała charakterystyczny akcent Nicolaia. - Czy Ermano...

Przystanęli przy fontannie, z ulgą wciągając w płuca rześkie, nocne powietrze. Z willi buchały coraz większe płomienie.

- Na miłość boską, Julietto - wydyszał Marc - co to było?

Julietta uniosła wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu. Przeżyli! Niespodziewanie roześmiała się. - Grecki ogień - odpowiedziała. - Skorzystałam z bardzo starego przepisu, który przekazała mi moja babka. Głównym składnikiem jest ropa naftowa, którą trudno jest zdobyć, do niej trzeba dodać rtęć, siarkę, terpentynę, saletrę i odrobinę wosku dla zagęszczenia. Receptę opracował Kallinikos około 668 roku przed naszą erą...

Marc nakrył jej usta pocałunkiem i przyciągnął do siebie tak mocno, jakby nigdy już nie zamierzał jej puścić. Pachniał dymem, potem i krwią, jednak chyba jeszcze nigdy nie był jej tak drogi. Chwyła go za ramiona, starając się pocałunkami przekazać mu całą swą miłość. Słyszeli huk ognia i trzask walących się belek, jednak ważni byli teraz tylko oni dwoje.

- Co za kobieta - mruknął Marc, opierając głowę o jej czoło. - Nie ma chyba we Włoszech drugiej osoby, która potrafiłaby wzniecić grecki ogień w najbardziej odpowiednim momencie!

- Przygotowywałam go dla ciebie - powiedziała, czując, że opuszczają ją siły.

- Dla mnie?

- Chciałam, żeby chronił cię przed piratami. Na morzu jest tak niebezpiecznie...

- Znacznie bezpieczniej niż na lądzie, *querida*, kochana - powiedział, wymownie patrząc w stronę buchających płomieni. Jego także ogarnęło nagłe znużenie. Powoli osunął się i usiadł na trawie.

- Chyba masz rację. - Julietta popatrzyła na zapadający się dach willi. - Och, Marc. Wyjedźmy stąd jak najprędzej. Chcę znów się znaleźć na „Elenie Marii”...

Wtem rozległ się krzyk, przebijający się nad odgłosy pożogi. Odwróciwszy się gwałtownie, Julietta ujrzała scenę jak z piekła. Obok domu, na tle pomarańczowo-

czerwonych jezorów ognia stał Ermano z osmalonymi włosami i poczerniałą od dymu twarzą. Jakimś cudem udało mu się wydostać z płomieni.

Uniósł szablę.

- Chciałem cię zabrać do mojego pałacu, Marco - krzyknął rozdzierająco. - Chciałem dać ci wszystko, ale zwróciłeś się przeciwko mnie, tak jak twoja matka. Teraz ty i twoja dziwka zginiecie!

Marc zerwał się na nogi i sięgnął po szablę, lecz osłupiała Julietta nie puszczała jego drugiej ręki. Byli osłabieni, niemal bezbronni. Po chwili oderwała się od Marca, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś kamienia, którym mogłaby rzucić w Ermana i powstrzymać go od ataku.

Gdy sięgała po kawałek marmuru, który Odłamał się od fontanny, usłyszała dziwny świst, zakończony głuchym uderzeniem o tors Ermana.

Ermano zachwiał się. W jego piersi, tuż nad sercem tkwiła ozdobiona piórami śmiercionośna strzała. Hrabia upadł na ścieżkę i skonał.

Julietta powoli wstała i zobaczyła Baltazara Grattiano. Stał dość daleko, jednak natychmiast go rozpoznała. Był wysoki i szczupły jak Marc, włosy luźno opadały mu na ramiona okryte czarną peleryną. Wyglądał jak anioł zemsty, a może jak człowiek ciężko doświadczony przez życie? Błyskawicznie dojrzał w ciągu kilku minionych dni.

Baltazar powoli opuścił łuk.

- Dostałem go od irlandzkiego kupca, kiedy byłem dzieckiem - powiedział z nutką zadumy. - Potajemnie ćwiczyłem strzelanie, zdzierając sobie palce do krwi, aż nauczyłem się trafiać w cel z odległości dwustu metrów. Oto jeszcze jeden dowód na to, że nie jestem wart swego nazwiska... prawdziwą bronią mężczyzn z rodziny Grattiano jest szabla, a nie zwykły łuk i strzały. - Zasalutował. - Już po wszystkim, bracie.

Potem zniknął w ciemności i zostali sami przy płonącym domu i skulonym ciele Ermana.

Julietta mocno przytuliła się do Marca.

- Czyżby? - usłyszała szept Nicolaia. - Czy naprawdę można powiedzieć, że jest po wszystkim?

Rozdział dwudziesty piąty

Zapadał zmierzch, kiedy Marc pojawił się na pokładzie, zostawiwszy spokojnie śpiącą Juliettę w kajucie. Niebo przybrało różowo-fioletową barwę; ostatnie promienie słońca lśniły na spokojnej wodzie. Dookoła panowała cisza, przerywana jedynie krzykiem mew, cichym chlupotaniem fal omywających „Elenę Marię” i szmerem rozmów marynarzy jedzących kolację.

Marc osłonił oczy dłonią i uniósł wzrok na liny i zwinięte żagle. Marynarz na bocianim gnieździe pomachał mu ręką. Wenecja wydała się teraz Marcowi bardzo odległa.

Na statku znajdował się jednak przedstawiciel świata, który zostawili za sobą. Przy relingu stał Baltazar Grattiano, z uwagą słuchający wykładu zwolnionego z więzienia pierwszego oficera, Mendozy, na temat astrolabium. Marc przypomniał sobie słowa Ermana, skarżącego się, że Baltazar wydaje wszystkie pieniądze na uczone książki i dziwki.

Musiał przyznać, że Baltazar bardzo się ostatnio zmienił. Marc pamiętał go jako cichego, smutnego młodzieńca, rozpaczliwie starającego się przypodobać ojcu, tymczasem niedawno ujrzał innego oblicze brata - twardego wojownika, gotowego bezlitośnie unicestwić wrogów za pomocą swego łuku. Tego wieczoru jego twarz wyrażała żywe zaciekawienie. Młody człowiek wyraźnie uświadamiał sobie własną wartość, oto zyskiwał pełną niezależność.

Marc przypomniał sobie odległy dzień, w którym Juan Velazquez po raz pierwszy oprowadził go po swym statku, odkrywając przed nim zupełnie nowy świat. Pragnął być teraz takim przewodnikiem dla brata. Czy morze pozwoli mu zapomnieć o żalu i gniewie, czy podziela na niego kojąco tak jak niegdyś na Marca?

Podszedł do Baltazara, z uwagą przyglądającemu się astrolabium. Zauważywszy Marca, Baltazar uśmiechnął się do niego nieśmiało.

- Dobry wieczór - rzekł Marc.

- Dobry wieczór, *signor* Velazquez - odpowiedział Baltazar. - *Signor* Mendoza objaśnia mi, jak korzystać z astrolabium. To zdumiewające, jak pomocny może być taki niewielki przyrząd, umożliwia na przykład określenie szerokości geograficznej!

- Interesujesz się nawigacją? - Zapytał Marc, opierając się o reling.

Baltazar wzruszył ramionami, jednak Marc dostrzegł błysk ożywienia w zielonych oczach brata.

- Znam „De Kaert vander Zee”, czytałem „Astronomicum Caesareum”. No i, oczywiście „Opisanie świata” Marca Polo.

- Idę o zakład, że ten chłopak zna się na gwiazdach lepiej niż ja - rzekł Mendoza.

Baltazar roześmiał się.

- Nic podobnego! Wiem tak niewiele, a poza tym nie miałem okazji do zgłębiania tajników nawigacji ani map. Niemniej jednak, mieszkając w Wenecji wie się to i owo o wodzie, morzach i oceanach.

Ktoś przywołał Mendozę, który odszedł, zabierając z sobą astrolabium. Baltazar i Marc zostali sami. Baltazar przysiadł na zwoju lin i zapatrzył się w dal.

- Jest pan szczęśliwym człowiekiem, *signor* Velazquez.

Marc popatrzył na brata. Baltazar miał na sobie prosty żeglarski strój i związane z tyłu włosy. Nie przypominał teraz wyglądem odzianego w atłasy, zepsutego bogactwem młodzieńca.

Marc i Julietta zawdzięczali mu życie.

- Przyznaję, że udało mi się coś w życiu osiągnąć - odpowiedział ostrożnie Marc. - Jednak w porównaniu z możliwymi Wenecjanami nie mam nic. Ani pałacu, ani miejsca na dworze doży.

- I to właśnie jest twoje największe szczęście, panie - rzekł Baltazar. - Masz ten statek, wolność i kobietę, która cię kocha.

- Ty też to możesz mieć. Baltazar pokręcił głową.

- Zabiłem własnego ojca i wcale tego nie żałuję.

- Nikt oprócz ciebie, Julietty, Nicolai i mnie nie wie, co naprawdę wydarzyło się w willi - powiedział Marc. - I nikt z nas nigdy nikomu tego nie powie.

- Ale ja zawsze będę znał prawdę. - Baltazar zamilkł na chwilę. - Przez całe życie pragnąłem mieć to co ojciec... pałac, bogactwa i władzę. Moja matka twierdziła, że należy mi się to z tytułu urodzenia, a ja jej wierzyłem. Chciałem zyskać uznanie ojca, ale nigdy mi się to nie udało. Byłem gotów zrobić wszystko, by wkraść się w jego łaski.

- Naprawdę wszystko? - spytał cicho Marc.

Baltazar uśmiechnął się gorzko.

- Zdradziłem pana i *signorę* Bassano, wiedząc, że to może oznaczać waszą śmierć. Teraz już wiemy, jakie były tego skutki.

- Ale zrozumiałeś swój błąd i udało ci się go naprawić.

- Co doprowadziło do rozlewu krwi. Postępowałem jak ojciec.

- Nie jesteś taki jak ojciec, Baltazarze - zapewnił brata Marc. - Możesz wiele zmienić. I mówić do mnie „Marc”.

- Wiem, że nie jestem już taki jak on. Chciałbym stać się takim człowiekiem jak ty... przynajmniej będę się starał.

- Jak ja? - Marc roześmiał się. - Ja też mam na sumieniu intrygi i zdradę. Poza tym jestem tylko wilkiem morskim, a ty możesz stać się wielkim władcą.

- Takie były marzenia ojca. Jeśli nawet kiedyś miałem podobne, to z pewnością nie mam ich teraz.

- Więc jakie są twoje marzenia?

- Chciałbym znaleźć miejsce na statku takim jak ten. Uczciwie pracować, zwiedzać inne lądy. Nie chcę wracać do Wenecji.

- Jestem pewien, że bez trudu znajdziesz pracę na statku - powiedział Marc. - Nawet podstawowa umiejętność nawigacji wszędzie bardzo się liczy. Możemy znaleźć dla ciebie zajęcie na „Elenie Marii”. Ale co stanie się z majątkiem twego ojca? Z jego pałacem, interesami, pieniędzmi?

- Pieniądze i klejnoty mogą zostać wrzucone do kanału. Są splamione krwią. - Baltazar uważnie przyjrzał się bratu. A może ty chciałbyś je otrzymać?

Marc roześmiał się. Miałby stać się weneckim dostojnikiem? Baltazar najwyraźniej sobie z niego dworował.

- Nie chcę. I dobrze o tym wiesz.

- Tak przypuszczałem! Niemniej jednak miałoby to głęboki sens. Ty też jesteś synem Ermana. Wyrządził tobie i twojej matce zło o wiele większe niż mojej mamie i mnie. Powinieneś otrzymać po nim w spadku pałac oraz inne posiadłości i zarządzać nimi wedle upodobania.

- Jestem kapitanem statku - przypomniał mu Marc. - Nie znam się na republikach i królestwach.

- Wiesz na ich temat tyle, ile ja wiem o statkach, a jednak chcesz zatrudnić mnie na „Elenie Marii”. - Baltazar wstał. - Możesz wziąć majątek Ermana, albo i nie. Możesz wynieść z pałacu wszystkie skarby i wrzucić je do morza. To nie ma dla mnie znaczenia. Od tej pory wszystko należy do ciebie. A ja chciałbym teraz zjeść kolację.

Odszedł, nucąc jakąś wesołą melodię, sprawiając wrażenie człowieka, który pozbył się wielkiego zmartwienia... zrzucając je na barki Marca.

Marc zapatrzył się na morze, na linię horyzontu od lat wyznaczającą granicę jego świata. Jeszcze niedawno propozycja przejęcia majątku ojca wydawałaby mu się szczytem marzeń.

Ermano nie żył, lecz jego bogactwa były skażone podłością, okrucieństwem i nadużyciem władzy. Nawet tak dzielny młodzian jak Baltazar wołał trzymać się od nich z daleka.

Chwycił się relingu. Rany po walce goiły się. Gniew, nienawiść, obecne w jego sercu od dzieciństwa, wypaliły się w ogniu miłości Julietty Bassano. Trzymając go w ramionach powiedziała mu, że nie jest taki jak ojciec, że jest dla niej tylko Markiem, człowiekiem honoru.

Nie wiedziała nawet, jak bardzo się myli. Człowiek honoru nigdy nie pomyślałby nawet o tym, by wykorzystać kobietę do swych celów, a przecież Marc zamierzał posłużyć się Juliettą, by osaczyć Ermana. Niemniej jednak miała rację, twierdząc, że nie jest taki jak ojciec. Nie chciał jego bogactw. Prawdziwym skarbem była dlań Julietta. Mógł bez żalu wyjechać z Wenecji, choć nie udało mu się osiągnąć tam wszystkiego, co zamierzał.

Czekało go nowe życie, w którym nigdy nie będzie już sam.

Usłyszał skrzypienie pokładowych desek. Odwróciwszy się, ujrzał Juliettę, okrytą jego płaszczem. Miała rozpuszczone włosy, a jej oczy jaśniały nieznanym mu dotąd blaskiem. Moja piękna czarodziejka, pomyślał z czułością.

Uśmiechnęła się do niego.

- O czym myślisz, *signor*?

- O tobie - odpowiedział szczerze. - Jak zawsze.

Uniosła brwi.

- Naprawdę? - podeszła do niego i objęła go w pasie, owiewając zapachem jaśminu. Morze przybrało atramentową barwę; zapadała noc, pora tajemnic. Marc uzmysłowił sobie nagle, że Julietta jest jak morze - piękna, tajemnicza, zmienna. Zapewne to sprawiło, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Ich wspólne życie bez wątpienia będzie nieustającą przygodą. Nie oddałby swego szczęścia nawet za najbogatszy pałac w Wenecji.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że statek, morze, oznaczają dla ciebie wolność - przypomniła mu.

- To prawda - odpowiedział, całując ją w czubek głowy.

- Czy teraz ta wolność należy do nas obojga?

- Tak. Zawsze możemy wypływać o poranku, jeśli będziesz tego chciała. Niech fale niosą nas z tej laguny tam, gdzie tylko zapragniesz. Do Londynu, Amsterdamu. - Przytulił ją mocno. - Chyba że wolisz być wenecką damą, żoną dworzanina, panią wspaniałego pałacu.

Odsunęła się od niego, wyraźnie zaniepokojona.

- Co masz na myśli? Przecież Wenecja to już dla nas przeszłość.

- Baltazar chce pracować na statku, marzy o tym, by zostać nawigatorem - wyjaśnił. - Pragnie przekazać mi cały majątek Ermana.

- Masz nim zarządzać?

- Nie. Mam być właścicielem.

- Czy tego właśnie pragniesz, kochany? Chcesz zamieszkać w Wenecji? Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

Pokręcił głową.

- Znasz mnie zbyt dobrze, żeby wiedzieć, jakie są moje marzenia. Nie mam wielkich wymagań. Ale skoro zamierzamy się pobrać, chciałbym poznać twoje zdanie na ten temat. Jeśli chcesz żyć bezpiecznie, w dostatku...

- Jesteś głupi! - Wybuchnęła, zarzucając mu ręce na szyję. - Wspomnij tylko, jak się mogło skończyć to bezpieczne życie w Wenecji! Omal nie straciliśmy go. Umarłabym, gdybym cię utraciła, Marcu, a tak się stanie, jeśli przejmiesz obowiązki Ermana. Będiesz usychał z tęsknoty do morza, ubrany w czarną szatę doradcy, a ja będę wędła wraz z tobą. Uważam, że powinniśmy poznać świat.

Roześmiał się, uniósł ją i okręcił dookoła. Śmiali się i chichotali jak rozdokazywane dzieci.

- I tak się stanie - zapewnił.

Uniosła dłoń. Pierścionek z rubinem rozblił w świetle księżyca.

- Kiedy mi go dałeś, Marc, powiedziałeś, że jeśli będę cię potrzebować, wystarczy, że wyślę ci ten pierścionek, a stawisz się u mego boku. Przyłożył jej dłoń do swego serca.

- Tak.

- Nigdy nie zdejmę tego pierścionka, bo odtąd już zawsze będziemy razem stawiać czoło wszystkiemu, co przyniesie los. Nigdy się nie rozstaniemy.

- Obiecujesz mi to? - zapytał. - Słowo czarodziejki? Uśmiechnęła się do niego.

- Obiecuję ci, Il Leone. Daję ci słowo czarodziejki miłości.

